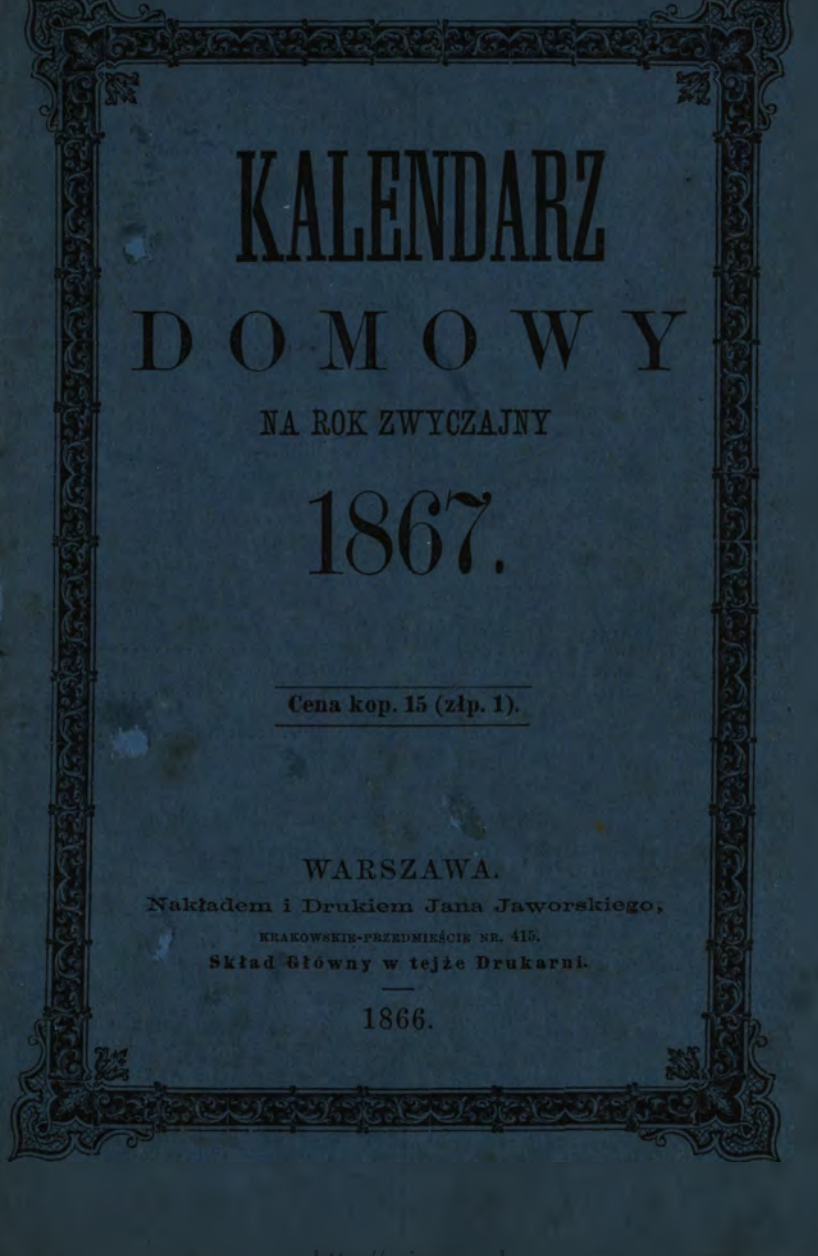








K.9.I. 693



# KALENDARZ D O M O W Y

NA ROK ZWYCZAJNY

1867.

---

Cena kop. 15 (złp. 1).

---

WARSZAWA.

Nakładem i Drukiem Jana Jaworskiego,

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE NR. 415.

Skład Główny w tejże Drukarni.

—  
1866.

# SPIS RZECZY.

	<i>Strona.</i>		<i>Strona.</i>
1. Część kościelna i astronomiczna od I do XVI.		17. Niezgodą licha warta (dykteryjka), przez Władysława <i>Bełzę</i> .....	134
2. Kaplica Pana Jezusa w Katedrze Warszawskiej, przez Mściława <i>Kamińskiego</i> .....	17	18. Góral (z trzema rycinami), (poezja) przez <i>J. K. Turskiego</i> .....	135
3. Owca zbłąkana i syn marnotrawny (z ryciną), przez Ks. <i>Józefa Osieckiego</i> .....	19	19. Sposób na sumienie, (wiersz), napisał <i>Wołody Skiba</i> .....	139
4. Książd Tomasz Pawłowski (z portretem) przez <i>Marję Popławską</i> ..	25	20. Stare baśnie, poezja <i>Jana Prusinińskiego</i> .....	140
5. Klemens Janicki, przez <i>Bronisława Łozińskiego</i> .....	32	21. Góralska dziewczyna, poezja <i>Liljany</i>	143
6. Tomasz Britton, (z portretem), przez <i>Jana Prusinińskiego</i> .....	40	22. Wulkany i trzęsienia ziemi, (z ryciną), przez <i>Stanisława Nowińskiego</i> .....	145
7. Jacek Kępczyk, obrazek z życia Kurpików (z dwoma drzeworytami), przez <i>Stanisława Nowińskiego</i>	48	23. Stoły pukające, przez <i>Mściława Kamińskiego</i> .....	150
8. Czerwony afisz, powiastka, napisał <i>Wołody Skiba</i> .....	65	24. Wieloryb (z dwiema rycinami), przez <i>Stanisława Nowińskiego</i> ..	152
9. Licho-rzeszoto, powiastka, przez <i>Teodora-Tomasza Jeża</i> .....	92	25. Wędrowki zwierząt, przez <i>Gustawa Belke</i> .....	156
10. Nowy Robinson Kruzoe, przez <i>Mściława Kamińskiego</i> .....	106	26. Pszczoły, przez <i>Stanisława Nowińskiego</i> .....	162
11. Abisynja, przez <i>Zygmunta Gawareckiego</i> .....	113	27. Jodła (z ryciną), przez <i>Józefa Grajnera</i> .....	167
12. Puszcza Białowieska (z ryciną), przez <i>K. M.</i> .....	120	28. Domowa suszarnia (z ryciną), przez <i>Adama Mieczynińskiego</i> ....	168
13. Wyspa Ś-tej Heleny w 1866 r.	127	29. Ulepszone wieszadło do bielizny (z ryciną).....	171
14. Sen dziecka, (poezja) przez <i>Liljanę</i>	130	30. Maszyna do łupania drzewa (z rysunkiem).....	172
15. Górnik, (poezja) przez <i>Emilję Leję</i>	131	31. Wiadomości informacyjne i jarmarki.....	173
16. Krajobraz, napisał <i>Wołody Skiba</i>	133	31. Przysłowia gospodarskie.....	176

## EPOKI KRAJOWE NAJZNACZNIEJSZYCH WYPADKÓW.

634 lat upłynęło od odkrycia soli w Wieliczce.	394 lat upłynęło od urodzenia Polskiego astronoma Kopernika.
619 — — — odkrycia kopalni srebra w Olskuszu.	393 — — — wydrukowania pierwszej książki Polskiej w Krakowie.
503 — — — założenia Akademji w Krakowie.	221 — — — zaprowadzenia poczty w Polsce.
456 — — — użycie armat przez Polaków.	5 — — — założenia Szkoły Głównej w Warszawie.
417 — — — wynalezienia druku przez Guttenberga.	

## EPOKI ZAGRANICZNE.

1298 lat upłynęło od zaprowadzenia w Grecji jedwabnictwa.	476 lat upłynęło od wymyślenia kart do gry.
1115 — — — wprowadzenia dzwonów w użycie.	403 — — — zaprowadzenia poczty we Francji.
876 — — — używania liczb Arabskich w Europie.	375 — — — odkrycia Ameryki przez Kolumba.
839 — — — używania nut w muzyce.	352 — — — wynalezienia powozów.
666 — — — wynalezienia kompasu.	284 — — — rozpowszechnienia użycia tytoniu.
565 — — — wynal. igły magnusowej.	204 — — — użycia siły pary.
559 — — — użycia w Europie papieru do pisania.	180 — — — wynalezienia szkieł palących.
567 — — — wynalezienia prochu przez <i>Schwarza</i> .	120 — — — wynalezienia otrzymywania cukru z buraków.

# KALENDARZ DOMOWY



NA ROK

**1867.**



**WARSZAWA.**

NAKLAD I WŁASNOŚĆ JANA JAWORSKIEGO,

KRAKOWKIE - PRZEDMIEŚCIE Nr. 415.

**1866.**

<http://fcin.org.pl>

**Rzymsko-Katolickie:**

**Kościół Prawosławnego.**

Niedziela Starozapustna.....	dnia 17 Lutego.
Niedziela Mięsozupna.....	„ 24 Lutego.
Niedziela Zapustna.....	„ 3 Marca.
Popielec.....	„ 6 Marca.
Wielkanoc.....	„ 21 Kwiet.
Krzyżowe dni.....	27, 28 29 Maja.
Wniebowstąpienie Pańskie...	d. 30 Maja.
Zielone Świątki.....	„ 9 Czerw.
Świętej Trójcy.....	„ 16 Czerw.
Boże Ciało.....	„ 20 Czerw.
Niedziela 1-sza Adwentu.....	„ 1 Grud.

Niedziela Mł. i Far.....	dnia 5 Fawrała.
Niedziela Mięsozupna.....	„ 19 Fawrała.
Niedziela Syropustna.....	„ 26 Fawrała.
Niedziela Werbujaja.....	„ 9 Aprila.
Woskresenie Christa.....	„ 16 Aprila.
Woznesienie Hospodu.....	„ 25 Maja.
Soszewstwie S. Duchu.....	„ 4 Junja.
1 dzień Petrowa Posta.....	„ 12 Junja.

Mięsozupu rachując od Nowego Roku do Popielca, tygodni 9 dni 2.

**CZTERY PORY ROKU ASTRONOMICZNE.**

**SUCHE DNI**

WIOSNA zaczyna się d. 21 o g. 3 m. 3 rano.  
 LATO zaczyna się d. 31 Czerwca o g. 11 m. 35 w.  
 JEŚIEŃ zaczyna się d. 23 Wrześ. o g. 1 m. 58 w.  
 ZIMA zaczyna się d. 22 Grudnia o g. 8 m. 10 r.

Pierwsze dnia 13, 15 i 16 Marca.  
 Drugie dnia 12, 14 i 15 Czerwca.  
 Trzecie dnia 18, 20 i 21 Września.  
 Czwarte dnia 18, 20 i 21 Grudnia.

**ZACMIENIA W ROKU 1867.**

W roku 1867 przypadają dwa zaćmienia słońca i dwa księżycy, z tych tylko pierwsze zaćmienie słońca i drugie księżycy u nas widzialne będą.

- I. Zaćmienie słońca cząstkowe dnia 6 Marca widzialne w ogóle w całej Europie, w północnej stronie Afryki i w zachodnich stronach Azji; dla Warszawy początek zaćmienia nastąpi o godzinie 9 min. 56 sek. 33 rano; środek o godzinie 11 min. 20 sek. 25 rano; koniec o godzinie 12 min. 44 sek. 17 rano; wielkość zaćmienia 11 cali.
- II. Zaćmienie słońca całkowite dnia 29 Sierpnia, widzialne w większej części południowej Ameryki i w bardzo małej części południowej Afryki.
- I. Zaćmienie cząstkowe księżycy dnia 20 Marca, widzialne w Ameryce, a przy końcu swego trwania i w Australji.
- II. Zaćmienie księżycy cząstkowe dnia 14 Września, widzialne przez całe trwanie w Europie i w Afryce, a przez znaczną część trwania i w Ameryce, dla Warszawy początek zaćmienia nastąpi o godz. 12 min. 21 z pomocą; środek o godz. 1 min. 50 rano; koniec o godz. 3 min. 19 rano; wielkość zaćmienia  $8\frac{1}{10}$  cali od strony północnej tarczy księżycy.

**TABELLA WSCHODU I ZACHODU SŁOŃCA.**

Dnia.	Miesiąca.	Wschód słońca.		Zachód słońca.		Dnia.	Miesiąca.	Wschód słońca.		Zachód słońca.	
		g.	m.	g.	m.			g.	m.	g.	m.
1	Stycznia	8	12	3	56	1	Lipca	3	44	8	22
15	„	8	5	4	15	15	„	3	57	8	24
30	„	7	49	4	41	30	„	4	18	7	53
1	Lutego	7	44	4	45	1	Sierpnia	4	21	7	50
15	„	7	18	5	11	15	„	4	43	7	24
28	„	6	51	5	35	30	„	5	8	6	52
1	Marca	6	49	5	37	1	Września	5	11	6	37
15	„	6	29	5	53	15	„	5	35	6	13
30	„	5	42	6	27	30	„	6	—	5	40
1	Kwietnia	5	37	6	31	1	Paździer.	6	1	5	37
15	„	5	5	6	56	15	„	6	26	5	5
30	„	4	34	7	21	30	„	6	53	4	34
1	Maja	4	22	7	23	1	Listopada	6	56	3	30
15	„	4	8	7	45	15	„	7	22	4	7
30	„	3	49	8	6	30	„	7	47	3	50
1	Czerwca	3	47	8	9	1	Grudnia	7	48	3	49
15	„	3	40	8	20	15	„	8	5	3	45
30	„	3	43	8	22	30	„	8	12	3	54

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.—Warszawa d. 3 (15) Października 1866 r. Starszy Cenzor, Lachmanowicz.



# ONI GALOWE W CESARSTWIE RUSKIM I KROLEWSTWIE POLSKIM.

*Poniższe należy obchodzić przez nabożeństwo i uwolnienie uczniów od lekcji.*

## Styczeń.

Dnia 13 (1), Nowy Rok Ruski, oraz Rocznicą Urodzin J. C. W. W. X. *Heleny Pawłówny* i J. C. W. W. X. *Aleksieja Alexandrowicza*.

## Marzec.

Dnia 3 (19 Lutego), Pamiętka Wstąpienia na Tron Jego Cesarz. Król. Mości N. ALEXANDRA II. MIKOŁAJEWICZA.

Dnia 10 (26 Lutego), Rocznicą Urodzin J. C. W. W. X. CESARZEWICZA Następcy Tronu W. X. ALEKSANDRA ALEKSANDROWICZA.

## Kwiecień.

Dnia 29 (17) Rocznicą Urodz. Jego Ce. Kr. Mości N. ALEXANDRA II. MIKOŁAJEWICZA i J. C. W. W. X. *Mikołaja Michałowicza*.

## Sierpień.

Dnia 3 (22 Lipca), Imieniny: Jój Cesarzsko-Królewskiej Mości N. MARYI ALEXANDROWNEJ, J. C. W. W. X. *Maryi Alexandrownéj* Córki Ich Cesarz. Królów. Mości, Jej Cesarzkiej Wysokości Cesarzewiczowej Następczyni Tronu W. X. *Maryi Teodorówny*, tudzież J. C. W. W. X. *Maryi Mikotajewnej*, Wdowy po J. C. W. W. X. *Mazymilianie Leuchtenberskim*.

Dnia 8 (27 Lipca), Rocz. Urod. Jój Cesar. Król. M. N. MARYI ALEXANDROWNEJ, tudzież Rocz. Urodzin i Imieniny J. C. W. W. X. *Mikołaja Mikotajewicza* starszego, i Imieniny J. C. W. W. X. *Mikołaja Mikotajewicza* młodszego.

## Wrzesień.

Dnia 7 (26 Sierpnia), Rocznicą Koronacji Jego Ces. Król. Mości N. ALEXANDRA II. MIKOŁAJEWICZA i Jej Cesar. Król. Mości N. MARYI ALEXANDROWNEJ.

Dnia 11 (30 Sierpnia), Imieniny Jego Cesar. Król. Mości, N. ALEXANDRA II. MIKOŁAJEWICZA i J. C. W. W. X. *Alexandra Alexandrowicza*, Następcy Tronu, oraz Rocznicą Urodz. J. C. W. W. X. *Olgi Mikotajewnej*, Małżonki J. K. M. Króla Wirtemberskiego, i Święto Orderu Ś. Alexandra Newskiego.

## Listopad.

Dnia 26 (14), Rocznicą urodzin Jej Cesarzkiej Wysokości Cesarzewiczowej Następczyni Tronu W. X. *Maryi Teodorówny*.

*Następujące należy obchodzić tylko przez nabożeństwo.*

## Styczeń.

Dnia 3 (22 Grudnia), Imieniny J. C. W. W. X. *Anastazy Michałownej*.

## Luty.

Dnia 15 (3), Rocz. Urod. J. C. W. W. X. *Mikołaja Konstantynowicza*, oraz Święto Ord. Ś. Anny.

Dnia 16 (4), Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Wiary Konstantynownej*.

## Kwiecień.

Dnia 13 (1) Kwietnia, Rocznicą Urodzin J. C. W. W. X. *Alexandra Michałowicza*.

Dnia 22 (10), Rocz. Urod. J. C. W. W. X. *Włodzimierza Alexandrowicza*.

## Maj.

Dnia 5 (23) Kwietnia, Imieniny J. C. W. W. X. *Alexandry Józefownej*, Małżonki Jego Ces. W. W. X. *Konstantego Mikotajewicza* i J. C. W. W. X. *Alexandry Petrownéj*, Małż. J. C. W. W. X. *Mikołaja Mikotajewicza*.

Dnia 11 (29 Kwiet.) Ro. Ur. J. C. W. W. X. *Sergiusza Alexandrowicza*,

## Czerwiec.

Dnia 1 (20 Maja), Imieniny J. C. W. W. X. *Alexieja Alexandrowicza*.

Dnia 2 (21 Maja), Imieniny J. C. W. W. X. *Konstantego Mikotajewicza*, J. C. W. W. X. *Konstantego Konstantynowicza* i J. C. W. W. X. *Heleny Pawłownej*, oraz Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Alexandry Petrownéj*.

Dnia 13 (1) Czerwca, Ro. Ur. J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza*.

## Lipiec.

Dnia 8 (26 Czerwca), Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Alexandry Józefownej*, Małżonki J. C. W. W. X. *Konstantego Mikotajewicza*, i Imieniny J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza*.

Dnia 11 (29 Czerwca), Imieniny J. C. W. W. X. *Pawła Alexandrowicza* i *Piotra Mikotajewicza*.

Dnia 13 (11) Rocznicą Urodzin J. C. W. W. X. *Wacława Konstantynowicza*.

Dnia 17 (5), Imieniny J. C. W. W. X. *Sergiusza Alexandrowicza*.

Dnia 23 (11), Imieniny J. C. W. W. X. *Olgi Mikotajewnej*, Małżonki J. K. M. Króla Wirtemberskiego, J. C. W. W. X. *Olgi Konstantynownej* i J. C. W. W. X. *Olgi Fedorownej*.

Dnia 27 (15), Imieniny J. C. W. W. X. *Włodzimierza Alexandrowicza* i Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Anastazy Michałownej*.

## Sierpień.

Dnia 18 (6), Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Maryi Mikotajewnej*, Wdowy po J. C. W. W. X. *Mazymilianie Leuchtenberskim*.

Dnia 22 (10), Ro. Ur. J. C. W. W. X. *Konstantego Konstantynowicza*.

Dnia 23 (11) Rocz. Urodzin J. C. W. W. X. *Jerzego Michałowicza*

Dnia 28 (16), Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Katarzyny Michałownej*.

## Wrzesień.

Dnia 3 (22 Sierpnia), Rocz. Urod. J. C. W. W. X. *Olgi Konstantynownej*.

Dnia 20 (8), Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Olgi Fedorownej*.

Dnia 21 (9), Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Konstantyna Mikotajewicza*.

Dnia 29 (17), Imieniny J. C. W. W. X. *Wiary Konstantynownej*.

## Październik.

Dnia 3 (21 Września), Rocz. Urodz. J. C. W. W. X. *Pawła Alexandrowicza* i Imieniny J. C. W. W. X. *Dymitra Konstantynowicza*.

Dnia 4 (22 Wrześ.), Święto Ord. Ś. Równno-Apostolskiego X. Włodzim.

Dnia 10 (28 Września) Imieniny J. C. W. W. X. *Wacława Konstantynowicza*.

Dnia 17 (5), Rocznicą Urodzin J. C. W. W. X. *Maryi Alexandrownéj* córki Ich Ces. Kr. Mości, i J. C. W. W. X. *Michała Michałowicza*.

Dnia 25 (13), Rocznicą Urodzin J. C. W. W. X. *Michała Mikotajewicza*.

## Listopad.

Dnia 18 (6), Rocz. Ur. J. C. W. W. X. *Mikołaja Mikotajewicza* młodszego.

Dnia 20 (8), Imieniny J. C. W. W. X. *Michała Mikotajewicza*, i J. C. W. W. X. *Michała Michałowicza*, tudzież Św. wszystkich Cesarzsko-Rossyjskich Orderów.

## Grudzień.

Dnia 6 (24 List.), Im. J. C. W. W. X. *Katarzyny Michałownej*, i Św. Orderu Ś. Katarzyny W. Męcz.

Dnia 8 (26 List.) Św. Ord. Ś. Jerzego W. Męcz. oraz Imieniny W. X. *Jerzego Michałowicza*.

Dnia 12 (30 Listopada) Św. Orderu Ś. Andrzeja Apostoła.

Dnia 18 (6), Imieniny J. C. W. W. X. *Mikołaja Konstantynowicza* i J. C. W. W. X. *Mikołaja Michałowicza*.

## Styczeń.

- Nów dnia 6 o godzinie 1 minucie 54 rano, wiatr mroźny z pogodą.
- ③ Pierwsza kwadra d. 13 o g. 5 m. 58 wieczór, pogodna i mroźne dni.
- ② Pełnia d. 20 o g. 9 m. 8 r., mróz i wilg. dni.
- ④ Ostatnia kw. d. 27 o g. 4 m. 11 w., wiatr, późniejsza pogoda.

## Luty.

- Nów d. 4 o g. 7 w., wiatry mocne na odmianę.
- ③ Pierwsza kw. d. 12 o g. 3 m. 4 r., niestała pogoda, deszcz i mgła.
- ② Pełnia d. 18 o g. 9 m. 5 w., wyjaśnia się na pogodę.
- ④ Ostatnia kw. d. 26 o g. 0 m. 56 w., zawirucha z śniegiem.

## Marzec.

- Nów d. 6 o g. 11 m. 2 r., wiatr ostry i zimny.
- ③ Pierwsza kw. d. 13 o g. 10 m. 11 r., niestałe i zimne powietrze.
- ② Pełnia d. 20 o g. 10 m. 19 r., mróz i śnieg.
- ④ Ostat. kw. d. 28 o g. 9 m. 11 r., pogoda i zimno.

## Kwiecień.

- Nów d. 4 o g. 11 m. 28 w., wiatr z deszczem.
- ③ Pierwsza kw. d. 11 o g. 4 m. 33 w., pogoda.
- ② Pełnia d. 19 o g. 0 m. 30 r., pogoda w końcu się pochmurza.
- ④ Ostatnia kw. d. 27 o g. 3 m. 25 r., wiatr czasem deszcz.

## Maj.

- Nów d. 4 o g. 9 m. 4 r., wilgotne powietrze.
- ③ Pierwsza kw. d. 10 o g. 11 m. 28 w., czas pogodny z chłodnym wiatrem.
- ② Pełnia d. 18 o g. 3 m. 16 w., wiatr, deszcz i chłodno.
- ④ Ostatnia kw. d. 26 o g. 6 m. 46 w., łagodnie i ciepłe powietrze.

## Czerwiec.

- Nów d. 2 o g. 4 m. 38 w., piękne i pogod. dni.
- ③ Pierwsza kw. d. 9 o g. 8 m. 1 r., pogoda dalej wiatr z deszczem.
- ② Pełnia 17 o g. 6 m. 19 r., przyjemna pogoda w końcu burza grozi.
- ④ Ostatnia kw. d. 25 o g. 6 m. 52 r., wiatr deszcz z grzmotami później ciepło.

*Uwaga.* Przepowiednie ułożone na podstawie

## ŚWIĘTA ŻYDOWSKIE.

## Styczeń.

Dnia 5, 12 i 19 Szabasy, d. 21 Chamyszus dzień radosny, d. 26 Szabas.

## Luty.

Dnia 5 Roschodesz, d. 6 pierwszy Mca Ador d. 9, 16 i 23 Szabasy.

## Marzec.

Dnia 2 Szabas, d. 7 Roschodesz, d. 8 pierwszy Mca Weyodor, d. 9 i 16 Szabasy, d. 20 post Estery, d. 21 Purym, d. 22 Szusan-Purym, d. 23 i 30 Szabasy.

## Kwiecień.

Dnia 6 pierwszy Mca Nison i Szabas, d. 13 Szabas, d. 20 i 21 Święta Wielkanocne, d. 22, 23, 24 i 25 Chalhamoet czyli wolne święta, d. 26 i 27 ostatnie dni Świąt Wielkanocnych.

## Maj.

Dnia 1 Szabas, d. 5 Roschodesz, d. 6 pierwszy Mca Iior, d. 11 i 18 Szabasy, d. 23 Eaghomer dzień radosny, d. 25 Szabas.

## Czerwiec.

Dnia 1 Szabas, d. 4 pierwszy Mca Siwan, d. 9 i 10 Zielone Świątki—uroczyste odebranie 10-u Bożych Przykazań na górze Synaj, d. 15, 22 i 19 Szabasy.

## Lipiec.

Dnia 3 Roschodesz, d. 4 pierwszy Mca Tamus, d. 6, 13 i 20 Szabasy, d. 21 Post obłędnie Jerezolimy, d. 27 Szabas.

## Lipiec.

- Nów d. 1 o g. 11 m. 12 w., pogoda.
- ③ Pierwsza kw. d. 8 o g. 6 m. 55 w., piękne i przyjemne powietrze.
- ② Pełnia d. 16 o g. 9 m. 20 r., wiatr na odmianę.
- ④ Ostatnia kw. d. 24 o g. 3 m. 56 w., pochmurza się na deszcz.
- Nów d. 31 o g. 6 m. 8 r., upały.

## Sierpień.

- ③ Pierwsza kw. d. 7 o g. 8 m. 32 w., deszcz z grzmotami.
- ② Pełnia d. 15 o g. 0 m. 1 w., dni gorące, niekiedy burzą przeplatane.
- ④ Ostat. kw. d. 22 o g. 10 m. 46 w., deszcz i upał.
- Nów d. 19 o g. 2 m. 19 w. pochmu. się na deszcz.

## Wrzesień.

- ③ Pierwsza kw. o g. 0 m. 55 r., deszcz z chłodnym wiatrem.
- ② Pełnia d. 14 o g. 1 m. 57 r., dni jasne i przyjemne powietrze.
- ④ Ostatnia kw. d. 21 o g. 4 m. 33 r., stała pogoda z odmianą w końcu.
- Nów d. 28 o g. 1 m. 6 r., wiatr a czasami deszcz.

## Październik.

- ③ Pierw. kw. d. 6 o g. 7 m. 42 w., pochmurno i chłodno.
- ② Pełnia d. 13 o g. 3 m. 48 w., przy chłodnym wietrze dni pogodne.
- ④ Ostatnia kw. d. 20 o g. 10 m. 41 r., pochmurza się na deszcz.
- Nów d. 27 o g. 2 m. 27 w., pochmurne i wilgotne powietrze.

## Listopad.

- ③ Pierwsza kw. d. 4 o g. 3 m. 51 w., wypogadza się jednak czas chłodny.
- ② Pełnia d. 12 o g. 2 m. 34 r., pochmurno, wiatr zimny i deszcz.
- ④ Ostatnia kw. d. 18 o g. 6 m. 30 w., wiatr ostry, czasami deszcz.
- Nów d. 26 o g. 6 m. 35 r., mglisto z mrozem.

## Grudzień.

- ③ Pierwsza kw. d. 4 o g. 11 m. 45 r., zimne powietrze, w końcu deszcz.
- ② Pełnia d. 11 o g. 1 m. 34 w., wiatr ostry, śnieg z deszczem.
- ④ Ostat. kw. d. 18 o g. 4 m. 56 r., pogoda i mróz
- Nów d. 26 o g. 1 m. 3 r., mroźne powietrze.

podstawie stoletniego kalendarza.

## Sierpień.

Dnia 2 pierwszy Mca Aw, mięsopest przez dni 10, d. 3 i 10 Szabasy, d. 11 post Zburzenia Jeruzolimy, d. 16 Chamyszusor dzień radosny, d. 17, 24 Szabasy, d. 31 Roschodesz i Szabas.

## Wrzesień.

Dnia 1 pierwszy Mca Elnu, d. 7, 14 i 21 Szabasy d. 22 pierwszy dzień roroty które trwają aż do dnia Sądneho, d. 28 Szabas, d. 30 pierwszy dzień święta Trąbki czyli Nowy Rok 5628 ery żydowskiej.

## Październik.

Dnia 1 drugi dzień święta Trąbki, d. 2 post Gadalia, d. 5 Szabas, d. Świątyni dzień, post i święta uroczyste, d. 12 Szabas, d. 14 i 15 święta Kuczki Palma, d. 16, 17 i 18 wolne święta czyli Chalhamoet, d. 19 Szabas, d. 20 Hoszono rabo, d. 31 i 22 ostatnie dni Święta Palmowe, d. 26 Szabas, Roschodesz, d. 30 pierwszy Mca Marcheszwon.

## Listopad.

Dnia 2, 9, 16 i 23 Szabasy, d. 28 pierwszy Mca Kislew, d. 30 Szabas.

## Grudzień.

Dnia 7, 14 i 21 Szabasy, d. 22 rozpoczynają się gody na pamiętkę zwycięstwa Machabeuszów, trwają dni 8, d. 27 pierwszy Mca Tewas, d. 28 Szabas.


**STYCZEN** ma dni XXXI.

**JANWAR.**
**STYCZEN.**

Dnio	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym. Katolick. w Rosji.
1 W.	<b>Nowy Rok.</b> Fulgencjusza.	20 Dec. 1866. Ihnatia M.	Teofila Męczennika.
2 S.	Makarego Opata.	21 Julianii Mucz.	Tomasza Apost.
3 C.	Daniela M. i Genowefy.	22 Anastasii Wel. M.	Zenona i Flawjusza.
4 P.	Tytusa i Grzegorza BB.	23 Pawła Pr.	Wiktorji P. M.
5 S.	Telesfora i Emiljana.	24 Ewhenii Mucz.	<i>Wigilja:</i> Adama i Ewy.
6 N.	<b>Trzech Krol.</b>	25 <b>Rozdest. Chrysta.</b>	<b>Narodz. Chryst. Pana</b>
7 P.	Lucjana i Emilji.	26 <b>Sobor Pr. Bohor.</b>	<b>Szczepana i Męczon.</b>
8 W.	Seweryna Opata.	27 <b>Stefana I Mucz.</b>	Jana Ewang.
9 S.	Marcjanny P. M.	28 SS. 20,000 Mucz.	Młodzianków.
10 C.	Agatona P. i Wilhelma.	29 SS. 14,000 Mucz	Tomasza Kanturyjsk.
11 P.	Higina M. i Teodozjusza.	30 Anisii Mucz.	Eugenjusza B.
12 S.	Arkadjusza i Honoraty.	31 Melanii Pr.	Sylwestra Pap.
13 N.	<b>1 po 3 Kr.</b> Weroniki.	1 <b>Janw. 1867. Obr. Hosp</b>	1 Stycz. 1867. Fulgien.
14 P.	Hilarego B. i Feliksa K.	2 Sylwestra Papy.	Makarego Opata.
15 W.	Pawła 1-go Pustelnika	3 Malachii Pr.	Daniela i Genowefy.
16 S.	Marcellego P. i Ottona M.	4 Sobor. SS. 70 Apost.	Tytusa B.
17 C.	Antoniego Opata.	5 Naw. Boh. Fteopemta	Telesfora i Emilji.
18 P.	Kated. Ś. Piotra w Rzymie.	6 <b>Bohojaw. Hosp</b>	<b>Trzech Króli.</b>
19 S.	Henryka B.M. i Kanuta K.	7 Sobor S. Joanna Kre.	Lucjana i Emiljana.
20 N.	<b>2 po 3 Kr.</b> Im. Jez. Fabja-	8 <b>N. po Boh.</b> Heorhia Pr.	<b>N. 1 po 3 Kr.</b>
21 P.	Agnieszki. (na i) Sebestja.	9 Poliewkta Mucz.	Marcjanny P. M.
22 W.	Wincentego i Anastazego.	10 S. Hrihoria Ep.	Agatona i Wilhelma.
23 S.	<i>Zaśl. N.P.M.</i> i Ildefonsa.	11 Fteodosia Wel.	Higina P.
24 C.	Tymoteusza i Felicjana.	12 Tatiany Mucz.	Arkadjusza i Honora.
25 P.	Nawrócenie Ś. Pawła Ap.	13 Ermila Mucz.	Weroniki P.
26 S.	Polikarpa.	14 PP. Otecz. w Synai.	Hilarego i Felixa.
27 N.	<b>3 po 3 Kr.</b> Jana Chr. B. W.	15 <b>N. 30 po S.</b> Pawła Pr.	<b>N. 2. po 3 Kr.</b> Im. Jez.
28 P.	Karola W.C. i Rajmunda.	16 Wierih i Ś. Petra.	Marcelego i Ottona.
29 W.	Franciszka Salezego.	17 Pr. Antonia Wielik.	Antoniego Opata.
30 S.	Martyny i Hiacynta.	18 Afanasija i Kirilla.	Kated. S. Piotra w Rz.
31 C.	Piotra Nólaski i Marcelli.	19 Makaria Ehiptian. Pr.	Henryka i Kanuta.


**LUTY** ma dni XX VIII.

**FEWRAŁ.**
**LUTY.**

Dnie.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymo - Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym. - Katolick. w Rosji.
1 P.	† Ignacego i Brygidy.	20 JAN. Ewfmia Wielik.	Fabjana.
2 S.	<b>Oczyszczenie N. M. P.</b>	21 Maxima Ispowiedn.	Agnieszki P. M.
3 N.	<b>4 po 3 Kr.</b> Błażeja B.M.	22 <b>31 po Sosz.</b> Tymof. A.	<b>N. 3 po 3 Kr.</b> Wincent.
4 P.	Anzgaręgo i Andrzeja.	23 Klimenta Ep.	Zaślubiny N. P. M.
5 W.	Agaty P. M.	24 Xenii Pr.	Tymoteusza.
6 S.	Doroty P. M. i Teofila M.	25 Hrihoria Bohosł.	Nawrócenie Ś. Pawła.
7 C.	Romualda Opata.	26 Xenofonta Prep.	Polikarpa B. M.
8 P.	Jana z Malty W.	27 Joanna Zlatoustaho.	Jana Chryzostoma.
9 S.	Apolonji P. M.	28 Efrema Prep.	Karola W. i Rajmunda
10 N.	<b>5 po 3 Kr.</b> Scholastyki.	29 <b>32 po Sosz.</b> Ihnat. B.	<b>N. 4 po 3 Kr.</b> Francis.
11 P.	Eufrozyny.	30 <b>Trech Swiatit.</b>	Martyny.
12 W.	Gaudentego i Emila.	31 Kira i Joanna Czud.	Piotra Nolaski.
13 S.	Juljana i Jordana MM.	1 Few. Trifena Mucz.	1 LUTEGO. Ignacego.
14 C.	Walentego Kapł. M.	2 <b>Sretenie Hospod.</b>	<b>Oczyszczenie N. M. P.</b>
15 P.	Faustyna i Jowity MM.	3 Simeona i Anny.	Błażeja B. M.
16 S.	Juljanny P. M.	4 Isidora Pil.	Ansgaręgo i Andrzeja
17 W.	<b>Staroz.</b> Sylwestra i Donata	5 <b>N. Myt. i Far.</b> M. Ahafi.	<b>N. 5 po 3 Kr.</b> Agaty.
18 P.	Konstancji.	6 Wukola Episk.	Doroty P. M. i Teofila.
19 W.	Konrada Wyzn.	7 Parfenia Prep.	Romualda Opata.
20 S.	Eucharjusza i Leona BB.	8 Fteodora Stratilata.	Jana z Malty.
21 C.	Eleonory P.	9 Nikifora Mucz.	Apolonji P. M.
22 P.	Katedry Ś. Piotra w Ant.	10 Charalampia S. M.	Scholastyki P.
23 S.	Romany P. i Damazego.	11 Własia S. M.	Eufrozyny P. i Emila.
24 N.	<b>Mięsop.</b> Macieja Ap.	12 <b>N. Blud.</b> S. Melot. Ar.	<b>N. Starozap.</b> Gauden.
25 P.	Zygfyda i Flawjana.	12 Martiniana.	Juljana i Jordana.
26 W.	Aleksandra i Fortunata.	14 Awkscentia Pr.	Walentego Kapł. M.
27 S.	Leonarda Anastazego.	15 Onisima Apost.	Faustyna M.
28 C.	Romana Opata.	16 Pamfila Mucz.	Juljanny P. M.


**MARZEC** ma dni XXXI.

**MART.**
**MARZEC.**

Dzień	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym.-Katolick. w Rosji.
1 P.	Albina M. i Antoniny M.	17 FWR. Feodota W. M.	Sylwestra i Donata.
2 S.	Heleny Cesar. i Amelji P.	18 Lwa Papy Rym.	Konstancji.
3 N.	<b>Zapust.</b> Kunegundy C.	19 N. <b>Mięs.</b> Archippa Ap.	<b>N. Mięso.</b> Konrada.
4 P.	Kazimierza Króla.	20 Lwa Ep. Kata.	Eucharjusza i Leona.
5 W.	Teofila B. Fryderyka B.	21 Timofeja Prep.	Eleonory P.
6 S.	† <b>Popiel.</b> Wiktora i Wikt.	22 Obr. Moszcz. SS. M.	Kat. S. Piotra w Ant.
7 C.	Tomasza z Akwinu W.	23 Polikarpa S. M.	Romany P.
8 P.	Jana Bożego W.	24 Obr. hl. Joanna Pred.	Macieja Apost.
9 S.	Franciszki i Cyryla.	25 Tarasia Ar. Konst.	Zygryda i Flawjana.
10 N.	<b>Wstęp.</b> ŚŚ. 40 Męczenn.	26 N. <b>Syrop.</b> Porfiria.	<b>N. Zapust.</b> Alexego.
11 P.	Konstantyna Wiel.	27 Prokopia Prep. 1 Post.	Anastazego.
12 W.	Grzegorza W.	28 Wasilia Prep.	Romana Opata.
13 S.	† Krystyny Ben. i Modesty.	1 MAR. Ewdokii Pr.	1 MAR. Albina B.
14 C.	Matyldy Kr. i Salwina.	2 Feodota S. M.	Heleny Ces. i Amelji.
15 P.	† Longina Żoł. i Izabelli.	3 Ewtropia Mucz.	Kunegundy Ces.
16 S.	† Cyrjaka, Dyaka i Patryc.	4 Herasima Prep.	Kazimierza Królewicz.
17 N.	<b>Sucha.</b> Gertrudy Panny.	5 N. 1 W. <b>Posta</b> Konona.	<b>N. 1 Post.</b> Teofila B.
18 P.	Gabryela Arch.	6 ŚŚ. 42 Mucz.	Wiktora i Wiktorjana.
19 W.	<i>Józefa Obl. N. M. P.</i>	7 Wasilia S. M.	Tomasza z Akwinu.
20 S.	Joachima Ojea N. P. M.	8 Teofilakta P.	Jana Bożego.
21 C.	Benedykta Opata.	9 ŚŚ. 40 Mucz. w Sew	Franciszki i Cyryla.
22 P.	Pawła B. i Oktawiana.	10 Kodrata Mucz.	ŚŚ. 40 Męczenników.
23 S.	Katarzyny. Kr. Sz.	11 Sofronia Pat. Jer.	Konstantyna Wiel.
24 N.	<b>Głucha.</b> Marka i Tymote.	12 N. 2 W. <b>Pos.</b> Feofana.	<b>N. 2 Postu</b> Grzegorza.
25 P.	<b>Zwiastowanie N. P. M.</b>	13 Nikifora Patr. Konst.	Krystyny i Modesta.
26 W.	Ludgera Bisk.	14 Wenedikta Pr.	Matyldy.
27 S.	Ruperta Bis. i Aleksandra.	15 Ahapia Mucz.	Izabelli i Longina.
28 C.	Syxta P. i Doroteusza M.	16 Sawina Mucz.	Cyrjaka i Dyaka.
29 P.	Cyrjaka M. i Eustachjusza.	17 Alexia Prep.	Gertrudy.
30 S.	Kwiryna M. i Angeli wd.	18 Kirylla Patr. Jeroz.	Gabryela Arch.
31 N.	<b>Srodop.</b> Balbiny i Kornela	19 N. 3 W. <b>Posta</b> Chrizan.	<b>N. 3 Postu</b> <i>Józefa Obl.</i>


**KWIECIEŃ** ma dni XXX.

**APRIL**
**APRILIS.**

Dzie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym.-Katolick. w Rosji.
1 P.	Hugona B. i Teodozego.	20 MART. Serchia Pr.	Joachima.
2 W.	Franciszka à Pau. W.	21 Jakowa Prep.	Benedykta Opata.
3 S.	Ryszarda B.	22 Wasilia S. M.	Pawła B.
4 C.	Izydora Biskupa.	23 Nikona Prep. M.	Katarzyny Kr. Szw.
5 P.	Wincentego Ferer. W.	24 Zacharvi Pr.	Marka i Tymoteusza.
6 S.	Celestyny P. i Wilhelma.	25 <b>Blah. Pr. Boh.</b>	<b>Zwiastow. X. P. M.</b>
7 N.	<b>Biała</b> Epifanjusza B.	26 <b>4 W. Posta</b> Ar. Hawr.	<b>4 Post.</b> Ludgera B.
8 P.	Dyonizego B.	27 S. Matrony Pr.	Rupertu i Aleksandry.
9 W.	Marji Kleofy.	28 Hariona Pr.	Syxtusa Papieża.
11 S.	Ezechiela Proroka.	29 Marka i Kirylla Prep.	Cyryaka.
10 C.	Leona Papieża.	30 Joanna Prep.	Kwiryna i Angeli.
12 P.	<i>N. P. M. Bol.</i> Juljusza P.	31 Ipatia S. M.	Balbiny i Kornela.
13 S.	Hermenegilty i Idy.	1 APRIL. Marii Ehip.	1 KWIEC. Hugona.
14 N.	<b>Kwiet.</b> Walentego M.	2 <b>N. 5 W. Posta</b> Tita.	<b>5 Post. Biała</b> Francisz.
15 P.	Anastazji.	3 Nikity Ispow.	Ryszarda.
16 W.	Lamberta M.	4 Josifa Piesnop.	Izydora Biskupa.
17 S.	Aniceta P. i Rudolfa	5 Feodula M.	Wincentego.
18 C.	<i>Wielki.</i> Apolonjusza M.	6 S. Ewtichia Ar.	Wilhelma i Celestyny.
19 P.	<i>Wielki.</i> Hermogenesa M.	7 Heorhia Prep.	Epifan. <i>N.P.M. Bol.</i>
20 S.	<i>Wielka.</i> Sulpicjusza M.	8 Irodyona Ap.	Dyonizego.
21 N.	<b>Wielkanoc</b> Anzelma B.	9 <b>N. Werbna</b> Ewpsich.	<b>N. Kwiet.</b> Marji Kleo.
22 P.	<b>Wielkanoc</b> Sotera i Kaja.	10 Terentia Mucz.	Ezechiela Proroka.
23 W.	Wojciecha B. M.	11 Antypy S. M.	Leona P.
24 S.	Jerzego i Bony P.	12 Wasilia Ep.	Juljusza Papieża.
25 C.	Marka Ewangelisty.	13 <i>Wel.</i> Artemon. S. M.	<i>C. Wiel.</i> Hermenegil.
26 P.	Marcelina i Kleta B. M.	14 <i>Wel.</i> Martina.	<i>P. Wiel.</i> Walentego.
27 S.	Teofila B. i Anastazego.	15 <i>Wel.</i> Aristarcha Ap.	<i>S. Wiel.</i> Bazylego.
28 N.	<b>Przewodnia.</b> Witalisa.	16 <b>Wos. Chr.</b> Ahapii.	<b>Zmar. P.</b> Lamberta.
29 P.	Piotra Męczennika.	17 <b>Świet.</b> Simeona Pr.	<b>Wielk.</b> Rudolfa B.
30 W.	Katarzyny Seneńskiej.	18 <b>Świetły.</b> Joanna Prep.	Apolonjusza M.


**MAJ** ma dni XXXI.

**MAJ.**
**MAJ.**

Dnie:	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym.-Katolick. w Rosji.
1 S.	Filipa i Jakóba Apost.	19 APR. Joanna Prep.	Hermogenesa.
2 C.	Anastazego i Zygmunta.	20 Feodora Prep.	Silpicjusza i Serwac.
3 P.	Znalezienie Ś. Krzyża.	21 Januaria S. M.	Anzelma Bisk.
4 S.	Florjana M i Moniki wd.	22 Feodora Prep.	Sotera i Kaja PP.MM.
5 N.	<b>2 p. W</b> GROBU. Ch. Piusa.	23 N. <b>Fto</b> Heorhia W.M.	<b>N. Przew</b> Jerzego.
6 P.	Jana Apost. w Oleju.	24 Sawwy Strat.	Bony i Fidelisa K.
7 W.	Domiceli P.	25 Marka Ap. Ewang.	Marka Ewangelisty.
8 S.	<b>Stanisława Bisk.</b>	26 Wasilia Ś. M.	Marcelego.
9 C.	Grzegorza B.	27 Simeona S. M.	Teofila B.
10 P.	Izydora Or.	28 Jasona Apost.	Witalisa M.
11 S.	Mamerta B.	29 SS. 9 Muczen. w Kir.	Piotra M.
12 N.	<b>3 p. W</b> Pankr. N.P.M. Ła.	30 N. <b>Miron</b> Jakowa Ap.	<b>N. 2 po W</b> Katarz. S.
13 P.	Serwacego Bisk.	1 MAJ. Jeremii Pr.	1 MAJ. Filipa i Jakóba.
14 W.	Bonifacego M.	2 S. Afanasia W.	Atanazego i Zygmunta
15 Ś.	Zofji z 3-ma córkami.	3 Timofeja Mucz.	Znalezienie św. Krz.
16 C.	Jana Nepomo. i Ubalda B.	4 Pelahii Prep. M.	Florjana M. i Moniki.
17 P.	Paschalisa.	5 Iryny W. M.	Pjusa W. P.
18 S.	Feliksa Kap. i Eryka Kr.	6 S. Jowa Mnhostrad.	Jana Ap. w Oleju.
19 N.	<b>4 p. W</b> Piotra Celest.	7 N. <b>Razsk</b> Znam. Kres.	<b>N. 3 po W.</b> Domicelli.
20 P.	Bernarda Sen.	8 Ś. Ap. Joan. Boh.	<b>Stanisława. B.</b>
21 W.	Heleny, Wiktora i Donata	9 <b>Nikotaja Czud.</b>	Grzegorza.
22 Ś.	Julji P.	10 Simeona Zolota Ap.	Izydora.
23 C.	Dezyderjusza.	11 Mofodia i Konstant.	Mamerta B.
24 P.	Joanny wdowy.	12 Epifania i Hermana.	Pankracego.
25 S.	Grzegorza VII. i Urbana.	13 Hlikierii M.	Serwacego.
26 N.	<b>5 p. W</b> Filipa Ner. W.	14 N. <b>Samar.</b> Isidora M.	<b>N. Sama</b> Bonifacego.
27 P.	† Magdaleny de Pazzis.	15 Pachom. Wel.	Zofji z 3-ma córk.
28 W.	† Hermana i Lucjana M.	16 Feodora Oświasz.	Jana Nep. i Ubalda.
29 Ś.	† Teodozji P. Męcz.	17 Andronika Ap.	Pashalisa.
30 C.	<b>Wniebow. Pan</b> Felixa P.	18 Feodota Mucz.	Eryka Kr. i Feliksa.
31 P.	Petronelli P.	19 Patrikia S. M.	Piotra i Celestyna.


**CZERWIEC** ma dni XXX.

**JUNII.**
**CZERWIEC.**

Dzie:	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym.-Katolick. w Rosji
1 S.	Fortunata i Prokula.	20 MAJ. Alexia Mitr.	Bernarda Senen.
2 N.	6 p. W. Erazma i Blandyny	21 N. Slep. S. Konst.	N. Slep. Heleny.
3 W.	Klotyldy Kr.	22 Wasilisha Mucz.	Julji P. M.
4 P.	Flawjana Opata.	23 Michaila Prep.	Dezyderjusza.
5 Ś.	Bonifacego B. i Walerji.	24 Simeona Prep.	Joanny Wdowy.
6 C.	Norberta Opata.	25 Wes. Hosp. Ob. St. S.	Wnieb. Pań Gregorza.
7 P.	Roberta Opata.	26 Karpa A. (Joanna)	Filipa Ner.
8 S.	Medarda.	27 Ferapont S. M.	Magdaleny i Bedy.
9 N.	Zestanie S. D Pryma M.	28 N. S. Otec. Nikity Pr.	N. 6 po W. Hermana.
10 P.	Świątecz. Malgorzaty.	29 Feodosyi M.	Teodozji M.
11 W.	Barnaby Apost.	30 Isaakia Pr.	Feliksa i Ferdynanda.
12 Ś.	† Onufrego Pustel.	31 Ermia Ap.	Petroneli P.
13 C.	Antoniego z Padwy W.	1 JUNI. Justina.	1 CZERW. Fortunata.
14 P.	† Bazylego B.	2 Nikifora Patr.	Blandyny P. M.
15 S.	† Witai Modesta MM.	3 Łukiliana Mucz.	Erazma B. M.
16 N.	S. Trojcy. Benona B.	4 N. Sos. S. Duchy. Mitr.	Zest. S. Duchy Klotyl.
17 P.	Marcjana i Adolfa.	5 P. Sw. Duchy. Doroteja.	Świątecz. Bonifacego.
18 W.	Marka i Marcelego.	6 Wissarjona Pr.	Norberta B.
19 Ś.	Juljanny P. Gerw. i Prota.	7 Feodota Mucz.	Roberta Ap.
20 C.	Boże Ciało. Sylwestra.	8 Feodora W. M.	Maxima i Medsda.
21 P.	Aloizego Gonzagi W.	9 Sw. Kirylla.	Pryma i Felcyi.
22 S.	Paulina B. i 20,000 M.M.	10 Timofeja S. M.	Malgorzaty.
23 N.	2 po Świąt. Agrypiny.	11 N. Wszech Sw. Warfol.	N. Trojcy S. Barnaby.
24 P.	Narodz. S. Jana Chrz.	12 Onufr. P. 1 d. Petr. pos.	Onufrego.
25 W.	Prospera B. i Febroniego	13 Akiliny M.	Antoniego z Padwy.
26 Ś.	Jana i Pawła MM.	14 Eliseja Pror.	Bazylego P.
27 C.	Władysława Kr. Węg.	15 Ammosa Pr.	Boże Ciało. Wita.
28 P.	Serca Jezusa. Ireneusza.	16 Tychona Czud.	Benona i Justyny.
29 S.	Piotra i Pawła Apost.	17 Manuila M.	Marjana M. i Adeli.
30 N.	3 po Świąt. Emilji i Lu. (cyny)	18 2 po Sw. Leontia M.	N. 2 po 8 Marka Ew.




**LIPIEC** ma dni XXXI.

**JULII.**
**LIPIEC.**

Dzień:	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym.-Katolick. w Rosji
1 P.	Teobalda, Pustelnika.	19 JUNII. Judy Apo.	Gerwazego i Protaze.
2 W.	Nawiedz. <i>N. M. P.</i> i Ottona.	20 Mefodia S. M.	Sylwestra i Florjana.
3 Ś.	Heliodora i Anatoliusza.	21 Juliana Mucz.	Alojzego Gonzagi.
4 C.	Józefa Kalasantego W.	22 Ewsewia S. M.	Paulina Bis.
5 P.	Filemeny P. i Karoliny.	23 Abripiny M.	Agryp. P. M. <i>Ser. Tez.</i>
6 S.	Izajasza Pr. i Domiceli P.	24 <b>Roźdeśt S. Jana Krest</b>	<i>Narodz. s. Jana Chrz.</i>
7 N.	<b>4 po S.</b> Jana z Dukli, Apo.	25 <b>N. 3 po S.</b> Fewronii P.	<b>N. 3 po S.</b> Prospera.
8 P.	Elżbiety wdowy. (Ionjusza.	26 Dawida Prep.	Jana i Pawła MM.
9 W.	Cyrylla B. Zenona M. Anat.	27 Samszona Stran.	Władysława Kr. Węg.
10 S.	7 Braci MM. i Amelji.	28 Kira i Jaanna.	Ireneusza B. i Leona.
11 C.	Sabina W. Pelagji P. M.	29 <b>SS. Petra i Pawła.</b>	<b>Piotra i Pawła.</b>
12 P.	Jana Gwalberta Op.	30 Sobor SS. 12 Apost.	Emiljanny i Lucjanny.
13 S.	Małgorzaty P. M.	1 JULII. Kosmy i Damia.	1 LIPIEC Teodoryka.
14 Ś.	<b>5 po S.</b> Bonawentury B.	2 <b>N. 4 po S.</b> Położ. Riz. P.	<b>N. 4 po S.</b> <i>Naw. N. P. M.</i>
15 P.	Rozesłanie Ap. i Henryka.	3 Jakinfa Mucz.	Heljodora i Antoljusza
16 W.	<i>N. M. P. Szkaplerznej.</i>	4 Andreja Arch.	Józefa Kalasantego.
17 S.	Alexego i Berty.	5 Afanasia Afons.	Filomeny P.
18 C.	Szymona z Lipna i Kamila.	6 Sisoja Welik.	Dominika P. M.
19 P.	Wincentego a Paulo.	7 Fomy Prep.	Apolonjusza Bis.
20 S.	Eljasza Pror. i Czesława.	8 Prokopia W. M.	Elżbiety Wdowy.
21 N.	<b>6 po S.</b> Praxedy P.	9 <b>N. 5 po S.</b> Pankratia.	<b>N. 5 po S.</b> Cyrylego.
22 P.	Marji Magdaleny.	10 SS. 45 Muczen. Anton.	7 Braci MM. i Amelji.
23 W.	Apolinarego B.	11 S. Ewfinii i Olgi.	Sabina W. Pelagji P.
24 S.	Krystyny Panny M.	12 Prokja i Ilarja.	Jana Gwalberta Op.
25 C.	Jakóba Ap.	13 Sobor Arch. Hawriila.	Małgorzaty P.
26 P.	Anny Matki <i>N. M. P.</i>	14 Akily Apost.	Bonawentury Bis.
27 S.	Natalji P. i Pantaleona.	15 S. Władimira.	Rozesłanie Apostołów
28 N.	<b>7 po S.</b> Innocentego. Pap.	16 <b>N. 6 po S.</b> Afinohena	<b>N. 6 po S.</b> <i>N. M. P. Szk.</i>
29 P.	Kunegundy.	17 Mariny W. M.	Alexego i Berty
30 W.	Abdona i Senneny MM.	18 Jakinfa M.	Szymona z Lipna.
31 Ś.	Ignacego Lojoli W.	19 Makryna Pr.	Wincentego.


**SIERPIEŃ** ma dni XXXI.

**AWGUST.**
**SIERPIEŃ**

Dzie:	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickie.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym.-Katolick. w Rosji
1 C.	Piotra w Okowach.	20 Julii. S. Pror. Ilii.	Eljasza i Czesława.
2 P.	<i>N. M. P. Anielskiej.</i>	21 Simeona Prep.	Praxydy P. i Daniela.
3 S.	Znalezienie S. Szczepana.	22 S. Maryi Mahdaliny.	Maryi Magdaleny.
4 N.	<b>8 po S.</b> Dominika Wyzn.	23 <b>N. 7 po S.</b> Trofima M.	<b>N. 7 po S.</b> Apolonjusza
5 P.	N. M. P. <i>Śnieżnej.</i>	24 Borisa i Hleba	Krystyny P. M.
6 W.	<i>Przemienienie Pańskie</i>	25 Uспен. S. Anny.	Jakóba Apostoła
7 S.	Kajetana Wyzn.	26 Ermolaja S. M.	Anny Matki N. P. M.
8 C.	Cyryaka i Larga MM.	27 Pantalejmona W. M.	Natalji i Pantaleona.
9 P.	Romana M.	28 Prochora. Apost.	Inocentego Pap.
10 S.	Wawrzyńca M.	29 Kalinika Mucz.	Marty i Serafimy PP.
11 N.	<b>9 po S.</b> Zuzanny i Dygny.	30 <b>N. 8 po S.</b> Sily i Silu.	<b>N. 8 po S.</b> Abdona.
12 P.	Klary P.	31 Ewdokima.	Ignacego Lojoli W.
13 W.	Hipolita i Kassjana.	1 Awg. S. Mucz. Mak.	1 SIERP. Piotra w Ok.
14 S.	Euzebiusza Kapł. W.	2 Stefana Archid.	<i>N. P. M. Anielskiej.</i>
15 C.	<b>Wniebow. N. P. M.</b>	3 Isaakia Prep.	Znalez. S. Szczepana.
16 P.	Rocha Wyznawcy.	4 S. 7 Otroków w Efcz.	Dominika Wyzn.
17 S.	Anastazjusza B.	5 Ewsignija M.	<i>N. M. P. Śnieżnej.</i>
18 N.	<b>10 po S.</b> Jacka i Bronisława	6 <b>N. 9 po S.</b> Preobr. Hos.	<b>N. 9 po S.</b> <i>Przem. P.</i>
19 P.	Rufina W. Benigny P.	7 Dom Prep.	Kajetana Wyzn.
20 W.	Bernarda Op.	8 Emiliana Isp.	Cyrjaka i Larga.
21 S.	Joanny Fremiot Wdowy.	9 Matfija Ap.	Romana M.
22 C.	Symforjana i Tymoteusza.	10 S. Ławrentia Mucz.	Wawrzyńca M.
23 P.	Filipa Benicyusza W.	11 Ewpla Mucz.	Zuzanny i Dygny.
24 S.	Bartłomieja Apost.	12 Fotia Mucz.	Klary P.
25 N.	<b>11 po S.</b> Ludwika Króla.	13 <b>N. 10 po S.</b> Maksima P.	<b>N. 10 po S.</b> Hipolita.
26 P.	Zefiryňa Pap. M.	14 Micheja Pr.	Euzebjusza K. W.
27 W.	Cezarjusza Biskupa.	15 <b>Uspe. Pr. Bohor.</b>	Rocha W.
28 S.	Augustyna Biskupa.	16 Nerukotw. Obr.	Anastazjusza B.
29 C.	Ścięcie S. Jana Chrzciec.	17 Mirona Mucz.	Agapita i Bronisława.
30 P.	Róży P.	18 Flora i Ławra M.	Rufina i Benigny.
31 S.	Rajmunda W. Rufiny P.	19 S. Andreja Stratił.	<b>Wniebowz. N. P. M. N.</b>


**WRZESIEŃ** ma dni XXX.

**SENTIABR.**
**WRZESIEŃ.**

Dnie:	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym. Katolick. w Rosji.
1 N.	<b>12 po Świąt.</b> Idziego Op.	20 Awg. <b>N. 11 po S.</b> Samuila	<b>N. 11 po S.</b> Bernarda.
2 P.	Stefana K. W.	21 Faddeja Apostoła.	Joanny Fremiot. Wd.
3 W.	Izabelli Kr. i Eufrozyny.	22 Ahafonika M.	Symforjana i Tymo-
4 S.	Rozalji Panormit P.	23 Irineja. S. M.	Filipa. (teusza.
5 C.	Wawrzyńca i Justynjana.	24 Ewticha S. M.	Bartłomieja Apost.
6 P.	Zacharjasza Pr.	25 Warfolor. Ap.	Ludwika Króla.
7 S.	Reginy Panny M.	26 Adryana i Natalii	Zefryna.
8 N.	<b>13 po S. Narod. N. M. P.</b>	27 <b>N. 12 po S.</b> Pimena Pr.	<b>N. 12 po S.</b> Cezarego.
9 W.	Adryana.	28 Moiseja i Murina.	Augustyna Bis.
10 P.	Mikołaja z Tolentyna W.	29 <b>Usie. Hl. S. Joanna.</b>	Ścięcie św. Jana Chr.
11 S.	Emiljana B. i Prota M.	30 Alexandra New.	Róży P. B.
12 C.	Walerjana i Salezego.	31 Położ. Pojasa Bohor.	Rajmunda i Rufina.
13 P.	Mauryliusza M.	1 SENT. Simeona Pr.	1 WRZE. Idzieja Opat.
14 S.	<i>Podwyższenie S. Krzyża.</i>	2 Mamanta M.	Stefana Kr. Węgiers.
15 N.	<b>14 po S.</b> Nikodema <i>Im. M.</i>	3 <b>N. 13 po S.</b> Anfima S.	<b>N. 13 po S.</b> Izabeli.
16 P.	Cypryana i Eufemji M.	4 Wawily S. M.	Rozalji Pan. P.
17 W.	Justyna i 5 ran S. Francisz.	5 Zacharyi Pr.	Justynjana B. i Waw.
18 S.	† Józefa z Kopertynu.	6 Wos. Cz. Ar. Mich.	Zacharjasza.
19 C.	Januaryusza B. M.	7 Sozonta M.	Reginy P. M.
20 P.	† Eustachjusza M.	8 <b>Rożd. Pr. Boh.</b>	<b>Narodz. N. M. P.</b>
21 S.	† Mateusza Apos. Ewan.	9 Joakima i Anny.	Adryana i Gorgonju.
22 N.	<b>15 po Sw.</b> <i>Ladystawa.</i>	10 <b>N. 14 po S.</b> Minodory.	<b>N. 14 po S.</b> Mikołaja.
22 P.	Tekli P. M.	11 Fejdory Prep.	Emiljana i Prota.
24 W.	<i>N. M. P. M. od wycz. niewol.</i>	12 Awtononia S. M.	Walerjana i Salezego
25 S.	Cyprjana i Eufemji.	13 Kornilia S. M.	Maureliusza.
26 C.	Klefasa B.	14 <b>Wozd. Czes. Kresta.</b>	<i>Podwyższenie S. Krzyża</i>
27 P.	Kosmy i Damjana MM.	15 Nikity. Mucz.	Nikodema <i>Im. Marji.</i>
28 S.	Wacława Kr. Czes.	16 Ewfimii W. Mucz.	Cyprjana i Eufemji.
29 N.	<b>16 po S.</b> Michała Archan.	17 <b>N. 15 po S.</b> Sofii M.	<b>N. 15 po S.</b> Justyna.
30 P.	Hieronima Dokt. Kościoła.	18 Ewmenia Prep.	Józefa z Kopertynu.



**PAŹDZIERNIK** ma dni XXXI.

Dnie: **ŚWIĘTA KOŚCIOŁA**  
Rzymsko-Katolickiego

1 W.	Remigjusza Bisk.
2 S.	SS. Aniołów Stróżów.
3 C.	Kandyda M. i Ludomiła.
4 P.	Franciszka Serafickiego.
5 S.	Placyda W. i Flawianny.
6 N. 7	<b>17 po S.</b> N. P. M. Roż. Brun.
7 P.	Justyny P. M.
8 W.	Brygidy Wdowy.
9 Ś.	Dyonizego B. M.
10 C.	Franciszka Borgjasza. W.
11 P.	Placydy Panny.
12 S.	Maksymiljana B.
13 N.	<b>18 po Sw.</b> Edwarda.
14 P.	Kalixta Pap. M.
15 W.	Jadwigi Wd. i Teresy P.
16 S.	Florentyna B. i Gawła Op.
17 C.	Wiktora B. Lucyny.
18 P.	Łukasza Ewangelisty.
19 S.	Piotra z Alkantary.
20 N.	<b>19 po Sw.</b> Ireny Panny.
21 P.	Urszuli P.
22 W.	Korduli P. M. i Alfonsa.
23 S.	Jana Kapistrana. W.
24 C.	Rafala Archaniola.
25 P.	Kryspa i Kryspina.
26 S.	Ewarysta Pap. M.
27 N.	<b>20 po S.</b> Jana Kan. Sabiny
28 P.	Szymona Judy i Tadeusza.
29 W.	Nareczya B. i Euzebj. P. M.
30 S.	Zenobiusza B. M.
31 C.	Wolfganga Biskupa.

**OKTIABR**

**ŚWIĘTA KOŚCIOŁA**  
Prawosławnego.

19 S.	Trofima. Mucz.
20	Ewstafia W. M.
21	Kondrata Apost.
22	Foki S. M.
23	Zacz. S. Joanna.
24 N. 16	<b>po S.</b> Fekly S. M.
25	Ewfrosi Prep.
26	Joanna Bohośł.
27	Kalistrata M.
28	Charitona Prep.
29	Kiriaka Prep.
30	Hrihoria S. M.
1 Okt. N. 17	<b>po S. Pokr.</b>
2	Kipr. S. M. (Pr. Boh.)
3	Dionizija S. M.
4	Jerofeja S. M.
5	Charitiny M.
6	Fomy Apost.
7	Serhia M.
8 N. 18	<b>po S.</b> Pelahij Pr.
9	S. Ap. Jakowa.
10	Ewlampia M.
11	Filippa Ap.
12	Prowa Mucz.
13	Karpa M. i Papily.
14	Nazarija M.
15 N. 19	<b>po S.</b> Ewfimia P.
16	Lonhina M.
17	Osii Pror.
18	Łuki Apos. Ewang.
19	Joila Pror.

**PAŹOZIERNIK.**

**ŚWIĘTA KOŚCIOŁA**  
Rzym-Katolick. w Rossji.

Januarjusza B. M.	
Eustachjusza.	
Mateusza Apost. Ew.	
Maurycyego M.	
Feliksa P. M.	
N. 16 po S.	Gerarda.
Cyprjana i Justynjana	
Kieplasa B.	
Kosmy i Damjana.	
Wacława Króla Czes.	
Michała Archaniola.	
Hieronima Doktora.	
1 PAŹD. N. 17 po S.	Re-
Aniołów Stróż. (mig-	
Kandyda i Ludomiła.	
Franciszka Serafic.	
Placyda i Flawjusza.	
Brunona W. i N. P. M.	
Justyn P. M. (Rożań.)	
N. 18 po S.	Brigidy.
Djonizego B. M.	
Franciszka Borg.	
Placydy P.	
Maksymiljana B.	
Edwarda Kr. Ang.	
Kaliksta Pap. M.	
N. 19 po S.	Jadwigi.
Florentyna B.	
Wiktora B. i Lucyny.	
Łukasza Ewang.	
Piotra z Alkantary.	


**LISTOPAD** ma dni XXX.

**NOJABR.**
**LISTOPAD!**

Dzień:	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym.-Katolick. w Rossji.
1 P.	<b>Wszystkich Świętych.</b>	20 OKTIABR. Artemia M.	Ireny Panny.
2 S.	<b>Dzień Zaduszny.</b>	21 Mariena Wislik.	Urszuli Panny.
3 N.	<b>21 po S.</b> Huberta B. Wen.	22 <b>N. 20 po S. Kaz. Boz. M.</b>	<b>N. 20 po S.</b> Korduli P.
4 P.	Karola Boromeusza.	23 Jakowa Apost.	Jana Kapist.
5 W.	Emeryka Kr.	24 Aurefy Mucz.	Rafala Arch. W.
6 S.	Leonarda Wyz.	25 Markiana Mucz.	Kryspa i Kryspiny.
7 C.	Wilibarda B. i Eng. elb.	26 Dimitria W. M.	Ewarysta Pap. M.
8 P.	Godfryda B. i 4 Koronata.	27 Nestora Mucz.	Sabiny Mecz.
9 S.	Teodora Mecz.	28 Terentia Mucz.	Szymona Judy i Tad.
10 N.	<b>22 po Sw.</b> <i>Opieki N. F. M.</i>	29 <b>N. 21 po S.</b> Anast. Rim.	<b>N. 21 po S.</b> Narcyssa.
11 P.	Marcina B. (Andrzeja z Aw.)	30 Zinowia i Zinowii.	Zenobjusza B. M.
12 W.	5 braci Polaków MM.	31 Stachija Apost.	Wolfganga Bis.
13 S.	Dydaka Wyznawcy.	1 NOJABR. Kosmy i Dam.	1 List. <b>Wszyst. SS.</b>
14 C.	Serapiona i Klementyny.	2 Akindina Mucz.	<b>Dzień Zad.</b> Wiktora.
15 P.	Leopolda Wyznawcy.	3 Akepsimy Mucz.	Huberta B.
16 S.	Edmunda B.	4 Joannikia Prep.	Karola Boromeusza.
17 N.	<b>23 po Sw.</b> Salomei P. Sta-	5 <b>N. 22 po S.</b> Hatak. M.	<b>N. 22 po S.</b> Emeryka.
18 P.	Maxima B. ( <i>nistawa Kost.</i> )	6 Pawla Patr.	Leonarda Wyz.
19 W.	Elzbiety Król. Węg.	7 SS. 33 Mucz. Antonin.	Wilibarda B.
20 S.	Feliksa Walezjusza.	8. <b>Sob. S. Michaita.</b>	Gotfryda B. i 4 Koron.
21 C.	<i>Ofiarowanie N. M. P.</i>	9. Onisifora Mucz.	Teodora M.
22 P.	Cecylji P. M.	10. Erasta i Olimpa Apo.	Andrzeja z Awelinu.
23 S.	Klemensa Papieża.	11. Miny W. M.	Marcina Biskupa.
24 N.	<b>24 po Sw.</b> Jana od Krzyża.	12. <b>N. 23 po S.</b> Joanna Mił.	<b>N. 23 po S.</b> 6 Braci P.
25 P.	Katarzyny P. M.	13. Joanna Złotoustą.	Dydaka Wyznawcy.
26 W.	Piotra Ale. i Grzegorza B.	14. Filipa Apost.	Syrapiona i Klement.
27 S.	Barlaama.	15. Huria Mucz.	Leopolda.
28 C.	Mansweta B. i Rufa M.	16. Matfieja Apost.	Edmunda M.
29 P.	Saturnina Męczennika.	17. Hrihoria Neokesar.	Salomei P.
30 S.	Andrzeja Apostoła.	18. Płatona i Romana M.	Maksyma M.



**GRUDZIEŃ** ma dni XXX.

**DEKABR.**

**GRUDZIEŃ.**

Dnie	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzymsko-Katolickiego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Prawosławnego.	ŚWIĘTA KOŚCIOŁA Rzym- Katolic. w Rosji.
1 N.	<b>Adw.</b> Eligjusza B.	19 N. <b>24 po S.</b> Awdia Pr.	N. <b>24 po S.</b> Elżbiety.
2 P.	Bibianny P.	20 Hrihorta Dek.	Feliksa Walezjusza.
3 W.	Franciszka Ks. W.	21 <b>W. Ch. Pr. Bohor.</b>	<i>Ofiarow. N. P. M.</i>
4 S.	Barbary P. M.	22 Filimona Apost.	Cecylji P. M.
5 C.	Sabby Op. i Piotra Celes.	23 Amfilochia Ep.	Klemensa Pap.
6 P.	Mikołaja B. M.	24 Ekateriny W. M.	Jana od Krzyża. W.
7 S.	Ambrożego B. Dokt. Koś.	25 Klimenta Papy.	Katrzyzny P. M.
8 N.	<b>Adw. Niep. Pocz. N. P. M.</b>	26 N. <b>25 po S.</b> Heorhia W.	N. <b>25 po S.</b> Piotra Al.
9 F.	Leokadji P. M. i Walerji.	27 Jakowa Pers.	Barlaama.
10 W.	<i>N.M.P. Loret.</i> i Elulalji.	28 Stefana Prep.	Mansweta B. i Rufa.
11 S.	Damazego Pap.	29 Paramona M.	Saturnina M.
12 C.	Synerjusza M. i Aleksego.	30 Andreja Apost.	Andrzeja Apost.
13 P.	Łucji P. M. i Otylji.	1 DEKABR. Nauma Pr.	1 GRUD. Eligjusza B.
14 S.	Spirydjona B. W.	2 Awakuma Pror.	Bibjanny P.
15 N.	<b>Adw.</b> Ireneusza M.	3 N. <b>26 po S.</b> Sofania Pr.	N. <b>26 po S.</b> Franciszka.
16 P.	Buzebjusza B. M.	4 Warwary W. M.	Barbary P. M.
17 W.	Łazarza B. i Olimpji.	5 Sawwy Ośw.	Sabby i Piotra C.
18 S.	† Gracjana B.	6 <b>Nikołaja Czud.</b>	Mikołaja B. M.
19 C.	Faustyny Wd. z Nemezys.	7 Amwrosija Ep.	Ambrożego B. Dokt.
20 P.	† Teofila Męcz.	8 Patapia Prep.	<b>Niepok. Pocz. N. M. P.</b>
21 S.	† Tomasza Apostoła.	9 Zączat. S. Anny.	Leokacji P. M.
22 N.	<b>Adw.</b> Zenona i Flawiu.	10 N. <b>27 po S.</b> Miny M.	N. <b>27 po S.</b> <i>N.M.P.Lor.</i>
23 P.	Wiktorji P. M.	11 Daniła Prep.	Damazego Pap.
24 W.	† <i>Wigilia.</i> Adama i Ewy.	12 Spiridona Czud.	Synerjusza M.
25 S.	<b>Narodz. Chr. P.</b>	13 Ewstratia Mucz.	Łucji P. M. i Otylji.
26 C.	<b>Szczepana M.</b>	14 Firsza Mucz.	Spirydjona B. W.
27 P.	Jana Ewangielisty.	15 Elewferia S. M.	Ireneusza M.
28 S.	Młodzianków.	16 Abheja Pror.	Euzebjusza B. M.
29 N.	<b>po Boż. Nar.</b> Tomasza K.	17 N. <b>28 po S.</b> Daniła Pr.	N. <b>28 po S.</b> Łazarza B.
30 P.	Eugenjusza B.	18 Sewastiana M.	Gracjana Biskupa.
31 W.	Sylwestra Papieża.	19 Wonifatia Mucz.	Faustyny Wdowy.

## KAPLICA PANA JEZUSA

### w Katedrze Warszawskiej.

Któż z mieszkańców Warszawy nie zna téj kaplicy? kto w niej się nie korzył przed wizerunkiem Pana nad Pany? kto tu ulgi nie doświadczył w cierpieniu, pociechy w smutku, wytrwałości w znacém przedsięwzięciu??

Ciemna ona i tak maluczka, że zaledwie kilka osób wygodnie się pomieścić może, a przecież obszernie w niej, bo światło duszy pobożnej i modlitwa posiada siłę magiczną rozszerzania się w przestwór, w nieskończoność i napełniania światłością najciemniejszych otchłani. To téż, skoro tylko kościół otwarty, zawsze tu znaleźć można pobożnych, korne zanoszących modły. A że te nie napróżno wnoszą się przed tron Przedwiecznego, że obfite łaski na wiernych z wizerunku Boga ukrzyżowanego spływają, dowodem są liczne wota, któremi tenże wizerunek jest obwieszony.

Dziwneż bo i koleje jego! Kiedys, przed reformą Lutera, zdołał on jeden z kościołów miasta Norymbergji, leżącego, jak zapewnie wiecie, w królestwie Bawarskiém. Następnie, gdy nastaly srogie wojny religijne w Niemczech, wznieczone nową nauką Lutera i Kalwina, gdy obie strony, to jest lutrzy i katolicy zapamiętały się prześladowały, wzajem odbierając lub niszcząc świątynie, i ów kościół, w którym się rzeczony wizerunek znajdował, został zamknięty i zniesiony. I bardzo być może, że figura Zbawiciela poszłaby w zupełną poniewierkę, gdyby jój nie odkupił i nie sprowadził do Warszawy, pobożny burmistrz tego miasta, 1539 roku, Jerzy Baryczka. Umiesz-

czono ją z początku w kaplicy tutejszej, Balcerowską zwanęj, gdzie też rychło zasłynęła licznemi cudami, a nadewszystko nadzwyczajném swém ocaleniem w 1602 r., gdy sklepienie téjże kaplicy zapadło.

Zygmunt III król polski, któremu Warszawa tyle zawdzięcza, polecił przenieść ją do ołtarza Najświętszej Panny w kościele św. Jana. Ale rodzina Baryczków, której z prawa należała nad nią opieka, złożyła w roku 1639 najprzód fundusze na wystawienie osobnego ołtarza, a następnie, w roku 1652 na terazniejszą kaplicę, która atoli dopiero w końcu tegoż XVII wieku ukończoną została. Później, to jest w roku 1762, ozdobił ją Klemens Branicki hetman wielki koronny, o czém i napis łaciński umieszczony nade drzwiami kaplicy, zaświadcza.

Odtąd szeroko rozchodzi się po kraju pobożna sława téj kaplicy, tłumią się wierni z modlitwą na ustach i w sercu do jéj podwoi, sypią się składki na jéj utrzymanie, a ten i ów przynosi kosztowne ze złota i srebra wota, drogiemi obciami i obrazami ją przyozdabia, tak, że już za Augusta III Sasa, zabrakło miejsca do ich zawieszania. Ztąd też wiele ich ubyło, zwłaszcza bogatszych, a pozostały tylko mniej cenne. Wyjątek wszakże stanowi piękne antepedjum, obite srebrną blachą, przedstawiające wypukłe oko Opatrzności, herb Pogoń Czetyrtyńskich i samego ofiarodawcę klęczącego z dwoma synami i córką.

Kaplica ta leży po lewej stronie od wejścia, w samym końcu bocznej nawy, na kilka-stopniowém wzniesieniu. Odrzwia jéj są z pięknego, czarnego marmuru, drzwi żelazne, na kopule zaś ma malowania dobrego pędzla, przedstawiające Boga Ojca w obłokach. W ołtarzu także z czarnego marmuru, pięknej roboty, mającym na wierzchu z gipsu wyobrazone narzędzia męki Chrystusa, otoczone glorią, znajduje się owa figura Ukrzyżowanego Zbawiciela, o którejśmy mówili, z drzewa doskonałego, niemieckiej szkoły dłuta.

Po prawej stronie od wejścia, w téjże kaplicy, znajduje się nagrobek, z pięknym wizerunkiem Wojciecha Baryczki, któ-



ry zmarł w 1643 r., u dołu zaś drugi Jana Szembeka, kancle-  
rza wielkiego koronnego, (zm. 1731 r.), z polskim napisem  
i modlitwą, którą sam ułożył i nad grobem swoim umieścić  
polecił.

Mściław Kamiński.

## OWCA ZBLĄKANA I SYN MARNOTRAWNY.

Wszystkie słowa, wszystkie cuda, wszystkie uczynki Zba-  
wiciela, jeden i ten sam cel miały, to jest, odkupienie człowie-  
ka. Słowami swemi rozpraszał on pomrokę błędu i ciemnoty;  
cudami, dowodził Bóstwa swojego; uczynkami okazywał czułe  
politowanie dla niedoli naszej. Jednym słowem, całe życie Je-  
zusa Chrystusa zinierzało do tego, aby wydzwignąć ród ludzki  
z opłakanego stanu, w jaki go grzech pogrążył. Dobrocią  
i poufałością, chciał on rozproszyć bojaźń powszechną i nie-  
wolniczą, jakiej człowiek doświadczał względem Boga. Wszyst-  
ko przemawiało w nim: „nie lękajcie się, Bóg już jest ułago-  
dzony; jakakolwiek byłaby zbrodnia wasza, miejcie ufność:  
Ojciec mój wyciąga ku wam ręce i czeka waszego nawrócenia.”  
Dla okazania wyraźnie tej pocieszającej prawdy, Jezus powie-  
dział przypowieść o dobrym *Pasterzu* i o *Synu marnotrawnym*:  
zbierzcie uwagę i posłuchajcie tej przypowieści.

„Dobry pasterz—mówił Jezus—mając sto owiec, wszyst-  
kie miłuje i wszystkich strzeże z największą troskliwością. Gdy  
pomimo czujności, która zabłąka mu się owieczka, czyliż jak  
to spostrzeże, nie porzuca natychmiast dziewiędziesiąt i dzie-  
więć owiec na paszy, a nie śpieszy szukać tej, która go odbie-  
gła? Tak jest, szuka jęj wszędzie, nie odpoczywając, dopóki jęj  
nie znajdzie; a znalazłszy nie strofuje jęj i nie karci, ale kła-  
dzie na swoje ramiona i sam odnosi do oweczarni, aby ulżyć jęj  
trudów w powrocie. Przyszędłszy do domu, zwoływa przyja-  
ciół i sąsiadów; winszujcie mi, mówi im i radujcie się ze mną,  
zem znalazł owcę moję, która była zgineła”.

„Otóż—mówi dalej Zbawiciel—obraz waszego Ojca Nie-

bieskiego. Powiadam wam, nawrócenie się jednego grzesznika, sprawia w Niebie większą i żywszą radość, niżeli dziewięćsięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie zblądziwszy, nie potrzebują pokutować”.

Teraz więc, któryż grzesnik lękać się będzie nawracać do Boga? Ale jak to być może, aby owieczka odniesiona do owczarni, milszą była Bogu dla tego, że się zbląkała? Czyliż grzesznik ma być dla tego godniejszym łaski, że zasłużył na kary surowe? Nie, bezwątpienia; ale radość z odzyskania bierze miarę z cierpienia, jakiego nabawiała strata. Sprawiedliwy, stale opierający się grzechowi, zasługuje na szacunek jednostajny i doświadcza względów zawsze równych. Grzesznik zaś nawrócony utula żal, ociera łzy, pociesza, owszem wskrzesza radość, która, zdawało się, że zgasła była na zawsze.

Do przypowieści o owieczce zbląkaniej, przydał Zbawiciel drugą, bardziej jeszcze pocieszającą, jedynie przeznaczoną do zawstydzienia pysznych, a zachęcenia pokutujących.

Jezus zwróciwszy się do Faryzeuszów, którzy mu wyrzucali jego miłość dla grzeszników, tę powiedział przypowieść.

Człowiek niektóry miał dwóch synów. Młodszy z nich rzekł ojcu: „Ojcze! daj mi część majątności, która na mnie przypada”. A ojciec rozdzieliwszy majątność swą na dwie połowy, dał każdemu synowi część nań przypadającą.

Młodzieniec, przy wielkim majątku i zbytecznej swobodzie, zawsze się naraża na niemałe niebezpieczeństwa: młodszy z tych dwóch braci doświadczył tego na sobie. Niedługo po podziale majątku, zabrawszy całe swe dziedzictwo, odjechał; i aby nie widzieć już więcej ani ojca, ani domu rodzicielskiego, udał się do bardzo dalekiego kraju.

Pozbawiony wszelkiego dozoru, wolny od wszelkich przestrog, młodzieniec ten strwonił wkrótce swój majątek na zbytkach i na rozpucie. Na domiar nieszczęścia, gdy już nie mu nie zostawało, wielki głód przyszedł na kraj w którym się znajdował i zaczął doświadczać wielkiej nędzy. Cóż mu wypadało począc, aby mieć kawałek chleba? Oto musiał się zaprzedać. Porzucił ojca, a teraz bierze sobie pana! I wszedł

w służbę do jednego mieszkańca téj krainy, który go wysłał na wieś aby pasał wieprze. Zaprzędaną więc została ta wolność, dla której zrzucił słodkie jarzmo rodzicielskiej władzy. Otóż syn bogatych rodziców do jakiegoż przyszedł stanu?.. pasie teraz wieprze.

Wszystkie atoli jego prace, nie dostarczały mu czém opędzić najgwałtowniejszych nawet potrzeb; zazdrościł on wieprzom lichego jądła, którego mu dotknąć nie pozwalano. Przeprowadzony do ostateczności, syn marnotrawny zastanawiać się zaczął nad sobą. „Iluż najemników w domu ojca mego mówił do siebie, ma obficie chleba, a ja tu umieram z głodu? wstanę i pójdę do ojca mego i rzeknę mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Niebu i przed tobą. Już nie jestem godzien być zwany synem twoim; ale przyjm mnie w liczbę swoich najemników.”

Ale jakże się osmielił on stanąć przed ojcem, którego opuścił tak niegodnie? przed bratem, domownikami, i to w lichéj odzieży do jakiej go przywiodła nędza? Przedstawiać się w takim stanie ojcu, nie byłoż to powiększać gniew jego?

Nie go jednak nie wstrzymało. Puścił się w drogę do rodzicielskiego domu. Daleko był jeszcze kiedy go ojciec spostrzegł. Łachmany i nędza nigdy tyle nie zmieniają syna, iżby go rodzicielskie nie poznało oko. Wzruszyło się serce dobrego ojca; pobiegł na spotkanie syna; rzucił się mu na szyję i całował go. „Ojcze mój, rzekł ten syn zawstydzony i rozrzewniony, zgrzeszyłem przeciw Niebu i przed tobą: już nie jestem godzien być zwany synem twoim”.

Upojony szczęściem zacny ojciec, nie mówiąc do niego ani słówka wyrzutu, nie dając mu nawet kończyć, rzekł do sług swoich: „Przynieście co prędzej najlepszą szatę syna mego i obleczcie go w nią. Włóżcie mu pierścień na palec, dajcie mu obuwie; przywieźcie cielca utuczonego, zabijcie go, i sporządźcie wielką ucztę. Weselmy się! bo syn mój był umarł, a teraz zmartwychwstał, zginął był, a teraz znalazł się”. I zasiędlili do stołu, a przyzwawszy muzykę, wielkiej oddawali się radości.

Wtenczas starszy syn był w polu. Wracając do domu

usłyszał muzykę. Przywołał więc sługę i pytał się co znaczy radość tak niespodziewana.

„Brat twój powrócił, odpowiedział sługa; a ojciec twój uszczęśliwiony z oglądania syna, którego widzieć nie miał już



Syn marnotrawny.

nadziei, kazał zabić utuczonego cielca.” Na tę wiadomość starszy syn rozgniewał się i nie chciał wchodzić do domu. Ojciec usłyszawszy co się dzieje, wyszedł i prosił syna, aby obecnością swoją uzupełnił jego szczęście. „Jako! rzekł do ojca tonem wymówki, ja tyle lat służę tobie i nigdy nie przestąpił roz-

kazania twego, a ty nigdyś mi nie dał nawet koźlęcia, abym ucześnie przyjął moich. A teraz, gdy drugi syn twój, który strwonił częśćkę swoją na rozpuszcie, powraca w nędzy i łachmanach, ty kazałeś mu zabić utuczonego cielca i wyprowadzić wspaniałą ucztę!” „Synu mój! odpowiedział łagodnie dobry ojciec, ty zawsze jesteś ze mną; cały mój majątek do ciebie należy; mocen jesteś nim rozrządzać jak chcesz: W porównaniu z tak szczodłą i niezmienną przyjaźnią, czemuż jest uczta chwilowa, której wymaga zdarzona okoliczność? Wypadło wyprowadzić nadzwyczajną biesiadę i weselić się. Brat twój był umarł i zmartwychstał; zginął był dla ciebie i dla mnie, a teraz go odzyskaliśmy.”

Gdzież znaleźć przypowieść bardziej rozrzewniającą i obfitszą w powody pociechy dla pokutujących grzeszników, tudzież w pożyteczne uwagi dla sprawiedliwych zarozumiałych? Zbawiciel dodaje odwagi pierwszym, odkrywając przed nimi miłosierną dobroć Ojca Niebieskiego, który czeka na nich i zapewniając ich, że mogą, w jakimkolwiek zresztą znajdowaliby się stanie, odzyskać łaskę przez żal za grzechy, bo żal jest bratem niewinności. Drugich uczy Pan Jezus miłości, pokory i pokazuje wielkość tych dobrodziejstw, jakich doznają ciągle zostając w jego służbie, a za które nie zawsze okazują się być wdzięcznymi.

I w rzeczy samej, nie pragnie Bóg zguby grzesznika, bo on sam wyrzekł przez proroka: „*Żyje ja, mówi Pan Bóg, nie chcę śmierci niebożnego, ale żeby się nawrócił niebożny od drogi swojej, a żył*”. (Ezech: 33, 11). Tém więcęć zachęcić się powinniśmy do poprawy życia, że Bóg poprawionych grzeszników do siebie przyjmuje, grzechy im odpuszcza, łaski udziela i Niebo otwiera. Poprawił się Dawid, opłakiwał grzech swój, a Bóg mu przez proroka zapowiedział, iż mu przebacza grzechy jego. Poprawiła się Marja Magdalena, a Jezus jęć zapowiedział: „*Odpuszczają ci się grzechy wielkie*”. O jakże wielkie i niepojęte jest miłosierdzie Boskie; człowiek się poprawia, a Bóg go przyjmuje za syna, za współdziedzica Królestwa Niebieskiego! Spójrzycie okiem wiary w Niebo i zapytajcie się duszą Piotra

i Pawła Świętego, spytajcie się męczenników, spytajcie się Ś. Augustyna i większą część mieszkańców Nieba, jak się w tę krainę wiecznej radości dostali? A oni wam jednym językiem, jednym głosem odpowiedzą: poprawiliśmy życie nasze, pokutowaliśmy szczerze za przewinienia popełnione, Bóg nam je darował, krwią Syna Swego obmył i do chwały Swojej przyjął.

Rozważcie tylko dobrze dobroć i miłosierdzie Boga; sam cierpi za nas i umiera na krzyżu, abyśmy nie byli potępieni. Czyż słysząc o tém, serce się wasze do wdzięczności i dziękczynienia nie rozgrzewa? Czyż go myślicie i nadal grzechami obrazić? Jeżeli serca wasze nie zupełnie zdziczały, przestańcie go nadal grzechami obrażać. Grzech bowiem pozbawia człowieka Nieba, pozbawia Boga i jest największém złem. Żadna zaraza, żadna kara, głód, wojna, choroba i klęski, z grzechem w porównanie iść nie mogą, bo te odbierają człowiekowi wygody, przyjemności doczesne, a najwięcej życie; grzech zaś pociąga za sobą cały szereg kar, nieszczęść, po wszystkie wieki; dla tego też chrześcianie, katolicy, niczego się w życiu swoim tak nie lękajcie jak grzechu. I gdy was rozkosze światowe do przestąpienia przykazań Bożych nęcić będą, przypomnijcie sobie: Jezus mój na krzyżu za grzechy cierpiał, a więc cierpiał i za mnie; nie uczynię złego, nie obrażę Go. Jezus mój pragnął mego zbawienia, widział i mnie grzesznego i za moje grzechy krew swoją przelał, ręce dozwolił przebić, dla tego i ja będę się wystrzegał grzechów, nie będę nikogo pobudzał do grzechu, ani mu radził, ani zezwalał, ani cudzego grzechu nie pochwałę, owszem starać się będę wykorzeniać grzechy z krewnych moich i sąsiadów a nawet przyjaciół, abym się nie stał uczestnikiem grzechów ich i na nowo grzechami cudzemi Chrystusa nie męczył.

Wystrzegajcie się bracia mili, abyście nie pokrzywdzali wdów i sierot, nie zatrzymywali zapłaty służącym, robotnikom i najemnikom, bo by te grzechy wołały o pomstę do Boga. Jeśli zaś obciążeni jesteście grzechami, idźcie czempredźej do źródła oczyszczającego, jakim jest Sakrament Pokuty i błagajcie Boga słowy syna marnotrawnego: „Ojcze! zgrzeszyłem

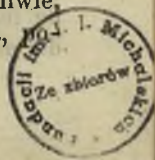
przeciw Niebu i przed tobą, już nie jestem godzien zwać się synem twoim”, a ten Ojciec Niebieski widząc łzy szczerego żalu i poprawy, przytuli cię do Swego łona, grzechy odpuści i za syna swego przyjmie.

*X. Osiecki Józef.*

## KSIĄDZ TOMASZ PAWŁOWSKI.

Uczcić pamięć męża, wslawionego w świecie głęboką nauką, ważnem odkryciem lub wynalazkiem, jest zaiste naszym obowiązkiem:—ale nie godzi się zbywać milczeniem życia człowieka, aczkolwiek niegłosego żadną z wyżej przytoczonych zalet, którego jednak wszystkie ścieszki żywota, osnute dobrami uczynkami, jakby kosztownymi perłami, każdy krok nacechowany zaparciem siebie, a poświęcony miłości bliźniego. Życie takie może być wzorem godnym naśladowania. Dla tego czuję się w obowiązku poświęcić, (choć późno), te kilka kartek, wspomnieniom męża, znakomitego sercem, którego szlachetnych czynów byłam naocznym świadkiem.

Sięgając pamięcią w upłynione lata młodości, staje przed oczami méj duszy szanowna postać, o srebrnych włosach i dobrotniwe m spojrzeniu. Chowało się nas drobnych dzieciak kilkoro, w ubogim domku. Co za uciecha, gdy posłyszałyśmy ukończony głos: „Jak się macie, dzieci?” Serduszek każdemu z nas silnie zapukało, cisnąc się ucałować ręce czcigodnego kapłana, a nawet orzechy, jabłka, pierniczki posypały się hojnie. Droga matka nasza, widząc dziatki swe szczebioczące weselej, rozjaśniła zazwyczaj smutną twarzyczkę swoją, aż tu niebawem i buteleczka wina w kątku na stole błysnęła. Trudno wyobrazić sobie delikatność zacnego księdza Tomasza. „Mateczko kochana, mawiał zwykle, wsuwając służącej pieniądze, głodnym straszliwie, zrób mi téż z łaski swéj befsztyku, kupiłem oto po drodze wina, napijemy się po śniadaniu.“ I czekał cierpliwie, bawiąc się z nami, ucząc po trochu, zjadł kawałek mięsa,



kosztował wina, zostawiając matce posiłek, tak dla niej konieczny.

Dziewczynką już lat dziesięciu, pamiętam, siedząc w kątku, gorzkiemi zalewałam się łzami, nie było czém opłacić



Ks. Tomasz Pawłowski.

pensyj, miałam chodzić do szycia, a ja tak uczyć się pragnęłam; matka znekana, smutna, krzątała się około gospodarstwa, poglądając na mnie z serdecznym bólem; kochana matka, sama nie mając wielkiego wykształcenia, oceniała i czuła potrzebę nauki, a tu brakło funduszu, na pierwsze prawie początki dla najstarszych dzieci, jakże było nie płakać? Lecz w samą



porę zjawia się anioł opiekuńczy naszej rodziny. — „Niech będzie pochwalony. Jak się macie, dziatki? zabrzmiał serdeczny głos. „Jadwisiu, a tobie co? żeś tak splakana,“ mówił z zajęciem, głaszcząc mnie po główce. Wstyd tak właściwy ucziwej biedzie, zamknął mi usta, ale niedyskrecja małego braciśzka wydała wszystko. Nazajutrz, uradowana matka prowadziła mnie na pensją, dumną i szczęśliwą nad wyraz, fundusz na moją naukę już się znalazł, a w mojem dziecinném sercu wdzięczność bez granic, dla dobroczyńcy, wzrastała z latami. W domku rodziców moich, pomimo zobopólnych starań i pracy, czuć było zwiększający się niedostatek. Ojciec martwił się, matka płakała, aż dnia jednego, przywoławszy nas do siebie: „Dzieci, powiedział ojciec głęboko wzruszony, módlcie się za dobroczyńcę, co wam daje wszystko, bo zapewnia sposób do życia waszemu ojeu, taki, że nie tylko nie zabraknie nam chleba, ale i na wykształcenie dla was wystarczy.“ I rzeczywiście, od tej pory, dobry byt zawitał do ubogiego przedtém domku, dzięki staraniom księdza Pawłowskiego, który wpływem swoim wyrobił ojcu zyskowną posadę.

A był aniołem opiekuńczym, nie tylko naszej rodziny, pamiętają, zwłaszcza ubodzy mieszkańcy Powiśla i Solca, księdza Tomasza Pawłowskiego, prezydenta b. zakonu Trynitarzkiego.

Gdzie bieda, niedostatek i choroba, tam zazwyczaj zjawiała się szanowna postać o srebrnych włosach, niosąc pociechę w słowach i pomoc materjalną, a zawsze z delikatnością, szczególnie celującą, postępowanie tego czciogodnego kapłana. Pieniężne wsparcie, częstokroć więcej nęka niż niedola, wszystko zależy od sposobu, w jaki jest ofiarowane. Rozumiało szlachetne serce zacnego męża, najmniejsze odcienia delikatności i nigdy jego wsparcie, najmniejszy nawet datek, nie zrumieniło czoła, ani zraniło duszy. Po jego odejściu, chory zwykle znajdował pod poduszką, fundusz na lekarstwo, biedna matka, w kieszeni fartuszką dzieci, pieniądze potrzebne na sukienki, których im brak było. A nietylko ratować w niedostatku, ale i smutek łagodzić umiał, jeżeli już cieszyć nie było sposobu. W 1840 r., kiedy szkarlatyna tysiące dzieciątek zabięrała bez

litości zrozpaczonym matkom i w naszym domku, dwóch braciszków, dwóch aniołków, jednego dnia uległo tej strasznej klęsce. Żal naszej biednej matki, był bez granic. Wszystkie skarby uczuć, nadzieje, pociechy, złożyła ona w dzieciach, żyła tylko dla nich, a tu niespodziewanie po kilku-dniowej chorobie, traciła dwoje na raz; rozpacz rozum jej prawie odejmowała, żadne prośby, żadne perswazje, oderwać jej od dwóch trumienek nie mogły. Znękany ojciec, lękając się zadać jej cios ostatni, przez zabranie drogich resztek, posłał w chwili pogrzebu po księdza Pawłowskiego. Przybył natychmiast i on to, rzewnym współczuciem i słowami religijnej pociechy, umiał trafić do zbolałego serca matki i z wolna nakłonił ją do pożegnania na zawsze, zwłok ukochanych dzieci.

Dobroć serca tego zacnego kapłana była bez granic. Drzwi jego celi zawsze otwarte, ubogi i potrzebujący, nigdy bez posiłku i wsparcia nie odszedł, dzielił się niemal każdym kęsem chleba. Bielizny nie miał prawie nigdy, nastarczyć mu jej było niepodobna. Pamiętam bilecik, przysłany do ojca: „Mój Olesiu, pożycz mi butów, muszę wyjść na miasto, a nie mam w czym.“ Nie potrzeba tłumaczyć, że obuwie jego przeszło na boscie nogi biedaka. Jako namiestnik Chrystusa, był prawdziwie pobłażającym na słabości ludzkie, zdarzało się, że z pomiędzy mnóstwa biednych, mających wstęp w każdej chwili do celi księdza Tomasza, znaleźli się i tacy, co korzystając ze sposobności, brali potajemnie rzeczy, będące pod ręką. Skradziono mu tym sposobem kosztowny, pamiątkowy zegarek. Na przedstawienie, aby chroniąc się nadal od podobnych wypadków, nie dozwalał przystępu ubogim, tylko do furty klasztornej, oburzył się niesłychanie. „Toż za jednego mają pokutować wszyscy, zawołał gniewnie, a i ten widać był bardzo potrzebny, może ma chorą żonę, dzieci, nędzę w domu. Biedni ludzie, mówił jeszcze po chwili, potrzeba to najwięcej popycha do złego. Nie róbcie też, proszę, żadnych poszukiwań, żadnych skarg do policji, trzeba dać człowiekowi czas do upamiętania, publikowanie występków, odarcie ze wstydu, zamiast do poprawy, wiedzie częstokroć do większych jeszcze występ-

ków. Nie idzie też zatém, abym o taką fraszkę miał wszystkim drzwi moje zamykać, a potem, alboż to każdemu potrzebny zegarek? nareszcie też i pokusy już nie ma, dodał z uśmiechem, zapomniawszy całkiem o stracie. A jak znał serce ludzkie, można mieć próbkę z tego zdarzenia, gdy rzeczywiście po jakimś czasie, jakoś po spowiedzi Wielkanocnej, nieznajomy człowiek przyszedł do zacnego kapłana i z płaczem wyznał: że to on skradł zegarek i od tej pory rady sobie dać nie może, tak go sumienie dręczy, gotów więc jest na wszystko, czy to na karę, czy na odrobienie straty, byleby zrzucił już raz ten ciężar, że za szlachetne wsparcie księdza, złodziejstwem odplacił. Łatwo wyobrazić sobie, radość zacnego kapłana. „Widzicie, powtarzał wszystkiém, nie miał-żem słuszności? mówiąc, że skłonności człowieka są najlepsze, idzie tylko o nakłonienie ich ku dobremu; zaspokójdzie potrzeby biednych, daje im oświatę, a mieć będziecie puste więzienia i domy poprawy.“ Czuł on mocno potrzebę nauki, dla tego wielu chłopczyków, to na własnym koszcie, to przez stosunki i starania, w szkołach pomieszczał, a zachęcając własnym przykładem, nie jedno szlachetne serce do wzniosłych cnót nakłonił. Cały poświęcony dla bliźnich, nie przestawał zacny kapłan na wsparciu jednorazowém, biednej lub podupadłej rodziny, usiłował on zawsze poprawić byt, dać chleb, sposób do życia, walcząc z trudnościami, jakie w podobnych razach napotykać się zwykło; lecz czegoż prawdziwie chrześcijańska miłość bliźniego nie dokaże? Nikt też by nie policzył, ile łez otarł wdowom i sierotom, jeden chyba Bóg, który zbyt wczesnie powołał go po nagrodę rzadkich cnót swoich.

Poddasze domu, w którym mieszkaliśmy, zajmowali państwo Bru . . . . z czworgiem drobnych dzieci. Ojciec, młody jeszcze człowiek, kwalifikował się na doktora nie mógł jednak uzupełnić wymaganych egzamenów, a tém samém uzyskać prawa do praktyki. Był więc bez sposobu do życia. Cała rodzina utrzymywała się jedynie z kunsztownych robótek żony doktora. Niedostatek, nędza na poddaszu, przechodziła wszelkie opisy. Znalazł ich tam ksiądz Pawłowski, a z jego wejściem

w progi biednego domku, życie mieszkańców jego stało się znośniejszem, a nadzieja lepszego bytu rozjaśniła im czoła. Jakoż pan Bru . . . . zachęcony, ośmielony, z nową energją wziął się do pracy, złożył szczęśliwie wszelkie kwalifikacje, a w niedługim czasie, za usilném staraniem księdza Tomasza, dostał zyskowną posadę na prowincji. Cała rodzina zaopatrzona we wszelkie potrzeby, zawsze za staraniem księdza Pawłowskiego, który w znajomych sobie domach składkę na ten cel urządził, wyjechała uszczęśliwiona, błogosławiąc swemu dobroczyńcy.

Pamiętam jeszcze rozrzewniającą scenę, która, pomimo kilkunastu lat upłynionych, żywo się w mej wyobraźni przedstawia. Przybyliśmy rano w dzień św. Tomasza, powinszować, jak zazwyczaj, imienin zacnemu kapłanowi. Zastaliśmy parę osób, a między innymi człowieka, nie pierwszej już młodości, całującego z uniesieniem ręce księdza prezydenta. — „Nie, mówił on ze łzami w głosie, żadną siłą nie zmusisz mię do milczenia, dobrodzieju mój! dobroczyńco moich dzieci! Niech świat wie, niech wiedzą ludzie, zem Ci winien wszystko. Tak, panowie, mówił, zwracając się do obecnych, nie zważając na niezadowolnienie księdza Tomasza. W skutek okoliczności, a w części z własnej winy, zostałem bez chleba, bez kawałka chleba, z kilkorgiem dzieci i chorą żoną. Wyczerpałem wszelkie możliwe środki, starając się o utrzymanie, wszystko napróżno. Pukałem do wielu drzwi, wszędzie nic, w domu nędza, głód, bo już nie było co sprzedawać i nie wiem, cobym zrobił? bo rozpacz jest złym doradcą. A dziś mam chleb dla dzieci, mam sposób do życia, a wszystko to zawdzięczam Tobie, najszlachetniejszy, najzacniejszy z ludzi, mówił, zwróciwszy się do księdza Pawłowskiego i chcesz, abym milczał, kiedy tym tylko sposobem mogę okazać nieograniczoną wdzięczność“ — — Nie dokończył, bo łzy rzewne, które aniołowie przed tron Boga zanieśli, przerwały mu mowę. „Słuchaj, panie Z . . . , mówił silnie tą razą wzruszony, święty kapłan, nie mnie, ale Temu od którego mamy wszystko, złóż podziękę, on to wybrał mnie tylko za narzędzie swój dobroci i miłosierdzia. Łatwo pojąć, że

w mojej dziecińskiej, ale wrażliwej wyobraźni, podobny wypadek wyrył się głęboko, gdyż takich zdarzeń, mało w życiu naliczyć można.

W 1840 r., w czasie strasznój klęski wylewu Wisły, mieszkańcy nadwiślańskich okolic, najwięcej ucierpieli od srogiego żywiołu. Jakież pole dla naszego opiekuna wszystkich nieszczęśliwych? Ciągle na wątlej łódce, z całym wylaniem poświęcił się wyglądającym pomocy. Po całych dniach roznosił żywność; z domów grożących niebezpieczeństwem, zabierał całe rodziny, umieszczał i utrzymywał własnym staraniem. Nie bacząc na siebie, a ciągle dobro innych mając na względzie, nie jednokrotnie widząc grożące niebezpieczeństwo, nie chciał pozwolić, by mu ojciec mój towarzyszył. „Masz żonę, dzieci, mówił żegnając się z nim, powinienes się szanować.” „A ksiądz prezydent ma biednych i nieszczęśliwych“ odpowiadał ojciec. „Do nich też i życie moje należy i chętnie im je poświęcam,“ mówił siadając na kruchej łodzi, uzbrojony krzyżem świętym, z cichą na ustach modlitwą.

Pamiętam jeszcze posępny, smutny wieczór. Godzina jedenasta minęła. Ojciec nie wraca, niepokój wzrasta co chwila, przecucie smutne ogarnia małe nasze rodzinne kółko. Ksiądz Pawłowski od niejakiego czasu coraz słabszy, a ojca z tamtąd nie widać. Nikt nie śmie przerwać milczenia, łyzy dławią a jedno przed drugim stara się ukryć wzruszenie. Słysząc kroki, to ojciec wchodzi. Dość nam było spojrzeć na wybladłą, bólem zmienioną twarz jego. — „Straciłem ojca,“ przyjaciela wymówił z ciężkością, padając na krzesło, a ukrywszy twarz w dłoniach, gorzko zapłakał, — jęk ten bolesny odbił się w sercach osieroconych wdów i sierot, tracących w nim ojca. Skończył tak jak żył, z modlitwą na ustach, wiarą głęboką i prawdziwie chrześcijańską pokorą.

Pokój Tobie, drogi cieniu. Niech te kilka kwiatów rzuconych wdzięczną i błogosławiącą Cię ręką na mogiłę twoją, dodadzą blasku do wieńca cnót otaczających, jakby aureolą świętości twoje czcigodne skronie. Oby przykłady twoich czynów, godnych znalazły naśladowców. Pokój popiołom Twoim, prawdziwy namiestniku Chrystusa.

*Marja Popławska.*

## KLEMENS JANICKI.

1516—1543.

W czasie powszechnego podziwu i uwielbienia sztuk starożytnej Romy, potężna lutnia Nazonów, Wirgilów i Horacych brzmiała przez czas długi dzwicznie w rękach Dantyszka, Janickiego, Sarbiewskiego i innych licznych poetów polsko-łacińskich. Toć przecież ten ostatni poeta idąc w ślady ubóstwionego Horacego, doprowadził swe ody łacińskie do takiej wielkiej doskonałości, że omal niesięgnął po laury swego wielkiego mistrza. Z licznego tego zastępu poetów polsko-łacińskich wyjmujemy postać Klemensa Janickiego. Poeta ten budzi w nas tem więcej sympatji, ile że mimo zawczasie przerwane go żywota, potrafił mocą swego genjuszu i mozolną pracą dobić się do tak wielkiej sławy i przełamać te ciężkie zapory przesądów, któremi świat zwykł odgraniczać człowieka niskiego urodzenia od reszty społeczeństwa.

Ojciec Klemensa Janickiego był rolnikiem ubogim w Januszkach. Wioska ta leżała opodal małego miasteczka Znina i była własnością arcybiskupów gnieźnieńskich.

Tu też właśnie 1516 roku 17 Listopada urodził się Klemens. Dziecię to przyniosło z sobą zaród wielkich chorób familijnych, a obok tego nader wątłe siły fizyczne. Wszystko to trworzyło mocno rodziców. Przed krótkim czasem dotknięci stratą starszych synów, tem troskliwiej dbali o zdrowie nowonarodzonego, lubo ten wcale nie mógł zaspokoić tych nadziei, jakie oni w nim pokładali. Mała częśćka ojca wymagała wiele pracy mozolnej i trudów, by wyżywić właściciela i jego rodzinę, a przyszły dziedzic całej tej skromnej fortuny, słabiuchny ustawicznie mimo ubiegłych kilku lat w ciągłych staraniach i pielęgnowaniach rodzicielskich, okazywał się już z młodu wcale niezdolnym do pług. Nie uszło to bacznej uwadze ojca i napawało go ciągłą troską i nowym niepokojem. Atoli młody Klemens o ile wcale niezdolnym był do gospodarstwa, o tyle więcej zdradzał skłonności i talentu do nauk. Pocieszony poniekąd ojciec, umyślił z tego korzystać. W niebardzo odległym Zninie

była szkółka, tu więc zaraz w piątym roku umieścił troskliwy ojciec swego Klemensa. Młody uczeń ukończył z najlepszym postępowaniem wszystkie klasy w Zninie i przeniósł się wkrótce potem do zakładu lubrańskiego w Poznaniu. Szkoła ta założona przez biskupa Lubrańskiego, była jedną z najlepszych w ówczesnej Polsce, i już przedtem wydała wiele znakomitych ludzi, a pomiędzy nimi i Józefa Strusia, wslawionego po całej Europie lekarza. Świeżo przybyły młody uczeń z Znina miał się później niepomalu przyczynić do podniesienia rozgłosu szkoły Lubrańskiej.

Szczególny traf zrządził, że Janickiemu dostał się tu nauczyciel nadzwyczaj biegły w łacinie i greckim, ten więc roztrząsnął przysły zawód jego, bo mu otworzył świat nowy, najwięcej przypadający do jego usposobienia. Pod okiem światłego mistrza rozczytał się Klemens w arcydziełach klasycznych narodów Greków i Rzymian, a zakosztowawszy ich piękności, oddał się odtąd z całym gorącym zamiłowaniem młodzieńczego ducha studjowaniu dzieł Wirgila, Horacego, a osobliwie Owidiusza Nazona, którego najmocniej polubił i którego też potem po mistrzowsku naśladował. Już w 16 roku obudził się w nim silnie talent poetycki i objawił się głośno w kilku poematach na wiek tak młody wcale udatnych, odczytanych publicznie z oklaskami osób dojrzałych, a wielkim podziwem współuczniów. Ale właśnie podczas tego najgorętszego rozmówania i zapału dla poezji, wyczerpnął ojciec ciągłymi wysiłkami do reszty swoją szczupłą majątność i postanowił dla niedostatku powołać syna swego do domu, wyzwać go tem niejako z jego zaczarowanego świata i przerwać z wielkim żalem jego słodkie marzenia. Wszakże szczęśliwym trafem nie doznał nasz poeta tego przykrego ciosu. O jego talencie i ochocie do kształcenia się usłyszał Krzycki arcybiskup gnieźnieński, a będąc sam wielkim miłośnikiem poezji i wszelkich nauk, postanowił ocalić ofiarę nieszczęśliwą smutnego położenia majątkowego. Właśnie gdy ojciec zmuszony wzrastającym niedostatkiem, miał powołać swego Klemensa do zagrody rodzicielskiej, otrzymał on od Krzyckiego niespodziewane zaproszenie

do swego dworu. światły arcybiskup umiał ocenić wielkie zdolności poety i zamierzył wysłać go do Włoch, tej najlepszej szkoły dla każdego poety i artysty. Wezwanie to w chwili gdy od strony rodzinnej groził smutny a konieczny wynik ruiny ojcowskiej majątności, musiało być dla młodzieńczego poety nadmiar radosnem, przechodzącém wszelkie nadzieje i życzenia. Wszakże miał oglądać Włochy, krainę najwspanialszych sztuk i wielkich umiejętności, rodzinną ziemię tych mistrzów wielkich, których utwory niepożytej a wielkiej wartości pochłonęły całą rozognioną fantazję młodego poety, miał przebywać przez dłuższy czas w tym kraju zaczarowanym, do którego dotąd tylko cichemi marzeniami dobiegał, a cóż więcej przyjemnego i uroczego dla duszy pełnej poczci, jak podobna podróż? Ale właśnie wtedy gdy poeta myślni uganiania już po ziemi klasycznej, zasepia się nagle horyzont jego błogich marzeń. Na czas krótki przed zamierzoną podróżą umiera opiekun i dobrodziej Janickiego Krzycki, a z nim i wszelka nadzieja rozkosznej przejażdżki. Lecz nieskąpa sława poety rozeszła się dość szeroko po całym kraju. Słyszał o zdolnym młodzieńcu Piotr Kmita wojewoda krakowski, a dowiedziawszy się o śmierci Krzyckiego, powołał go niemniej uprzejmie na dwór swój i przyspieszył jego podróż do Włoch.

Zwiedziwszy co najciekawsze miejsca tego kraju postanowił Janicki przez czas dłuższy zabawić w Padwie. Miasto to było podówczas jedném z najludniejszych w całych Włoszech, a zarazem głośno wstawioném pobylem wielu znakomych mężów, jak uczonego Łazarza Bonamika, Piotra Bemby kardynała, Daniela Barbara patrycyusza i poety weneckiego. Świat taki pierwszorzędnym potęg naukowych zachwycił mocno młodego Janickiego. Starał się ile możności zaznajomić się z tymi wielkimi ludźmi, a w tem dopomógł mu wielce Stanisław Hozjusz, wówczas jeszcze kanonik krakowski i bawiący z nim wespół we Włoszech Polak Piotr Myszkowski. Znajomości te wywarły wielki wpływ na młody umysł Janickiego. Oddał się odtąd z tem większym zapalem łacinie, greckźnie i filozofiji, a nawet matematyce, jak twierdzi Starowolski, lu-



bo w tym względzie słusznie powątpiewać można. Wielec pouczające wykłady świątłych mistrzów, przewodniczyły jego mozolnej pracy. Wolny czas od nauk poświęcał Janicki ulubionej poezji i wtedy to w takich chwilach prawdziwie poetyckiego natchnienia, wychodziły z pod jego mistrzowskiego pióra owe tęskne i piękne elegje. W tym czasie napisał także wiersz elegijny do Bonamika swego szczerego przyjaciela i zastępcy nieobecnego Kmity. Kwiatek ten prawdziwie piękny urosły na szczycie Parnasu, jest najlepszą oznaką wdzięczności dla mistrza i przyjaciela uczonego, na jaką się poeta mógł zdobyć. Włochy nie zawiodły w najmniejszej części dawnych marzeń i nadziei Janickiego, chętnie byłby tu dłużej zabawił, ale wiadomość o śmierci ojca, silne przywiązanie do ziemi ojczyźstj i z każdym dniem wzrastająca tęsknota za nią, ciągnęły go niepowstrzymanie do rychłego powrotu. Nawet uśpione na chwilę zdrowym klimatem włoskim choroby fizyczne, poczęły teraz mocno Janickiemu dokuczać; kraj włoski o ile pomocny dla innych chorych stał się o tyle szkodliwszym dla Janickiego, bo tu właściwie wyległy i spotęgowały się słabości, których w umiarkowanej strefie rodzinnej ziemi, albo wcale nie czuł albo tylko w małym zarodku. Wpóśród takich naglających okoliczności, powrót do Polski był potrzebny a nawet nieodzowny. Mocno schorzały Janicki, opuszcza co prędzej Włochy i śpieszy pod strzechę zmarłego ojca, wsparty znaczną summą pieniędzy przez swego niezmordowanego dobroczyńcę i przyjaciela Bonamika. Pospieszna podróż połączona z mnogimi niedogodnościami, pogorszyła o wiele i tak zresztą smutny stan zdrowia poety. Złe mianowicie wpłynęły na nie, niezdrowe piwa i wina Morawskie, tudzież rozliczne przykrości wywołane nieludzkim obejściem mieszkańców Styryji. Skutkiem tych ciągłych niewywczasów, zaniemógł młody podróżny teraz tem bardziej, tak że po przybyciu do Krakowa, opuściły go już zupełnie siły fizyczne, a ulga w tych z każdym dniem wzrastających cierpieniach, stawała się coraz wątpliwszą. Antonin lekarz podobowczas najbiegłęjszy w swym zawodzie, dołożył najtroskliwszych starań, ale zabiegi jego nieustanne, skutkowały jeszcze

mniej jak owe włoskich lekarzy Kazana i Akontana, którym jeszcze w Padwie niepokojący stan zdrowia Janickiego troskliwy Bonamik powierzył. Dawne choroby nie tylko że nie przestały uporczywie dręczyć chorego, ale obok nich pojawiły się teraz niespodziewanie nowe nie mniej uciążliwe. Prócz febry nieustannój, pokazał się koło ucha wielki wrzód, grozący zupełnem stopieniem słuchu i przykra wodna puchlina. Ta ostatnia choroba była, jak sam Janicki przyznaje, dziedziczną w jego rodzinie i miała nawet przed laty spowodować śmierć kilku jej członków. Tej więc okoliczności jakoteż niezmiernemu używaniu wody, przypisuje on jej przyczynę. W takim przykrym stanie przeleżał słaby poeta czas długi na łożu śmiertelnem. Pasował się długo i silnie z śmiercią, pisał do ostatka godzin swoich. Prócz poematu *Epitchalamium* napisanego drżącą już prawie i na pół zimną ręką, ułożył wiersz na swój pomnik przeznaczony:

Żegnam cię martwe życie, teraz żyję sobie

Bo nadzieja z bojaźnią ustanie już w grobie.

Wiersz ten świadczy najlepiej o wielkiej przytomności umysłu w chwili bliskiej zejścia ze świata. Ta ustawiczna praca przybliżała choremu poecie i tak już niedaleki zgon. Przyszła tu wkrótce śmierć i przy nieskończonej pieśni wypadło pióro z ręki skostniałej. Umarł Janicki w roku 1543, doczekawszy się ledwie 27 lat. Umarł młodo, ale i w tym krótkim żywocie napił go świat dosyć goryczą i zawodami. Nawet na łożu śmiertelnem nieszczędził mu takowych. Wkrótce przed śmiercią dowiedział się, że stracił łaskę u swego dotychczasowego mecenasa Kmity, w czem nie pomалу przysłużył mu się sławny Stanisław Orzechowski. W takiej to więc ciężkiej chwili niechęci do życia, powstał zapewne wiersz powyższy, takim smętnym, rzewnym duchem tchnie niemal każdy poemat Janickiego.

Dzieła Janickiego na tak krótki czas życia bardzo liczne, doczekawszy się jeszcze za życia autora zaszczytnego a słusznego uznania, wyszły po części przed jego śmiercią, mianowicie zaś elegje i epigramata, poświęcone Samuelowi

Maciejewskiemu biskupowi krakowskiemu i największemu podówczas miłośnikowi i opiekunowi nauk. Dzieło to najpierw wydane, jest zapewne najlepszym ze wszystkich późniejszych utworów Janickiego. Głęboko wtajemniczony w piękności elegji Owidiusza, uderzył tak mile w jego lutnię, że przy dłuższem życiu musiałby wielki mistrz rzymski swą sławę podzielić z uczniem. Później nieco wyszły „Życie arcybiskupów gnieźnieńskich”. Myśl to była Kmity a nie Janickiego, co też sam potwierdza. W poemacie tym łacińskim, jakimi były zresztą wszystkie dzieła Janickiego, przechodzi wszystkich arcybiskupów počawszy od Wikbalda aż do ostatniego Kmity, zamieszczając każdego z 43-ch życie i czyny w czterech nader treściwych wierszach z dodatkiem u spodu roku i dnia wymienienia śmierci. Pisząc nie z własnego popędu ale z cudzego zlecenia niemógł się lepiej Janicki z tego zadania wywiązać. Jędrzej Trzeciecki prowadził szczęśliwie ten rymowany szereg dalej aż do Uchańskiego i wydał go starannie 1574 roku. W podobnym duchu a nawet ze zlecenia tegoż samego Kmity opisał Klemens Janicki już u kresu swego życia wierszem „Życia królów polskich”. Forma tu tylko nieco odmienna, bo życie każdego króla mieści w dwunastowierszowym ustępie. Jędrzej Trzeciecki a po nim C. G. kończyli ten poemat i ostatni z nich doprowadził go aż do Michała Korybuta. Oba te uzupełnienia wypadły wcale dobrze i noszą na sobie znamię prawdziwego talentu poetyckiego. Tłumacz znany kroniki Gwagnina, Marcin Paszkowski, zajął się przetłumaczeniem wzmiankowanego wiersza łacińskiego na polski język. „Życia królów polskich” lubo nie są nigdy najlepszym utworem Janickiego, doczekały się najliczniejszych wydań. Wyszły bowiem najpierw 1563r. w Antwerpii u Wilhelma Sylmierza, potem w roku 1575 w Krakowie u Stanisława Szanffenbergera i prócz tego w kilku innych miejscach. *Epithalamium* jest wreszcie ostatnią pracą Klemensa Janickiego, świadectwem Jana Antonina i Augustyna Rotunda kończoną już na łożu śmiertelném. Opiewa w niej poeta ślub Zygmunta - Augusta z Elżbietą austryacką. Opuszczamy w tem pobieżnem wyliczeniu dzieł Klemensa Janickiego, przypisany mu jakiś wiersz

„O rokoszu Lwowskim” tudzież mało znajomą „Przyganę zmienności stroju u Polaków” bo niemaich nawet w zupełnem wydaniu pism Janickiego przez Bochmiusza. Wiersz miłosny o Leukorodzie i Alfezybei spalił Janicki sam jeszcze przed swoją śmiercią.

Ostatniemi czasy pojawiły się dwa znaczniejsze tłumaczenia dzieł Janickiego. Tłumaczył je pięknie Józef Stygiest, ale najpiękniej i najwięcej przetłumaczył ulubiony nowszy poeta Władysław Syrokomla. Ostatni obdarzył nas wielu tłumaczeniami innych polsko-łacińskich poetów i przysłużył się tem wielce literaturze polskiej, bo odsłonił wiele pięknych poezyj nieznanych nam do tego czasu dla obcego nam całkiem języka w jakim pisane były. Przekład piękny dzieł Janickiego, zjednał nie tylko sławę ich tłumaczowi, ale dodał nadto wiele wziętości ich autorowi.

Janicki pisał wyłącznie w języku łacińskim, bo ówczesny język polski niezdolny do poezji, czekał jeszcze na swego prawdziwego twórcę Jana Kochanowskiego. Ale za to w łacińskich wierszach był Janicki mistrzem niezrównanym. Rzewność i tęsknota ujmująca, a obok tej zalety, gładki i lekki wiersz, zjednały Janickiemu w swoim czasie europejską sławę. Znano wszędzie jego łacińskie wiersze a nawet nieobce były ówczesnemu papieżowi Klemensowi VII. Tej ostatniej okoliczności, lub też wstawieniu się niezmordowanego w ciągłych oznakach miłości i przyjaźni Bonamika, zawdzięcza Janicki zgotowany mu zaszczyt, jakiego mało kto w życiu osiągnął. Młodemu, bo dopiero 24-ty rok przekraczającemu poecie, wręczył Jerzy Contazmo 22 Lipca 1540, w imieniu papieża Klemensa VII wieniec poetycki. Na dar tak rzadki, zwłaszcza gdy się takiemu młodzieńcowi dostał, zasłużył w każdym razie Janicki. Jako poeta łaciński bowiem stoi on bardzo wysoko. Nawet Rzymianie mogliby go z zaszczytem dla siebie wpisać w poczet swych wielkich mistrzów, a ci niewahaliby się zapewne wzięść go do swego grona.

W dziejach literatury polskiej, zajmuje Janicki o wiele niższe stanowisko, bo nie był nigdy śpiewakiem narodowym. Za

nadto wczytał się w dzieła Horacego i Owidiusza, toż przesiąkł poniekąd ich błędami, których zresztą i wysokie w innym względzie zalety zatrzeć one mogą. Mianowicie że odziedziczył za szkodą dla swych utworów niemily w poezjach egoizm. Janicki mówi czasem za nadto wiele o sobie, w czym najbardziej błędził Horacy, który brak materji potrafił czasem załatać ustępami o swój własnej osobie. Wada ta nie razila może tyle w poecie łacińskim co w Janickim, jeżeli go zechcemy policzyć do poetów polskich. Czuł to bardzo dobrze sam Janicki, że jemu było lepiej urodzić się Rzymianem niżeli Polakiem, głośno się nawet z tem odzywa w elegji do Stanisława ze Sprowy:

Bogdajby przyszło tu mi się rodzić!

Wprawdzie hamuje wkrótce one niewczesne zachcenie bo mówi: „że się rodem sarmackim szczyci” wszelako pozostanie zawsze choć w części niemilem wrażenie pierwszych słów, zdradzających nie wielkie przywiązanie do kraju rodzinnego, tem więcej, że mówi to poeta polski. Wiersz wyżej przytoczony, maluje najlepiej cały charakter Janickiego, a zwłaszcza jego słabą stronę. Szkoda jednak tak potężnego talentu. Przy mniejszem naśladowaniu starożytnych klasyków a dłuższem życiu, mógłby się być łatwo wyrobić na śpiewaka czysto narodowego, zwłaszcza gdy niebrakło mu do tego genjuszu. Nawet i dziś nie trudno spotkać się w poezjach Janickiego z miejscem pięknem świadczącym, że przynajmniej w pewnych chwilach przywiązanie do kraju brało nad nim górę.. Oto jedno z takich miejsc.

Jest—lecz daleko kraina wesola,

Gdzie oko i serce zachwycić się może;

Jest lud poczciwy co krąży dokoła,

Miejsca sądowe i świątynie Boże.

Tu mnóstwo ludu codziennie się mieści,

Idą pielgrzymi w rozmaitym celu,

Tu mętna Wisła wodami szeleści,

Tu sterczą góry i baszty Wawelu.

Powierzchnowność Janickiego była przyjemną a nawet ujmującą, był on wzrostu średniego, na pięknej twarzy zaigrał

czasem jaki tęskny uśmiech, ale obok jego zdradzała czoło wysokie myśl głęboką. Charakter jego był nadzwyczaj łagodny, serce miękkie i tkliwe, słowem całe jego wewnętrzne usposobienie odpowiadało zupełnie zewnętrznej postaci. Czasami niecierpliwy lub nieco zawistny, był zresztą zawsze nadzwyczaj przyjacielskim i otwartym, przyciągał do siebie rzadkimi przymiotami szlachetnej duszy przyjaciół i nieprzyjaciół. Czyniono mu osobliwie po śmierci dość głośne zarzuty, że był nieco rozwiązłych obyczajów, że lubiał nad miarę używać napoju. Wszakże żadnemu z tych obu ciężkich zarzutów, niemożna przyznać słuszności. Janicki był zawsze nieposzlakowanych obyczajów, owszem więcej skłonny do przesadnej powściągliwości, niżeli do podobnych przestępstw, któremi go potem obrzucano. Wszakże wiadomo że Janicki na krótki czas przed swoim zgonem nawet nietknął wina lub jakiegokolwiek innego napoju. Powodem do tych obu zarzutów, a najbardziej do pierwszego z nich, była albo osobista nienawiść albo też ów wymiarowany powyżej miłośny poemacik, którego wszakże jeszcze przed śmiercią spalić nie omieszkał. I przyznać należy Janickiemu, że podobnemi wybrykami nie splamił się nigdy, ani w pismach, ani w całym krótkim życiu swoim

*Bronisław Łoziński.*

## TOMASZ BRITTON.

Ur. 1654 † 1714 r.

Niemal pospolicie się zdarza, że ludzie oddani pracy fachowej, nawet obok wyższego umysłowego i moralnego wykształcenia, biorą rozbrat stanowczy ze wszystkim, co dotyczy nauki i sztuki— tych źródeł prawdziwego życia. Poświęcając czas wolny od zatrudnień, rozrywkom błachym a często mniej pochwalnym i niepodnosząc się duchowo, przechodzą w rodzaj automatów, w rodzaj *machin organicznych*, dla których po za obrębem ich fachowego zajęcia, wszystko jest obojętnem

i obcém, bo każdy z nich, jak powiedział Władysław Strzel-  
nicki:

Zaprzedał ziemi za kruszynę chleba  
Swe pierworodstwo, tęsknotę do Nieba!



Gdy tymczasem ćwiczenia umysłowe nad nauką, literaturą lub sztuką, dają się łatwo pogodzić z pracą dla chleba, o ile by takowa nie była ciężką. Oba te rodzaje zajęć, na zakłęcie silnej woli, spłyną się w harmonijną całość— z tym urokiem, z jakim wszystko ziemskie, można myślą niebieską przeniknąć i podnieść. Po znojnym trudzie obowiązkowym, każda chwila poświęcona umysłowej pracy ducha, nie tylko za wytchnienie starczy— ale jest ową leczebną kąpielą w biblijnym *jeziorze oczyszczenia*, którego wody anioł co rano poruszał. W tej zbawczej kąpieli ducha, odzyskujemy siły do bojowania z codziennymi troskami i potrzebami życia— a niedola piersi nie złamie bo duch nasz wzmocni!.... O ile jest dostępną podobna dwoistość życia, udowodnimy następującym przykładem człowieka, rzuconego na jeden z najniższych stopni wyrobnictwa, a który pomimo to, położył ważne zasługi w dziedzinie sztuki.

Tomasz Britton, syn ubogich i nieznanych rodziców, urodził się około 1654 roku, w hrabstwie Northampton. W ósmym roku życia, oddany na naukę do węglarza w Londynie, roznosił po ulicach węgle na sprzedaż, polecając wołaniem swój towar. Po siedmiu latach terminowania, majster Brittona, uważając go za dostatecznie przygotowanego w swoim zawodzie, wyliczył mu dość znaczną sumkę pieniężną w rodzaju wynagrodzenia, jeżeli zechce, w samém mieście otworzyć handel węglarski. Młody czeladnik powrócił do stron rodzinnych i przebył tam lat kilka. W tym czasie, jak się należy domyślać jakiś traf szczęśliwy, — musiał mu nastęrczyć zręczność poznania pierwszych prawideł muzyki— która tak przeważnie wpłynęła na dalsze jego życie i losy. Niemniej wówczas musiał nauczyć się czytać i pisać. Powiadamy wszystko to warunkowo, bo wiadomości szczegółowych z tego perjodu życia Brittona niezostało. Co bądź jednak to pewna, że wyczerpany szczupły zasób pieniężny wzięty od majstra węglarza, zmusił go znowu do powrotu do Londynu, gdzie oprócz zarobku, musiała mu uśmiechać się nadzieja łatwiejszego kształcenia się w muzyce.

Britton grywał na wiolonczeli. Fantazja pomimowolnie nasuwa nam na myśl, że nikt inny, jak tylko organista parafial-



nego kościółka, musiał być pierwszym jego mistrzem muzyki, i za jego zapewno pomocą, zaopatrzył się w starą wiolenczelę, zarzuconą i zapomnianą w ciemnym kącie zakrystji. Jeśli tak było, nie ulega wątpliwości, że młody nasz wędrowiec, zabrał z sobą tę jedyną a stałą towarzyszkę, swoich chwil samotnych, wybierając się do stolicy. Dziwna jednak, że nie użył jej zarazem za środek samego utrzymania? Czy było to niezeznanne uczucie szacunku dla siebie, którą umiłował tak bezinteresownie? Czy szlachetna sumienność, nakazująca mu jąć się pracy, do jakiej był już należycie przygotowany? Czy było to jedynie skutkiem nałogu? Nie wiadomo— bo Britton nie zostawił swojej autobiografji, a kto zbadać potrafi wewnętrzne popędy serca ludzkiego? Dość, że został węglarzem i do końca życia zarabiał na chleb powszedni, roznosząc po ulicach Londynu— węgle, w zarzuconym na plecy worku. Nie wątpimy jednak, że w chwili gdy rozpoczął handel ten na własną rękę, majster jego musiał już nie żyć, bo wznioślejszy umysł i serce szlachetne, niepozwoływały by mu złamać warunku, o jakim wspominaliśmy wyżej. Dodamy tylko nawiasem, że pierwszy przewodnik pracy Brittona, musiał być człowiekiem wielce przenikliwym— i poznał energiczny charakter swego piętnastoletniego czeladnika, gdy zawczasu, lękał się jego współzawodnictwa.

Britton odziany, jak inni węglarze, w błękitną żakietę, z mieszkim na plecach, obchodząc ulice Londynu, zwracał często do miejsc, gdzie nie powstała nigdy noga ludzi jego stanu. Oto z niemalém zdziwieniem wszystkich, których uwagę mógł zwrócić, pięknym wzrostem i szczerą a wyrazistą fizjognomią— węglarz ów, wstępował do księgarń, bukinistów i ulicznych handlarzy, kupując tam stare książki i nuty.

W owym czasie, w wyższych sferach arystokracji angielskiej— i między członkami parlamentu, panowała powszechna niemal moda, zbierania starych druków i rękopismów. Księgarnia i skład nut Krzysztofa Battemana, była zwyczajnym punktem schadzki, tych miłośników starożytności i bibliofilów, gdzie obok Edwarda hrabiego Oksfortu, spotykano sławnego Bog-

forda, będącego pierwiej szewcem a potem znakomitym antykwarjuszem.

Podczas jednegn z podobnych zebrań u Battmana, wszedł do magazynu Tomasz Britton, a składając ostrożnie swój worek wypróżniony z węgla, potrzebował od księgarza pewnego zbioru Melodji wielkiej rzadkości. Łatwo możemy sobie wyobrazić zdziwienie zgromadzonych uczonych i dyllentów. Wszyscy otoczyli naszego węglarza, wszczęła się rozmowa ożywiona i pełna interesu, w której Britton, obok rzadkiej skromności, wykazał niepospolite znanstwo sztuki. W jednej chwili wzajemny szacunek i sympatija, zbliżyły i połączyły wszystkich zorówno gości. Biedny węglarz stanął nagle w pozycji niezależnej, względem pierwszych dygnitarzy Anglii... i postanowili wszyscy, pójść razem na obiad do umówionej restauracji i tam resztę dnia przepędzić. Odtąd Britton, został stałym współtowarzyszem uczonych zebrań, w księgarni Battmana. Mimo to nie zmieniał rodzaju pracy i sposobu do życia. Zawsze jak dotąd, przebiegał ulice Londynu z workiem węgla, z tą godnością i uczuciem niezależności osobistej, z jakimi pierwsi dygnitarze państwa, rozsiadali się na wełnianych wantuchach w Izbie Lordów.

Po przybyciu do Londynu, Britton najął w ustronnym kwartale miasta, stajnię, w której mieścił się, pośród worków węgla, zastępujących niedostatek wszelkich sprzętów. Powoli mógł się zdobyć na niejakie ulepszenie swego mieszkania, w którym urządził osobny skład na węgle i bibliotekę. Tam, wracając po pracy dzienniej, zamykał się i ujmując swoją wioloneczkę, swoją *viola di gamba*, oddawał się z zapalem grze ulubionej. Sam bez przewodnika i zachęty, doszedł do niepospolitej łatwości ekzekucji i wszystkie znakomitsze utwory, znanych wówczas dawniejszych i współczesnych kompozytorów, były mu znane i dostępne.

W domu sąsiednim, na najwyższym piętrze, było wówczas, wręcz przeciwnego pozoru mieszkanie. Podczas gdy stacyjka Brittona, zwykle zamknięta i ciemna, zwróciła głównie uwagę, słyszanemi z niej tonami gry starannej i zajmującej; iz-

debka na sąsiedniem poddaszu, obudzała interes innego rodzaju tajemniczością. Z okien jéj, długo w noc, biło ciągle światło i jakieś błyski czerwonawe— a wznosząca się z pośród tych błysków i dymu, ręka trzymała tygiel kurzący się parą.

Było to mieszkanie słynnego alchemika i magika, Paryżanina rodem, doktora *Teofila de Qaranciaries*, lekarza fakultetu medycznego w Kajenie. Po wielu wypadkach i nieszczęściach, jakie spotkały go w kraju własnym, udał się do Anglij, porzucił katolicyzm i został przyjęty do liczby członków uniwersytetu w Oksforcie. Zostawszy następnie lekarzem ambasady francuzkiej w Londynie, nie mógł długo trzymać téj posady, i oddany poszukiwaniom kamienia filozoficznego, doszedł stopniowo do ostatniej nędzy. Taki człowiek musiał zwrócić uwagę Brittona— jakoż sam szukał jego znajomości, zawiązały się między obydwoma bliskie stosunki, które nie miały wpływ wywarły na naszego węglarza i zawyrokowały, jak się dowiemy później— o jego życiu. Rozmowy *Qaranciariesa*, zachwyciły Brittona, począł uczyć się od niego chemji i sztuki poznawania charakterów złota. Przysługując się zaś nowemu swemu przyjacielowi, zrobił mu małe, przenośne laboratorjum, które alchemicy londyńscy schodzili się oglądać z podziwieniem. Zdarzenie to, wycofało w porę Brittona, ze stosunków z alchemikiem, poczynających już mu zagrażać nędzą— bo dla złotych marzeń *Qaranciariesa*, począł zaniedbywać swój handel. Jeden z zamożniejszych amatorów alchemji we Francji, zobaczywszy podczas pobytu w Londynie, urządzone przez niego laboratorjum, zachciał mieć podobne dla siebie i wezwawszy dla téj potrzeby Brittona do Francji, suto go wynagrodził.

Na szczęście, po powrocie do Londynu, nie zastał już przyjaciela swego przy życiu; mógł więc oddać się znowu dawniejszój pracy i rozrywkom. Przy pomocy zaś pozyskanéj summy, mógł powiększyć swoje mieszkanie i urzeczywistnić jeden z najulubieńszych swoich zamiarów. Marzył on oddawna, o urządzeniu koncertów zgromadzając u siebie wszystkich znakomitszych artystów i amatorów londyńskich i oddając dla ich użytku założoną i ciągle uzupełnianą bibliotekę muzyczną.

Zamierzając przy tém zapraszać na koncerta bezpłatnie, piękny świat stolicy. Nic podobnego nie miało nigdy miejsca w Londynie. Występowali wprawdzie czasami niektórzy artyści i nauczyciele muzyki, z koncertami—lecz nie miały one nic wspólnego z rozwojem sztuki. Cukiernie i restauracje, były zwykle placem tych popisów. Przeciwnie Britton, miał na celu urządzić—i urządził klub muzyczny, w którym stali członkowie stowarzyszenia, zgromadzając się w dnie umówione, bez wszelkich widoków zysku, pomimo obecnej publiczności—oddawali się wprawie muzyki, jedynie przez zamiłowanie sztuki. Łatwo więc poznać i ocenić, że Britton uprzedził niejako i dał początek fisharmonijnym towarzystwom i koncertom; i wpłynął wiele na rozwój muzyki w Anglii. Zwraca niemniej uwagę że myśl podobna, wzrosła w umyśle, a raczej w sercu człowieka, oddanego od dzieciństwa pracy ciężkiej i gminnej. Lecz to właśnie stanowi główny charakter życia Brittona.

Sala, w której zgromadzał się kwiat towarzystwa londyńskiego na koncerta, była długa i wązka, mająca przed sobą skład węgla—była tak niską, że ludzie wyższego wzrostu, zaledwo niedotykali głowami sufitu. Wschody prowadzące do niej, były przytwierdzone do muru zewnętrznego, i nie tylko nie odznaczały się wygodą, ale groziły niebezpieczeństwem. Pomimo to wszystko, sala Brittona, przepelnioną zawsze była, wyborem artystów i kwiatem wyższego towarzystwa.

W początku 1678 roku, otworzyły się koncerty Brittona i przedłużały się do 1715 roku—w którym umarł. Najsprzeczniejsze jednak, chociaż niczem nie usprawiedliwione podejrzenia i pogłoski, zmusiły go po pewnym przeciągu czasu do zmiany miejsca zebrań. Niechętni i zawistni, oskarżali go, że pod pozorem muzyki, rozpowszechniał magiją, herezję, jezuityzm i t. p. W nowej sali urządzonej przyzwoiciiej, w sąsiednim domu, klub muzyczny organizował się ściślej. Każdy z towarzystwa płacił rocznie po dziesięć szelingów, za wejście i miał prawo zapotrzebować filiżankę kawy, za opłatą kopiejki.—Widzimy więc, że nie była to żadna spekulacya, a jedynie konieczność pokrycia nieodbitych kosztów lokalu i innych wydat-

ków. Używanie kawy, sprowadzonej do Europy i do Anglii, zaledwo od lat kilku, nieubliżając powadze klubu, dowodzi tylko chęci stosowania się do mody współczesnej.

Wstrzymujemy się od wyliczania artystów uczestniczących w tych klubach; powiemy tylko, że wszystkie znakomitości muzyczne współczesne, brały w nich czynny udział. Andytoriat zaś składał się zawsze z członków pierwszej arystokracji angielskiej— i innych osób wyższego towarzystwa. Przytomność dam urozmaicała i ożywiała te zgromadzenia fisharmonijne, a że repertuar sztuk grywanych, mieścił w sobie wybór utworów dawniejszych i współczesnych kompozytorów, wszystkich krajów, o tem zbytecznym byłoby dodawać.

Wypadek zrzędził, że sala ta koncertowa, pochłaniająca całą duszę, całe zadanie życia Brittona, była niejako powodem jego śmierci. Jeden ze zwykłych gości koncertowych, niejaki *Role* sędzia pokoju, chcąc przez niewłaściwy koncept, zabawić się kosztem prostoduszności węglarza, wprowadził pewnego razu na zgromadzenie, znanego sobie brzuchomowcę, skłoniwszy go pierwój do niemiłosiernej farsy. Jakoż podczas ekzekucji pierwszej sztuki, gdy powszechnie zajęcie ogarnęło słuchaczy, dał się slyszec jakby z pod ziemi, głos przytłumiony drżący: „*Nieszczęsny Brittonie! godzina twoja wybiła— módl się— bo oto umierasz!*” Sześćdziesięcioletni starzec, sądząc że slyszy głos Qaranciaresa, padł na kolana i w najwyższym przestrawu polecał duszę swoją Bogu. Starano się go przekonać o prawdziwości tego co zaszło, nie zapominano o środkach lekarskich ale zapóźno. Cios był już wymierzony i ugodził go śmiertelnie, w parę dni skończył życie. Było to we Wrześniu 1714 roku.

Britton zostawił żonę która niepodzielając jego zamiłowań, wypełniać tylko zdawała się obowiązki rządczyni domu. Zmarły, oprócz biblioteki, zbioru nut i instrumentów muzycznych, niepozostawił żadnego spadku. Liczne tłumy przeprowadziły zwłoki jego na cmentarz, — ale nie upamiętniono niczém jego grobu. Współczesny mu malarz Woolonston, za życia jeszcze zdjął jego portret. Ten, który tu podajemy, pisma perjodyczne francuzkie, przed dziesięć laty, otrzymały

ze zbioru *p. Halevy*. Znakomity ten kompozytor, podał zarazem do wiadomości publicznej, poczerpnięte z różnych źródeł szczegóły, o życiu tego człowieka, tak godnego szacunku, pamięci i naśladowania.

*Jan Prusinoski.*

## JACEK KĘPCZYK.

OBRAZEK Z ŻYCIA KURPIÓW

przez

Stanisława Nowińskiego.

Bogata ziemia nasza, nie brak jej niczego co człowiekowi do życia potrzeba. W całym świecie nie ma takiej pszenicy, jaka się u nas rodzi, żyta na chleb, jęczmienia, gryki na krupy i kaszę, owsa dla chudoby podostatkiem mamy, a nasze ręce koniki, nasze poczciwe krówki i wełniste owieczki, którymże ustępują? Ale nie wszędzie to tak jest u nas. Jako na słońcu plamy, tak i w krainie naszej są gdzieniegdzie miejsca mniej od drugich szczęśliwe, mniej od drugich bogate, i tam człowiek przemysłem zdobywać sobie musi, czego mu ziemia odmawia. Zajrzyjmy do puszczy Ostrołęckiej, tej odwiecznej Kurpiów ojczyzny. Tam bieda! Ziemia nieurodzajna, piaszczysta, ledwo ziemniaki jakie takie wydaje, wszędzie bagien i trzęsawisk pełno, a lasy, Panie odpuść, i sosnowe drzewo tępo w nich rośnie. Z biedy, Kurp to tego to owego chwycić się musi, byle jakoś wyżyć. Dawnymi czasy, kiedy jeszcze te puszcze ponure zapępniały bory, a w nich swobodnie bujał jelen, łoś, żubr, dzik, niedźwiedź, po drzewach zaś chętnie trzymały się pracowite pszczoły, jako tako powodziło się Kurpiom; dzisiaj trudniejsza sprawa: lasy przetrzebione, grubszego zwiędza ani na lekarstwo nie dostanie, pszczoł nie ma — pomimo tego nie mrą z głodu, a nawet i bogacze są między nimi, jak oto, nie szukając daleko, Wojciech Ostrowski, co w Dąbrowie nad Narwią, gospodarzy od lat trzydziestu na kawałku ziemi odziedziczonym po rodzicach.

Dąbrowa, nie osobliwsza to wiosczyna, ot jak i inne Kurpiów osady. Mieszkańcy trudnią się to ścinaniem drzewa, to furmanką, to orylką, to znowu kopaniem i obrabianiem bursztynu i jak tam zresztą mogą, pchają biedę przed sobą.

Dom Wojciecha Ostrowskiego postawiony w węgieł, nie ciasny, o dużych oknach z malowanemi okiennicami, przyzwoitą ma powierzchowność. Ale cóż to ja widzę! ściana nad oknami białem wapnem pomalowana, a podwórko przed domem usypane piaskiem w różne floresy. Wszakże to znak, że tu jest córka na wydaniu; spieszmyż więc co żywo do chaty.

Wszędzie porządek, aż miło popatrzeć! Pierwsza izba dość obszerna, o trzech oknach, piec polewany, na półkach poustawiany sprzęt kuchenny, pod ścianą stół czysto wymyty, przy oknie warsztat tkacki, a przy warsztacie hoża Marynka, córka Wojciecha. Starego nie ma w domu, bo poszedł ze strzelbą na cietrzewie, których tu w kniei poblizkiej uwija się nie mało, równie jak kuropatw i jarząbków.

Marynka to oczko i jedyna pociecha starego Wojciecha od czasu jego owdowienia, to jest od lat dziesięciu. Tylko dla jej dobra nie wstępował w powtórny związek małżeński, choć się do tego głośno nie przyznawał, tę tylko półzartem dając nachodzącym go swatom odmowy przyczynę, że się boi zwyczaj u Kurpiów powszechnego, który wymaga, aby niewiasta za wdowca idąca, nie zachodziła do jego domu drzwiami, ale oknem. Bóg łaskaw na sierotę nie poskąpił dziewczynie urody, to też gdy się w Niedzielę przybrała w nowy kolorowy gorset, jaśnistą perkalową spódnicę, białe pończochy i niebieskie sukienne na korkach trzewiki, cienką białą koszulkę, czerwonym sznurkiem wyszytą, białą chustkę zawiązała na głowie, a na szyi przy szkaplerzu zawiesiła kilka sznurków koralu prawdziwych i bursztynowych lub w zimie przywdziała kaftan sukienny, granatowy lub zielony, na który sukno własnemi utkała rękami, to niejednemu chłopakowi ledwo oczy nie wyskoczyły za nią, a za oczami serce, zwłaszcza że to było dobre, potulne i pracowite dziewczątko. Ojciec Marynki był człek gospodarny i trzeźwy, a choć w kaszę sobie nie dał napluć i za wyrzą-

dzoną krzywdę zwykł płacić odwetem, był ludzki i uczynny. Pracą i oszczędnością znacznie pomnożył swój dobytek. W polu rodziło się trochę zboża, ogródek przy domu dostarczał ziemniaków i kapusty, a wieprzki, których zawsze po kilku wykarmił, okrasy do jadła; w stajni cztery koniki stały w pogotowiu, w lesie wypasało się kilka krówek — do tego myślistwo także coś przynosiło, więc w skrzyni brzęczały karbowanice. Wojciecha szanowano powszechnie jako człeka rozsądnego i poczciwego i lubiano go w kompanji, bo też gdy się rozgadał zwłaszcza o dawnych czasach, to było co posłuchać. Niejedno sam doświadczył i widział, niejedno od starych ludzi zasłyszał, więc jak to niegdyś Kurpie robili obławy na rysie i zubry, jak biegli byli w strzelaniu, iż nawet w główkę ćwieczka trafiali, jak się z Szwedami bili. A wszakże Działyńska, wojewodzina Chełmska pierwsza na czele Kurpiów stawiała opór zwyciężkiemu Karolowi XII, a dumny monarcha szwedzki zdumiał się, że chłop i bez butów, jak Kurpiów nazywał, śmieli się targnąć na jego potęgę.

Owóż Marynka miała już osmnasty roczek i czas jej było za mąż, to też niejeden już dawno byłby słał po nią swaty, gdyby nie to, że Wojciech nie miał ochoty oddać jej pierwszemu lepszemu i przeczuwano, że się drożyć będzie. Ale wreszcie znalazł się Kurpik nie lada, co na to wszystko nie wiele zważał. Nazywał się on Jacek Kępczyk.

Jacek dopiero przed rokiem stracił rodziców i dopiero od tego czasu gospodarzył na swoim. Przystojny to był chłopak, prosty jak sosna a odważny i silny, choćby z niedźwiedziem pójść w zapasy. Syn sławnego myśliwego, gdy był małym chłopięciem, to póty kawałka chleba nie dostał, póki go sobie strzałem nie stracił z drzewa, gdzie mu go ojciec przywiązywał; tak się też ze strzelbą obchodził, że najcelniejsi strzelcy równać się z nim nie śmieli. Do tego jedyny na weselu, jedyny do piosneczki światowej, zwłaszcza w tańcu, a cóż dopiero gdy przyszły zapusty, albo gdy po święconém Wielkanocnym rozochoczone chłopaki sprowadzili grajka aby dziewczyny roztrząsnąć. Do tego ubierać się lubiał i zawsze na codzien w swią-



teoznych chodził sukniach. Sukman na nim ciemno-siwy, z granatowými klapami, pas przesliczny czerwony, kamizela wyszywana, kapelusz ozdobiony sznurkiem złocistym z kutasami i pawiem piórami, koszula biała, pod szyją faworek, na nogach zgrabne chodaki. Nieboszczyk jego ojciec prócz myśliwstwa, najwięcej furmanką się trudnił i wyrabiał téż w domu wozy, brony, łopaty i inny sprzęt domowy i wszystko to wywoził na jarmarki, za co potém złotówki jak groch zwoził do domu, i synowi nie lada gospodarstwo zostawił. Ale Jacek nie umiał szanować ojcowskiego dobytku. Na hulankę, na ubiór, na muzykę przeszły prędko pieniądze i koniki się sprzedały, a do pracy nie było ochoty. Mawiali o Jacku sąsiedzi, że jak się ożeni, to się ustatkuje i radzili mu aby się prędko ożenił, co się wcale trudnem nie zdawało, bo dziewczki to aż kraśniały gdy się do której przybliżył, ale byli gospodarze, a do tych i Wojciech Ostrowski należał, co Jacka za nic dobrego mieli i nie radzi byliby nazywać go zięciem.

Nieszczęście chciało, że Jacek właśnie zakochał się w hożej Marynce, a Marynka w Jacku. Żwawy i piękny chłopak od razu przypadł dziewczynie do serca, Jacka zaś nietylko nęciła uroda i pocziwość Marynki, ale i nadzieja posagu. Stary Wojciech skoro postrzegł na co się zanoszą; zakazał dziewczynie chodzić do karczmy, aby się tam z Jackiem nie bałamuciła, ale chłopak bynajmniej tem nieustraszony, potrafił znaleźć sposobność widywania Marynki i jak na sarnę zaczajał się na nią, aby wychodzącą z domu lub wracającą, zatrzymać i zagadać do niej, albo i całusa ukraść, jeżeli się udało. Ojciec o tém długo nie wiedział, aliści jednego razu wracając z kniei do domu, przydybał ich przypadkiem na gorącym uczynku. Marynka spostrzegłszy starego, czempredzėj uciekła, a Jacek oparty na strzelbie stał spokojnie i bez trwogi, choć widział, że Wojciech się zasapał i można było burzę przewidywać. Gdy się doń stary przybliżył i miał coś zagadać, zdjął kapelusz i pokornie skłonił się mu do nóg. To rozbroiło starego, mruknął coś pod nosem i obszedł go w milczeniu, a Jacek zawiesiwszy strzelbę na plecach, rzucił jeszcze raz okiem ku oknu, w którym mu

mignęła twarzyczka Marynki, nasunął kapelusz na oczy i pośpieszył do kniei.

Tymczasem Wojciech dalejże wypytywać Marynkę, czego Jacek chciał, po co przychodził, co gadał?

Marynka milczy, a coś jój krasnieją jagody.



Kurpie dawniejsi.

Stary ojciec nuż przemawiać dziewczynie do serca, i przekładać, że Jacek ladaco, nie poszanuje grosza, nie posiedzi doma, wszystko co do rąk dostanie to straci, przehula i żonę kiedyś przepije.

— Nie zwracaj sobie nim głowy dziewczyno, rzekł w końcu, bo ja cię nie dam za niego.

Minęło dni kilka, Marynka siedzi przy warsztacie i wzdy-

cha, a robota coś jój nie sporo idzie. Stary nie wychodzi z domu, jakby nie dowierzał córce, jakby się bał aby nie uciekła do Jacka, więc siedzi i skrobie kawałek bursztynu gdzieś na roli znalezionego i milczą oboje.

A wtém Marynka rzuci robotę, zerwie się prędko i skoczy do komory. Stary spojrzy na córkę zdziwiony, rzuci okiem ku oknu, a właśnie w téj chwili zeskakiwał z wozu Jacek Kępczyk, z dalekim krewniakiem swoim Mateuszem Grzędą.

Drzwi się otwarty.

— Pochwalony Jezus Chrystus, rzecze Grzęda, jak się macie p oczciwy Wojciechu?

Jacek skłonił się do nóg staremu.

— Przyjechaliśmy do waszój Maryny z zalotami, zagada znowu Grzęda; gdzieżeście ją podzieli?

Wojciech uściskał rękę staremu.

— Szkoda nóg waszych, rzecze, Marynka jeszcze za młoda, a do tego ją tylko jedną mam na świecie; żal by mi było rozłączyć się z nią, a kto mi oczy zamknie?

— Oj, oj! Co wy téż to gadacie? powie swat znowu, Marynie czas za mąż i wam czas zdać gospodarstwo na zięcia. A czy to ją za morze dacie, czy co? Wszakże z wami zostanie, jeno że w drugiem domostwie siedzieć będzie. No Jacku, poszukaj dziewczyny i przyprowadź; posłyszymy co téż ona powie.

Jacek skłonił się Wojciechowi i postąpił krokiem ku komorze. Wojciech wstrzymał go ręką.

— Słuchajcie Mateuszu, rzecze do swata, nie ma co długo gadać, ja nie dam Marynki za Jacka.

— Ho! ho! Już tak zaraz odmawiacie; podajcie lepiėj miarkę, napijemy się gorzałki, to pogadamy. I wyciągnął sporą flaszę.

Ale Wojciech nie kwapił się po miarkę. Swat nuż przedstawiać.

— Jacek, jak wiecie, dobrych rodziców dziecko i dobry z niego parobczak, a że trochę lekkomyślny, to jeszcze nie racya aby mu dziewczuchy odmawiać. Oj stary! wspomnijcie sobie

dawne lata. Wszak i my nie zawsze tacy stateczni byli jak dziś. Jak się ożeni, to się odmieni, uszatkujecie i wszystko pójdzie dobrze. Chyba że go Maryna nie chce; to znowu co innego. Ale ona podobno kocha Jacka i żyć bez niego nie może. Ej sąsiedzie, pozwólcie zawołać dziewczyny. Przecież jej szczęścia nie będziecie zagradzać. . .

— Jabym jej rad Nieba przychylić, ale Jacek nie dla niej, Jacek paliwoda, grosza nie uszanuje, zmarnował swoje i to zmarnuje co Maryna mieć będzie z łaski Boga.

— Jeżeli o to chodzi, Wojciechu kochany, to można zaradzić, aby był bezpieczny posag Marynki, niech w waszém ręku zostanie. Na początek nic państwu młodym nie dawajcie, obaczycie jak sobie poczynać będą, a jeżeli później poznacie, że im warto dopomódz, to wtedy dopiero dacie co wasza łaska.

Stary się zamyślił, swat nalegał i coraz natarczywiej. Wreszcie ozwie się Wojciech:

— Niech i tak będzie. Jeżeli Marynka zechce, niech idzie za Jacka, ale ja tak uczynię jak swat radzi i nie dam posagu, póki nie obaczę że warto.

Przywołano Marynki. Dziewczyna pokraśniała, do nóg się ojcu skłoniła, ale na porządną odpowiedź zdobyć się nie mogła. Przecież z wyrzeczonych półsłówek widać, że radaby oddać rękę Jackowi.

Znalazła się i miarka do gorzałki. Poszło zdrowie kolejką.

— Widać że się kochają, rzecze swat; niech wam Bóg dopomaga! bierzcie się, skoro ojciec pozwala.

Oboje młodzi do nóg się ojcu skłonili i zaloty skończone.

Na różnych przygotowaniach zeszyły prędko trzy niedziele. Stary Wojciech sute córce wyprawił wesele. Marynka nie płakała gdy jej przypinano wstęgi kolorowe, nie płakała gdy jej rozplatano warkocz a ubieraczka smutną pieśń nuciła; nie płakała i wtedy gdy druźbowie składkę na posag robili, ale gdy przystrojona do nóg staremu ojcu upadła, prosząc o błogosławieństwo, to już łez rzewnych powstrzymać nie mogła.

Jacek i druźbowie dosiedli koni, starzy na wozach, panna

młoda z starszym družbą i grajkiem na osobnym wozie i wśród skocznej muzyki jadą do kościoła.

Za powrotem po ślubie, zastali obiad gotowy. Barszcz, mięsiwo, pasternak, flaki, podawano kolejno według zwyczaju, nareszcie stawiono na stół groch, niezbędny na weselu u Kurpiów, przy którym wszyscy goście śpiewają stosowną pieśń z pobożnym przyspiewkiem. Po obiedzie pijatyka i tańce do późna się przeciągły.

Marynka przeniosła się do mężowego domu. Stary Wojciech dotrzymał słowa, nie dał za córką ani jednego talara, tylko wyprawę jaką taką i kilka sztuk bydła, a choć nie często państwa młodych odwiedzał, nie spuszczał z oka Jacka i pilnie baczył na jego postępowanie.

Jacek dobry był dla żony, bo też Marynka cicha a pracowita i dobra gospodyni, godna tego była i chwili jednej nie posiedziała z założonemi rękami i za siebie i za męża robiła, bo Jacek nie bardzo garnął się do roboty. Czem skorupka nawre za młodu, tem na starość trąci. Oj! święte to przysłowie; i na Jacku sprawdziło się co do joty. Z początku choć nic nie robił, to przynajmniej pilnował domu i żony samą nie zostawiał, ale to ledwo miesiąc trwało, a po miesiącu, to coraz częściej do karczmy zaglądać zaczął i nieraz się zdarzało, że go żona i po całych dniach nawet nie widziała. Płakała biedaczka i prosiła Jacka, aby tego nie robił, ale on ofuknął ją tylko i ani myślał o poprawie. Tębardziej cierpiała na tem Marynka, że nie miała się komu poskarżyć, a przed ojcem nie chciała żalić się na swoją terażniejszą dolę, aby jej nie przypomniał, że sama sobie winna, bo ją o tem ostrzegał. Jacek pił coraz częściej i coraz więcej, a za co? z kądże miał na to pieniądze? Oj! mnijsza oto, gdyby był przepijał własny zarobek; ale to gorzej, że on nic nie zarabiając pił tylko na kredkę i przyszło do tego, że żyd potem raz poraz przychodził upominać się o pieniądze, a gdy ich odebrać nie mógł, zabrał krowkę jedną i drugą, a potem i koniki.

Stary Wojciech aż się za głowę złapał; zeszedłszy się jednak z Marynką, nie robił jej wymówek, jeno zapłakał nad jedy-

naczką; nie łajał też i Jacka jeno przedstawiał mu łagodnie i prosił aby się usatkwował, ale wszystko na próżno. Jacek chwili nie mógł w domu usiedzieć, jeno do karczmy ciągnął, a gdy i strzelbę przepił, to do kniei nie było z czém zajrzeć więc już i strzelać zapomniał i zarzuciwszy to niegdyś tak miłe Kurpiowi rzemiosło, zaczął myśleć o inném. Orylka się mu uśmiechała i postanowił nająć się za oryla.

Zasłyszawszy o tem Marynka, nuż w prośby do męża, nuż w prośby do ojca, aby mu przedstawiał i odwiódł od złego zamiaru, bo przewidywała, że z tego nic dobrego nie będzie, ale nie pomogły prośby, nie pomogły przedstawienia. Jacek ją uspokajał, że na orylce zarobi na krowy, a może i na konie, to będzie miał o czem siedzieć doma i skoro tylko ruch się zaczął na Narwi, a pierwsze statki i tratwy przypłynęły ku Wiśle, dalejże układać się z żydem co się przewozu podejmował, dalejże gotować się do drogi. A gdy przyszło do pożegnania, to Marynka stała na brzegu milcząca i błada i gorzkimi zalewała się łzami, a on wykrzykiwał i przyspiewywał sobie.

Gdy już Jacek uchwycił za wiosło i tratwa ruszyła, to Marynka jeszcze podbiegła ku wodzie, i jeszcze raz:

— Zostań! zostań! wołała.

On się nachmurzył, nasunął kapelusz na oczy, odwrócił się i popłynął dalej, ale łza błysła mu w oku i gdyby nie to, że już kilka kwart gorzałki wypił na zadatek, to kto wie czyby był nie został.

Marynka smutna, splakana, rozżalona wróciła do chaty, a gdy się ujrzała sama jedna między czterema ścianami, to już sobie rady dać nie mogła. Prawda, że i dawniej najwięcej tu sama jedna przesiadywała, ale dawniej przecież choć w nocy, choć nazajutrz mąż powracał do domu, a teraz miała przed sobą kilka długich miesięcy.

Stary Wojciech częściej teraz zajrzał do córki i jak mógł pocieszał. Nie wyrzekł przy Marynce ani słowa jednego na Jacka, owszem gdy się ona odważyła skarżyć na niego, to on ją spokoił.

— Poczekaj, Jacek wróci, usatkuje się. Teraz nie rychło

wyrzekać, płacz nic nie pomoże, trzeba jeno prosić Pana Boga aby się nad wami zlitował, bo w jego mocy jest przemienić złe w dobre.

Rzeczywiście w Bogu miała jedyną nadzieję Marynka, a w modlitwie jedyną pociechę. Aby jej czas prędkiej schodził i aby mąż gdy wróci zastał jaki grosz w kalicie, brała się do pracy i robiła co mogła. Na ojca już się nic nie oglądała, bo znając go dobrze, wiedziała, że słowa nie złamie i jako powiedział nie da nic, póki się Jacek nie ustakuje.

Tak mijał czas powoli na płaczu, modlitwie, pracy i tęsknocie, a Jacek nie wracał. Marynka prawie codzien, zwłaszcza pod wieczór, wybiegała przed dom i patrzyła rychło zacząć wracać oryle, ale choć już i wrócili niektórzy, Jacka między nimi nie było. Powracających wita Marynka jak braci, pyta czy nie widzieli jej męża? Upewnijają, że wróci niebawem i naznaczają nawet dzień jego powrotu. Więc stęskniona żona teraz i po kilka razy na dobę wybiega i patrzy i czeka, a zawsze napróżno. Jacka nie ma i nie ma. Więc śpieszy do kościoła daje na mszę na jego intencję i modli się gorąco. Pan Bóg łaskawie wysłuchał modlitwy, przyjął ofiarę szczerą. Jacek wrócił nareszcie. Marynka uradowana nie pyta o gościniec, nie pyta o zarobek, jeno o zdrowie, o przygody pyta, stawia na stół co ma najlepszego.

Dopiero drugiego dnia, gdy Jacek nic o zarobku nie mówi, a po wódkę posyłać każe:

— Jacusiu, zapyta go, a gdzie ty sukman podział? a gdzie twoja kamizela? ty tylko w koszuli . . . coś ty z przyodziewą porobił!

Jacek się zarumienił i machnął ręką.

— Ot, żyd szelma! oszukał mię i zarobek ledwo wódką i jadłem wypłacił i jeszcze przyodziewę zabrał, bo powiada, żem mu winien za gorzałkę.

Marynka załamała dłonie:

Więc ty daremnie jeździł? O! to gorzałczysko przeklęte! Jacusiu, ty już nie będziesz pił wódki; jak mię kochasz, nie będziesz. Oszczędziłam kilka złotych, kupimy krowę i powiemy

ojcu, że ta za twój zarobek, stary zmięknie, dołoży, będą i konie, ale Jacusiu kochany, nie pij gorzałki, bo zginiemy. Oj! ty i pracować nie potrzebujesz, Bóg pobłogosławi, będziemy mieli chleba dość i na nowy sukman ja ci sukna narobię . . . tylko nie pij, bój się Boga nie pij.

Jackowi łza się w oku zakręci, porwie żonę, przycisnie, wyczuje.

— Marynko, ty śliczna moja, zrobię co zechcesz, wszystko zrobię, ty jedyna moja, ty mi staniesz za wszystkich kamratów; już i jednego kieliszka nie skosztuję, tak mi Panie Boże dopomóż.

Marynka aż pokraśniała jak niegdyś, kiedy jeszcze dziewczuchą była.

— O mój Jacusiu jedyny . . . ty mię posłuchasz. . . o jakżeś ty dobry . . . I dalejże ścisnąć i całować męża. To mi stanie za najbogatszy gościniec, już mi nie nie trzeba, jużem dosyć szczęśliwa, dzięki Ci Panie niebieski!

Jacek przeprosza żonę.

— A nie gniewasz że się? nie masz do mnie żalu?

— Napłakałam ja się dość, gdy cię nie było. Gdyby ten warsztat żywy był, onby ci powiedział, wiele łez moich padło na niego . . . ale już wszystko zapomniane, wszystko zapomniane.

— Bóg ci zapłaci.

— A nie popłyniesz już?

— Jako żywo.

— Nigdy?

— Nigdy, nigdy moja Marynko.

— O! to dobrze; i doda smutno: ale czem ja ci to odwdzięczę?

Jacek uściskał żonę.

Wojciech skoro tylko usłyszał o powrocie Jacka, nim się zięć z nim przywitał, szedł między oryle i wypytywał o niego. Nie tajono przed nim smutnej prawdy, dowiedział się o wszystkim, więc gdy Marynka przyniosła mu własnymi rękami zapracowane pieniądze niby męża zarobek i prosiła o pomoc do



kupienia krowy, poznał, że z miłości dla męża kłamie, ale ta miłość tak go rozrzewniła, że się już nie ociągał dłużej z pomocą choć niewielką.

— Przecierpiał dość biedy, pomyślał sobie, może się ustatkuje.

Dolożył kilkadziesiąt złotych i sam z młodemi poszedł na jarmark.

Stajenka zapełniła się znowu. Jacek się oporządził, wszystko poszło jak z płatka. Dotrzymał żonie danego słowa, nie pił i nie przesiadywał w karczynie. Kupił sobie strzelbę i znowu zasłynął jako dzielny myśliwy i jak niegdyś nieboszczyk jego ojciec, zabrał się do wyrabiania sprzętów gospodarskich, co mu też szło składnie i grosz piękny przypływał do skrzyni. Marynka nie posiadała się z radości i niewiedziała jak Panu Bogu dziękować za tę odmianę, tak zima wesoło im schodziła.

Przyszły zapusty, a z niemi igraszki rozmaite. Jacek trzyma kompanję z starszymi gospodarzami i z nimi się przyzwolicie pogawędką zabawia, a gdy gorzałka obchodzi kolejną, to nie odtrąca kieliszka, ale też miarki nie przebiera. Marynka też poważnie między starszemi gospodyniami przesiaduje.

Oj! Bodaj to u Kurpiów zapusty! Młode parobczaki za żydów i niedźwiedzi przebrani, chodzą od domu do domu, żartując i śpiewając, a gdzie przyjdą, to wśród żartów wesołych zabierają wszelkie jadło jakie zastaną: tu kielbasy, tam placki itp., a wszystko ma się rozumieć umyślnie dla nich przygotowane. W pierwszy dzień postu biegają znowu po wsi i dalejże sypać popiół na dziewczęta, a groch na łysych. Gospodynie schodzą się do karczmy i tam każda *konopnego* tańcować musi. Tegoż dnia wieczorem, na sztucznie z patyków zrobionym koniu, ogon z lnu mającym, wjeżdża parobczak prześcieradłem okryty, a gdy patykami rusza i podskakuje naśladowując ruch konia, to się wszyscy aż kładą od śmiechu, a on wówczas sypnie popiołem tu i owdzie, tę i ową miotłą wygoni, a wreszcie poszukawszy naczynia z wódką, wylewa ją i gasi światło.

Marynka już drugie zapusty obchodzi na swoim gospodarstwie.

darstwie, ale te drugie weselój jak pierwsze, choć poważnie i bez tańca.

Wkrótce po zapustach, dał Pan Bóg Marynce synaczka. Dano mu na chrzcie świętym imię Wojtuś, co dziadka bardzo ucieszyło. Starowina aby się wnuczkiem nacieszyć, raz po raz przybiegał do domu zięcia, brał dziecinę na ręce, huśtał i kołysał. Jacek ojcem zostawszy, jeszcze bardziej brał się do pracy. Widoczném więc było, że się już ustatkował i poprawił i niewiedzieć dla czego stary Wojciech jeszcze się ociążał i córce wiana nie dawał. Czy jeszcze niedowierzał zięciowi? To tylko pewna, że go bardzo polubił, przesiadywał w jego chacie po całych dniach, pomagał czasem w robocie, choć sam dla siebie żadnej od niego pomocy nie żądał, chodził z nim do kniei, jeździł na jarmark do miasteczka.

Tak zeszedł czas aż do Wielkiejnocy, a skoro te nadeszły, już od Wielkiego Piątku Marynka piekła placki i sposobila kiełbasy i jaja, aby i on miał swoje święcone. W Wielkanocną Niedzielę po objedzie, poschodzili się gospodarze z całej wsi do karczmy, tam starzy przy krupniku, zabawiali się gawędką, zabrzmiała muzyka, więc się i tany zaczęły. Jacek jak w zapusty tak i teraz stateczny, poważny, choć wesoły i gadający, nigdy miarki nie przebiera w picciu, a gdy się w nim dawny nałóg odezwie, to popatrzy na żonę, popatrzy na sędziwego teścia, albo się krzyżem świętym przeżegna, aby pokusę odpuścić.

Aliści wkrótce po świętach, odkąd się wiosna zaczęła, a lody puściły i na grzbiecie Narwi ukazały się tratwy i galary, jakoś posmutniał i przez kilka dni chodził jak struty. Na pierwszy odgłos nawołujących się orylów, Jackowi, co właśnie z kniei wrócił, strzelba z rąk wypadła, Usłyszawszy ten głos, zadrżał na cełem ciele i pobladł.

Dostrzegła to Marynka i westchnęła. Jacek wziął dziecinę, pobawił się z nią, ale po chwili oddał matce, wziął kapelusz, poszedł na Narew popatrzeć. Dawni znajomi witają dawnego oryla; żyd, ten sam, któremu Jacek przeszłego roku

służył, ściska go za rękę, na wódkę. Jacek się wrywa, ucieka i wraca do domu.

— Czego ty smutny, Jacku? co tobie? pyta go żona.

On chmurny jakiś, nie patrzy na Marynkę, nie gada do niej i dziecka nie pieści. Wojciech woła go do kniei, on nie



Kurpie tarażniejsi.

chce, wymawia się, że ma dużo roboty, a zamiast robić, znowu nad rzekę biegnie.

— Aj waj, Jacek spanoszał, szepce żyd, kręcąc się koło niego; nie pije z nami wódki... a może nie ma czem zapłacić za swoją kolej i dla tego od nas nie przyjmuje?

Jacek wsadzi rękę do kieszeni, zabrzęczy złotówkami.

— Aj waj! ty pan! wykrzyknie żyd. Panie Jacku, kiedy tak, to zapłaćcie nam po kieliszku.

Przysunęło się kilku orylów.

— Wódki! krzyknął Jacek.

Rozkaz spełniony, kwarta tylko się migła. Wnet stawiono drugą, a potem i trzecią. Jacek się upamiętał, zapłacił i uciekł do domu.

Marynka w trwodze największej czekała na męża, więc ujrzawszy go, nuż o to i o owo pytać, nuż o dziecku rozpowiadać i jadło co najlepsze na stół stawiać. Jacek nie rzekł i słowa, nie tknął jadła, nie popatrzył na dziecko i spał do wieczora.

Marynka w płacz.

— Tatulu ratujcie! prosi ojca gdy po drodze wstąpił wnuka nawiedzić.

Wojciech idzie pogadać z Jackiem, a jego już nie ma, już się niepostrzeżenie wymknął na brzegi Narwi.

Przyszedłszy zaś tam, już nie czeka aż go namawiać będą sam pierwszy woła na żyda, aby dawał; częstuje orylów i płaci.

Tak trzy dni i trzy noce na pijatyce minęły. Marynka zalamuje ręce, ale z mężem do słowa przyjść nie może, bo on wciąż pijany i prawie nie zagląda do domu, tylko po pieniądze.

Pije i płaci dopóki ma czém płacić, a choć mu pieniędzy nie stało, woła jeszcze gorzałki. Żyd daje na kredkę jeden, drugi i trzeci garniec. Wszystko wypili oryle a Jacek z nimi.

I jeszcze mu nie dosyć.

— Żydzie, jeszcze garniec! woła.

— Ny, za co mam dać? gdzie pieniądze?

— Sprzedam jutro krowę, to ci zapłać.

— Aj waj, jutro! jak jutro, kiedy ja do dnia odjeżdżam?

Jacek w prośby.

— Moszku kochany, tylko garniec, ja was nie oszukam; alboż mię to nie znacie?

Moszek niby ujęty przypomnieniem, weźmie go na bok, i nuż szeptać do ucha:

— Jacusiu, tyś dobry, tyś chwatać jak dawniej, a ja myślałem, że z ciebie nic już nie będzie. O! ty będziesz orylem.

— Orylem nie będę, za wódkę ci zapłacę jutro; żwawo, daj jeszcze garniec!

— Kto wie czyje jutro? nie godzę się na jutro. A cóż to? czy ci źle było przeszłego roku, czym ci mało dogadzał? czyś nie miał wódki wieleś chciał?

— Jacek chwatać, Jacek popłynie z nami, odezwie się jeden i drugi z dawnych kamratów; dawaj Moszku wódki! nie drażnij się z Jackiem Kępczykiem, bo my wszyscy za nim.

— Na zadatek? podchwyci żyd.

Jacek się zastanowi, a tu wiatr szumi, woda pluska, a oryle wykrzykują wesoło. Biedakowi kręciło się w głowie, sam nie wiedział co gadał.

— Na zadatek? spyta żyd powtórnie.

— Niech tak będzie!

— Słowo?

— Słowo.

— Dajcie rękę przy świadkach. Skoro świt odpłyniemy. Sprzedał się Jacek za garniec gorzalki,

Marynka nie zmrużyła oka przez całą tę noc, jeno się zanosiła od płaczu, a skoro się rozwidniło, wzięła dziecię na ręce, i poszła nad wodę szukać męża.

Jacek leżał na tratwie, snem pijackim ujęty, prawie beziduszny.

Położywszy dziecię, klękał przy Jacku i dalejże budzić go i najczulszemi słowy przemawiać do męża. Wszystko na próżno. Jacek przewrócił się tylko na drugi bok i usnął na nowo. Biedna kobiecina nuż prosić orylów o pomoc. Ten i ów rozśmiał się jój w oczy; wszak oni wszyscy byli tacy sami jak jój Jacek.

— Jacek się zgodził, wziął zadatek, popłynie z nami.

— Co? on popłynie? od żony? od dziecka? O! nie będziecie mieli tej pociechy!

— Ruszaj precz! ofuknął ją żyd; on już zapłacony, musi płynąć. Precz, precz ztąd! my już ruszamy.

Marynka rzuci się do męża.

— Na miłość Boską, Jacusiu, zbudź się błagam cię; oni chcą mi cię zabrać ci ludzie bez sumienia, bez serca, chcą żonie wydrzeć męża, dziecku ojca.

Żyd krzyknął na orylów.

— Nu, dalej! bierzcie się do roboty; już czas!

— Do wiosł chłopacy!

Okrzyk wesoły rozlega się na tratwie, ten i ów spieszy na stanowisko. Marynka się zachwiała i omal nie padła bez zmysłów.

— Trudna rada, szepnął jój jakiś starszy oryl; idźcie do domu kobiecino, tu wasz płacz nie pomoże, idźcie do domu. I sprowadził ją z tratwy na brzeg, a oryle ruszyli.

Marynka blada, drżąca, stała z dzieciną na brzegu i z wyrazem najwyższej boleści patrzyła za odpływającymi. Jacek spał ciągle, nie wiedział co się działo około niego i z nim. Żyd niby za niego poruszał wiosłem, chytrze rachując w myśli, wiele sobie ma za to odciągnąć z wódki, co najczęściej jest prawie jedyną oryla zapłatą.

Marynka wróciła do domu. Ile łez wylała, ile westchnień posłała do Nieba, to tylko Bogu wiadomo. Ojciec już jój teraz na krok nie odstępował i jak mógł pocieszał. Ale Marynkę nie łatwo było pocieszyć.

Przecież Bóg łaskaw dodał jój sił do zniesienia okropnego ciosu. Minał tydzień jeden i drugi, oswoiła się cokolwiek z nowym położeniem swoim, choć tęsknić za mężem nie przestała i płakiwała po kątach. Mineła wiosna i nadeszło lato. Już tylko parę miesięcy, a już ujrzy swojego Jacka. Więc modli się i prosi Boga o błogosławieństwo dla niego, a przytém pieści dzieciną maleńką, uczy je wymawiać imię ojca i dziecina już tatą doskonale woła. Tak przeszło i lato, a skoro jesień nadeszła, Marynka już coraz niespokojniejsza, wybiega przed dom, wyteęza wzrok przed siebie i patrzy, czy tam nie wracają oryle. Ale napróżno patrzy, napróżno się ludzi. Oryle wresz-

cie wracać zaczynają, bieży skwapliwie naprzeciw nim, wypytuje o męża, niestety! żadnej wieści. Czeka znowu, pyta drugich, znowu nikt nie wie o Jacku. Czeka jeszcze; wraca żyd co jęj zabrał męża, wracają jego oryle, a Jacka nie masz pomiędzy nimi.

Okropna wieść omal nie zabiła biednej Marynki. Jacek utonął.

Wojciech wziął do siebie Marynkę i wnuka i odtąd już się z nimi nierozłączył.

## CZERWONY AFISZ.

(POWIASTKA).

napisał

Włodzisław Skiba.

### I.

Będzie temu osm czy dziewięć lat, a od tego czasu wiele rzeczy zmienić się mogło,—niewiem więc czy dzisiaj przechodząc ulicą Topiel, położoną w bliskości brzegu Wisły, w Warszawie i podówczas jeszcze, a może i dziś, zasługującą zupełnie na swoje charakterystyczne nazwisko,— otóż nie wiem czy dziś przechodząc przez tę ulicę, spostrzeżecie jeszcze na zielonej okiennicy wymalowany czarny, ogromny but, z niezmiernie długimi cholewami, wysokim i wązko zakończonym obcasem i cienkim, a długim jak szyjka od butelki nosem. Bót ten przecież istniał podówczas, kiedy się powieść moja rozpoczyna, choć go już deszcze splókiwać zaczynały, zacierając również powoli otaczające go głoski, które ułożone w cztery półkola, rozwinięte symetrycznie u góry i u dołu buta, składały napis następujący:

*Bartłomiej Kozik*

*Mayster szefcki*

*Robi i naprawia obuwia*

*tanie męskie y modne.*

Napis ten, którego pisownię zapamiętałem dokładnie, służył więcej do ćwiczeń w sylabizowaniu niedorostkom ulicznym, niż jako reklama dla pana majstra, bo tej pan Bartłomiej Kozik nie potrzebował wcale, ponieważ cała jego klientela składała się ze znajomych i dawnych kondmanów, a wszyscy ci znajomi jeden w drugiego nie umieli czytać. Wszystko to przecież nie przeszkadzało, żeby pan Bartłomiej miał zawsze dużo roboty, tak dalece, że zwykle do popołudnia w Niedzielę nabijał ćwieki pod podeszwy i dopiero w poniedziałek mógł sobie użyć przyzwocie przynależnego odpoczynku, przepędzając ten dzień regularnie w kaplicach, w których kieliskami dzwonią. Zdaje się, że to poniedziałkowe nabożeństwo pana Bartłomieja było przyczyną, iż pomimo swojej niedzielnej pracowitości, biedaczysko nie mógł jakoś grosza odłożyć na ciepły surdut na zimę, a w lecie, według stariej tradycji, on co innych stroił w *tanie, męzkie i modne* obuwie, sam w podartych butach chodził.

Pan Bartłomiej miał syna Franka, którego pragnął usposobić do tego samego rzemiosła i w którego byłby niezawodnie wszczepił te same zasady co do świątecznego odpoczynku, gdyby nie to, że kumem pana Bartłomieja, a chrzestnym ojcem Franka był zamożny handlarz drzewa z Solcą, który dorobiwszy się sporego grosza trzeźwością, zabiegłością i pracą, był w szczególnem poważaniu u pana Bartłomieja, a zwłaszcza u pani Bartłomiejowej.

Ten kum doradził ojcu i matce, żeby chłopca nie trzymali u siebie, a ponieważ koniecznie chcieli rodzice, żeby po nich rzemiosło odziedziczył, wynalazł im jednego z najbogatszych i najzaciejszych majstrów warszawskich, który chłopca przyjął do terminu.

Dziwno się zdało chłopcu z początku, gdy się dostał do nowego majstra. Życie było tak dalece odmienne od domowego, że kiedy raz w niedzielę, będąc wolnym, przyszedł odwiedzić swojego protektora i chrzestnego ojca i gdy go ten zapytał: jak mu się w nowem miejscu wydaje? to mu odpowiedział:



— I! proszę pana, ja tam kalendarza zapomnę.

— Jakto kalendarza?—spytał zdziwiony ojciec chrzestny.

— A juści kalendarza, proszę pana. Albo to pan nie wie co to kalendarz? W domu to się wiedziało kiedy Wtorek, kiedy Czwartek, kiedy Sobota, kiedy Poniedziałek, a tam to nie. Co dzień ino pracuj a pracuj. Przyjdzie Niedziela ruszaj do szkoły, a popołudniu dyżur w warsztacie. Ledwie co trzecie święto parę godzin po objedzie wolnych.

— No, to i masz kalendarz, — rzekł uśmiechając się opiekun.

— Ba! taki mi kalendarz, u tatula było całkiem inaczej. We Wtorek to tatulo wstawali z łóżka koło południa, posyłałi po wędzonkę i po wódkę, śmieli się i żartowali,—czasem zapędzili do roboty jak była pilna, ale powoli, bez przymusu. To się wiedziało że Wtorek. We Środę wstawało się rano i robiło cały dzień, tatulo śpiewali przy robocie, posyłałi po wódkę i po chleb. Wędzonki prawda nie było, ale mniejsza o to, wiedziało się, że Środa. We Czwartek była wódka i chleb; ale razowy, tatulo śpiewał mniej, a czasem na połowę przez żarty, pocięglęm na karku zanotował, że to Czwartek. W Piątek nie bywało wódki, tylko chleb, tatulo walili po karku byle o co, ale się wiedziało, że to był Piątek i post święty. W Sobotę robiło się na gwałt, o jedzeniu myśleć nie było czasu, ba i nie było wolno, bo pocięgiel przypominał że Sobota. W Niedzielę zaczynał się bal. Latałem ci z robotami, proszę pana po wszystkich. Ten dał trojaka, tamten piątaka za odniesienie, uciufało się ze dwadzieścia groszy lub złotówkę, było na Poniedziałek, bo co Poniedziałek, to już tatula nie było w domu przez calusienki dzień i mogłem grać w guziki od rana do nocy.

Odpowiedział Frankowi ojciec chrzestny, jak na człowieka porządnego i dojrzałego przystało. Wytlómaczył mu, że takiego życia prowadzić zawsze nie można i przekonał, że to nie jest nic miłego taki kalendarz, w którym co Piątek i Sobotę głód i pocięgiel zapisują dzień tygodnia.

Czy Franek słuchał czy nie słuchał nie wiem, dość, że

pomimo narzekania wytrwał w terminie i oto już za rok, od chwili w której się powieść nasza zaczyna, ma nadzieję, że się wyzwoli i wyjdzie na porządnego czeladnika.

Była to Niedziela, godzina piąta po południu. Franek w ten dzień nie miał dyżuru, odwiedził już rodziców i chrzestnego ojca, resztę czasu miał dla siebie, i—dziwna rzecz!—nie poszedł grać w guziki, chociaż miał dwa złote w kieszeni, odzwyczyił się jakoś od tego.

— Eh! bo nie wszyscy chodzą grać w guziki,—odpowiecie mi może.—Franek miał już rok siedemnasty, a dla siedemnasto-letniego chłopca, chociaż mu jeszcze z kijem i w kapeszu chodzić nie wolno, bo nie jest czeladnikiem, jeśli ma dwa złote w kieszeni; stoi otworem szynk lub bawarja, chociaż ukradkiem wchodzić tam potrzeba, żeby jaki czeladnik nie zobaczył i nie poznał, bo mógłby przy wywozolinach zaszkodzić.

Otóż nieprawda! Franek ani do szynku, ani na bawarję nie wstąpił i namyślał się długo co zrobić ze swoją dwuzłótką.

Chodził tak długo po ulicy, a że to było jakoś pod koniec zimy, lubo dzień był pogodny i suchy jak rzadko, więc ściemniać się zaczynało, — gdy nagle noga jego potknęła się o coś, niby o kamień.

Czytał niedawno Franek w jakiejś książce, o jakimś filozofie, co zrzucił z drogi kamień, o który się potknął i był tyle rozsądnym, że w tej anegdocie nie upatrywał śmieszności, jaką wielu nieuków w niej widzi, lecz rozumiał, że ten śmieszny na pozór mędrzec najwierniej wykonywał cnotę miłość bliźniego. Zapragnął go więc naśladować tym razem i schylił się, żeby odrzucić na bok to, co było zawadą w chodzeniu po zmierzchu.

Nie był to przecież kamień,—a co było?...

Franek nie chciał przez chwilę wierzyć swoim oczom. Była to spora i wyladowana portmonetka w połyskującej stal oprawna.

Jakoś instynktownie obejrzał się do koła i nie widział blisko nikogo,—zapewne również instynktownie wsunął por-

tmonetkę do kieszeni, obejrzał się raz jeszcze i niewiem czemu szybkim krokiem oddalił się z tego miejsca, a idąc co chwila z ulicy wchodził w inną ulicę, skręcając jak lis przed goniącymi go psami.

A przecież nikt go nie gonił.

Kiedy już był dosyć daleko, zatrzymał się zadyszany i obejrzał się raz jeszcze.

— Co w niej być może?—pomyślał.

A jakiś głos wewnętrzny zdawał mu się odpowiadać magicznem słowem:

— Skarb!!!

— Skarb,—mówił do siebie Franek, — a może papierosów kilka, notatki, bazgroty! Zobaczmy.

Sięgnął do kieszeni, ale jakoś bał się zobaczyć.

I szedł jeszcze dalej, upatrzył jakąś pustą sien, wszedł do niej, wyciągnął z kieszeni portmonetkę i zobaczył, że jest grubo wyładowaną papierami różnych kolorów, których wartość znał dobrze, chociaż nigdy jeszcze nie miał na własność żadnego takiego papierka.

Serce zabiło mu mocno. Chciał policzyć ale nie śmiał. Szybciej jeszcze niż wyjął, schował portmonetkę do kieszeni. Wyszedł z sieni i oddalił się od niej, znów niespokojny i oglądający się jak przedtem, i myślał w duchu:

— Dużo pieniędzy!!... Skarb!!!

Chciał biedz do domu, ale pomyślał, że ma czas wolny do dziesiątej. W domu mógłby porachować swobodnie, ale znowu, gdyby go widziano powracającego wcześniej niż zwykle, pomyślano by może....

— I cóżby pomyślano? — mówił do siebie Franek, — pójdę.

Tak mówił, ale jakoś mimowolnie nie szedł ku domowi, i nie poszedł.

— Tych pieniędzy ruszać jeszcze nie można,—myślał,— bo może w portmonetce jest nazwisko właściciela, a zatem trzeba będzie oddać.

Westchnął.

— Ale jeśli nie będzie wiadomo czyje to,—myślał dalej, to przecież to będzie moje.

— Niekoniecznie,—odezwał się głos jakiś.

Drgnął Franek i obejrzał się. Słowa swoje wymówił tak cicho, w myśli tylko, któż tam więc mógł odpowiadać?

Dwóch przechodzących szło za Frankiem, rozmawiali o swoich interesach, jeden z nich głośniejszym wyrazem, który tak zaniepokoił Franka.

Spostrzegłszy ich, nasz bohater zaczął biedz prawie kłusem i nieopamiętał się, aż gdy potracił jakąś kobietę, która z gniewem krzyknęła za nim:

— Postrzelony!

Zastanowiwszy się, że nie ma żadnej racji, Franek zwinął kroku i myślał:

— Czegóż ja się niepokoję? Przecież nic złego nie zrobiłem i zrobić nie myślę. Znajdzie się właściciel to naturalnie oddam. Byłbym jednak głupi, gdybym krzyczał głośno na ulicy: „Kto zgubił portmonetkę?” Jaki oszust mógłby się przyznać i pewno nie oddałby właścicielowi. To dobrze, że u majstra spię sam jeden na górcie. W nocy przeliczę... Zresztą po co liczyć?... A! tak, przeliczyć trzeba, żebym wiedział, bo jak będzie naprzykład sto pięćdziesiąt rubli, a ktoś powie, że zgubił sto dwadzieścia, to widocznie nie jego. Trzeba przeliczyć. Więc przeliczę, zobaczę czy nie ma nazwiska właściciela. Jak będzie to mu oddam... A jak nie będzie?... Kto powiada że nie będzie?... Będzie z pewnością... A jak nie będzie, no.. to szkoda... ale to trudno oddać, kiedy się nie wie komu. Tymczasem nie ruszę tych pieniędzy. Mam dwa złote,—mogę się zabawić.

Uspokojony temi myślami, szedł Franek dalej i zaczął myśleć, jakby się zabawić.

A niełatwa to sztuka wymyślić jak rozrządzić tym krótkim czasem, temi kilku godzinami, jakie zostają po długiej i mozolnej pracy, raz ledwie na parę tygodni. Z dziecinnych zabaw wyrósł Franek, do rozpusty szynkowej nie miał skłonności, bo opieka dobrego majstra nie pozwalała zakorzenić się brzydkim nałogom. Przytem Frankowi jakoś trudno było na-

myśleć się porządnie, co ma zrobić ze swoją dwuzłotówką, bo myśl o skarbie natrętnie nasuwała się co chwila jego umysłowi, byłby więc nie wiem jak długo myślał i zapewne nie by nie wymyślił, gdy nagle przechodząc koło rogu ulicy rzucił okiem na oświetlone światłem latarni ogłoszenia i między niemi zobaczył czerwony afisz Teatru Rozmaitości.

— Czerwony afisz! nowa sztuka!... przeczytajmy... *Ulicznik Warszawski*... A! to coś ciekawego, bo przyznam się, że wolę jak się rzecz dzieje w Warszawie, niż w jakim zamku, którego ani przeczytać, ani wymówić nie można. Wybornie! doskonale! pójdę do teatru!

I pobiegł nasz bohater do kassy, zakupić bilet na paradyz.

*Ulicznik Warszawski* jest sztuczką znaną i ulubioną przez publiczność, nie potrzebuje zatem powtarzać jej treści. Tym jednak, którzy w owym czasie nie bywali w Teatrze Rozmaitości, powinienem przypomnieć, że intryga tej sztuczki miała szczególny związek z położeniem naszego bohatera. Tam także terminator szewcki znajduje znaczną sumnę pieniędzy, oddaje ją bez wahania i jest za to wynagrodzonym przez spełnienie swoich najgorętszych życzeń.

Łatwo sobie wyobrazić z jaką gorączkową ciekawością nasz Franek przypatrywał się odgrywanej na scenie tej samej sytuacji w jakiej się znajdował. Gdy zapadła zasłona wyszedł z teatru i śpiesznie biegł do domu z gorącym postanowieniem oddania znalezionej summy.

Przybył na swoją górkę, zamknął drzwi, spojrzał na okno, jakby chcąc się przekonać czy go nikt nie widzi, choć wiedział dobrze, że przez okno na górcie niczyje oko zaglądać niemogło, otworzył portmonetkę i liczył.

Kilka razy musiał rachować, bo wciąż zdawało mu się, że się myli, po czterokrotném jednak przeliczeniu, gdy ciągle wypadała też sama summa, powiedział do siebie:

— Nie! to jest niezawodne tu być musi z pewnością trzy tysiące dwieście rubli. O Boże! Boże! gdyby to tak było mojej!

Potém szukał po portmonetce czy nazwiska właściciela

nie znajdzie,—ale żadnej wskazówki mogącej naprowadzić na ślad osoby poszukiwanej nie było zupełnie.

I ukrył twarz w swych dłoniach i marzył i myślał.

— Za trzy tysiące dwieście rubli, ileż to cudnych rzeczy mieć by można! Czy kiedykolwiek w życiu będę miał podobną summę? Jaki ogromny warsztat i sklep! fabryka cała! Niech się mój majster schowa! A gdybym zechciał, to mógłbym i szewiectwo porzucić i zostać poprostu panem... A jaka suknia dla matki! A jaka kapota dla ojca!... Mój Boże! i to wszystko gdy zechcę może być moje!... Nie... nie może... bo przecież oddać potrzeba.

Ile męczarni, ile boleści, ile sprzecznych postanowień powziął Franek przez tę noc, przez którą oka nie zmrużył, nie podobna opisać, należy tylko powiedzieć, na zaszczyt bohatera naszego, że nazajutrz rano przed zabraniem się do roboty, z czerwonymi od bezsenności oczyma, przystąpił do majstra i oddając mu portmonetkę powiedział:

— Proszę pana majstra, znalazłem to wczoraj na ulicy Grzybowskiej.

Majster otworzył portmonetkę, przeliczył pieniądze, spojrział na chłopca łagodnym lecz poważnym wzrokiem i zapytał:

— Nie ruszałeś nic?

— Ani grosza.

— To dobrze. Jesteś zacny chłopiec. Daj mi rękę.

I majster uściśnął rękę Franka, aż mu dwie łzy zakręciły się w oczach, — łzy radości lub żalu, czy bólu z mocnego uściśnienia?—ja nie wiem.

Potem pań majster na ćwiartce papieru nakreślił kilka słów, dał Frankowi dwa złote i powiedział:

— Zanieś to do Redakcji Kurjera.

Franek poszedł, smutny czegoś, a nazajutrz w Kurjerze stało:

„Znalezioną onegdaj znaczną summę pieniędzy, odebrać można, za udowodnieniem i zwrotem kosztów ogłoszeń, u NN. fabrykanta obuwia pod N...”

Kiedy Franek nazajutrz przeczytał to ogłoszenie, to zra-

zu chciałby wygryźć je ze szpalt, tak żałował, że jego postępek naraził go na utratę znalezionego skarbu, ale po chwili jakiś głos wewnętrzny powiedział mu, że jego czyn był szlachetnym i z niewysłowionem zadowoleniem Franek zamknął numer Kurjera do swego kuferka na górze.

Nazajutrz jakiś pan, blady i niespokojny, przyszedł do warsztatu i pytał o pana majstra. Gdy go wprowadzono do pokoju, w którym się majster znajdował, rozmawiali długo zamknięci, a gdy ten pan wychodził, to był uśmiechnięty i szczęśliwy i jakoś wychodząc dziwnie przypatrywał się Frankowi.

Bo też i wszyscy w warsztacie od chwili oddania portmonecki inaczéj wcale na Franka patrzyli.

A kiedy drzwi się zamknęły za nieznanym, majster rzekł do naszego bohatera:

— Za miesiąc będziesz wyzwolony.

— Wyzwolony!—powtórzył sobie Franek i ucieszył się z razu, ale potem pomyślał:—Tak, wyzwolony, albo ja nie wiem co wyzwoliny kosztują! Sto złotych.... mało... dwieście, —i to nie wystarczy! Zkąd ja wezmę tyle pieniędzy? Ojciec nic nie ma, biedny zawsze... ojciec chrzestny da, albo nie da,—i pewnie nie da jak da. Ej! nie tak by to było, gdybym miał trzy tysiące dwieście rubli!

Ale przy pracy jakoś odleciała myśl smutna i Franek cieszył się nawet czegoś, chociaż sam doprawdy nie wiedział z czego się cieszył i mówił sobie:

— Jam zawsze taki głupi, że się nawet z biedy raduję!

Pan majster dotrzymał słowa. Za miesiąc przyszła wilja dnia wyzwolin Franka, choć miał jeszcze rok blisko zostawać w terminie. Franek krzątał się o pieniądze. Chrzestny ojciec dał mu dwudziesto-pięć rublowy papierek. Cóż! kiedy tego nie wystarczy! i Franek kłopotał się niezmiernie. Poszedł do ojca, lecz ten nie tylko mu nic nie dał, ale jeszcze z jego dwudziestu pięciu rubli trzy ruble sobie pożyczył. Co tu począć?

Opowiedział wszystko majstrowi.

— No, no, nie kłopotcz się mój Franku,—odpowiedział mu majster,—o tem to się pomyśli. Darowałem ci rok terminu

za dobry czyn, będziesz miał i na kosztą wyzwolin. Patrz, oto twoja książeczka oszczędności, weź ją i zanieś swoje dwadzieścia dwa ruble. Dobrze i to, procent przyrośnie i będziesz miał na własny warsztat.

Franek nie wiedział z kąd mu się wzięła książeczka. Nigdy nie składał do kassy, bo biedny terminator nie miał z czego oszczędzać. Wziął ją tedy z rąk majstra i przypatrywał się jej zdziwiony.

W książeczce było napisano:

„Złożono rubli srebrem dwieście.”

— A to co? proszę pana majstra, — zapytał, własnym oczom nie wierząc.

— To twoje, to na początek za twój dobry czyn. Procent przyrośnie, będziesz miał na warsztat. Pamiętasz tego pana bladego, który tu był przed miesiącem? to on dał za portmonetkę.

— Ah! czemuż nie wiedziałem! byłbym mu podziękował przynajmniej zawołał uradowany Franek.

— On nie chciał, odrzekł lakonicznie majster.

Nazajutrz po tej rozmowie, nasz Franek był już panem Franciszkiem, czeladnikiem sławetnego cechu szewckiego.

— I na tém koniec, — zapyta kto może z czytelników.

— A cóżby było dziwnego, gdyby był koniec? — odpowiem. — Wszak Franek spełnił tylko swoją powinność i został za to wynagrodzony. Gdyby nie był wynagrodzonym, cóżby to znaczyło? Od kiedyż to na świecie, za spełnianie obowiązków, należy się nagroda inna, oprócz wewnętrznego zadowolenia, które jest nagrodą najwyższą? Możebyś zechciał, panie czytelniku, żeby pan majster widząc poczciwość Franka, dał mu swoją córkę za żonę? Sądzę, że nieźleby uczynił, ale zachodzą tu dwie przeszkody, pierwsza, że Franek miał dopiero rok siedemnasty, a druga kapitalna, że pan majster nie miał córki. Możebyś wolał, panie czytelniku, żeby właściciel zgubionego kapitału zajął się Frankiem,łożył na niego, a w końcu, po najdłuższem życiu, cały swój majątek mu zapisał? Piękne by to było zapewne, ale i tu jest mnóstwo przeszkód,



z których ta jest najważniejsza, że ten pan miał własne dzieci.

Nie idzie jednak zatém, żeby powieść moja już się skończyła. Sądzę, że z ciekawością posłuchacie jeszcze, co się dalej działo z panem Franciszkiem, któremu fakt znalezienia i oddania pieniędzy przypominał się później bardzo często, i dziwne a sprzeczne z sobą, wywierał na nim wrażenie.

## II.

Cztery lata upłynęły jak z bicza trzaśł. I znowu wiele rzeczy zmieniło się na tym świecie, i w historii wiele serc cichych, spokojnych, w życiu wielu istot nieznanych, zaszły fakta rozliczne, z którychby wysnuć można powieści i dramata, wesole albo rzewne, a ciekawsze od wielkiej liczby tych imaginacyjnych płodów, któremi wyobrażnia powieściopisarzy zapełnia półki i wystawy księgarskie.

W skromnym drewnianym domku przy ulicy Wilczej mieszkały dwie kobiety poczciwe: matka i córka. Matka, wdowa po zamożnym niegdyś rękodzielniku, podupadła w skutek śmierci męża, który ją zostawił z siedmiorgiem drobnych dzieci. Sześć razy śmierć zaglądała do ubogiego jej schronienia i sześć sierot jedna po drugiej poszły połączyć się z ojcem na lepszym świecie. Pozostała matce tylko jedyna córka Anusia.

Poczciwe to było dziewczę, a śliczne jak obrazek doprawdy. Kochała matkę, której została jedyną w starości pociechą, i pracą swoją dopomagała biednej wdowie, — ale skąpo było w biednym mieszkanku, bo co to znaczą choćby cztery ręce, kiedy to ręce kobiece, co tylko igłą zarobkować może, a igła tak mało przynosi!

Piękna Anusia, bo tak ją nazywały sąsiadki, miała rok siedemnasty, a że była dobra, potulna, choćby do rany przyłożyć, że wyższa ukształceniem od innych, nie miała tój zarozumiałości, jaką mają nieraz dziewczęta, które cokolwiek nauki liznęły, że na jej postępowaniu nie było najmniejszej skazy, więc ją kochali wszyscy i śliczną jej przyszłość wróżyli.

— Niebo pobłogosławi takiego aniołka, tak mówili sąsiedzi do biednej wdowy i ona wierzyła w tę przepowiednię.

Zajęta pracą od rana do późnej nocy, Anusia rzadko wychodziła na miasto. Ulica Wilcza jest jedną z najmniej uczęszczanych, przez tych zwłaszcza panicz, co to cały dzień Boży włóczą się po mieście bez celu, szukając czy czego nie zgubili. To też oprócz sąsiadek i sąsiadów, ubogich, a w ogóle poczciwych ludzi mało kto znał zacną dziewczynę, bo choć jej uroda niejednemu wpadła w oko, zbyt trudno było ją spotkać dwa razy, chyba w kościele, a tam włóczęgi uliczne z modnego świata niebardzo chętnie zaglądnęły.

Trzeba jednak było nieszczęścia, że raz biedna wdowa zasłała i Anusia prawie codziennie biegać musiała do apteki.

Nie było niebezpieczeństwa w chorobie matki, ale zawsze trzeba było pielęgnowania, opieki i lekarstw. Drobne oszczędności, jakie robiły dwie kobiety, wyczerpywały się powoli, była jednak nadzieja, że to się skończy niedługo i ta nadzieja dodawała wytrwałości i wiary Anusi.

Jednego razu musiała biedna dziewczyna pobiegnąć do apteki na placu Aleksandryjskim, już dosyć późnym wieczorem. Uważała ona, że od pewnego czasu, jakiś młody dandys często spotykał ją na tym placu i zwykle od apteki śpieszył za nią przez kawałek Mokotowskiej ulicy, nigdy jednak nie zapuszczał się na Wilczą. Trzymał się on zwykle zdaleka, i choć jego natręctwo nie mogło być miłym Anusi, nie mogła mu przecież nic powiedzieć, ani nawet mieć tego za złe, bo przecie ulica jest dla wszystkich i każdemu od Trzech Krzyży na Mokotowską iść wolno.

Tym razem jednak młody, przystojny panicz nie przestał na tém, że spotkawszy Anusię, gdy szła do apteki, siedł za nią, że spacerował po ulicy, nim wyszła z lekarstwem i ze swoim obyczajem dążył za nią, gdy powracała na Mokotowską. Była już blisko dziewiąta. Gdy Anusia skręcała na Wilczą; ulica ta była pusta, jak zwykle bywa o tej porze. Światło rewerberów oświetlało ją bardzo nędznie, jak to się zda-

rza na niebrukowanych ulicach, a na ulicy Wilczej nie znano jeszcze bruku podówczas, i trawa rosła sobie swobodnie.

Panicz zakręcił za Anusią.

Zaledwie uszli kroków kilkanaście, młody elegant odezwał się dość grzecznie:

— Panienko!

Anusia nic nie odpowiedziała, pomimo powtórnego wezwania, tylko przyspieszyła kroku.

— Hm! hm! mrucał elegant, podejrzenie moje jest słuszne! nic nie mówi... nie słyszy.... trzeba będzie zawołać policjanta.

— Policjanta! — pomyślała Anusia i dreszcz ją przeszedł mimowolny, — policjanta?... na mnie?... za co?... dla czego?... Czego chce ten jegomość?... Co ja zrobiłam?...

I zwolniła nieco, bo czyste sumienie mówiło jej, że nie zrobiwszy nic złego, nie powinna była nikomu dawać do dorozumiewania się, że ucieka.

Młody dandys przyspieszył kroku i w kilku skokach znalazł się obok Anusi, udającej obojętną i patrzącą w inną stronę, chociaż jej serce biło z oburzenia i gniewu, na tak natarczywą zaczepkę.

— Biedastwo! — mówił niby do siebie elegant, tak jednak, że Anusia słyszała wybornie, — taka młoda i taka nieszczęśliwa kaleka...

— Kaleka! a to dobre! — pomyślała jeszcze bardziej zdziwiona Anusia, — lituje się nademną... dla czego? ... Dzięki Bogu, nie jestem ulomna!... Zawsze to jakiś dobry człowiek. Widocznie bierze mnie za kogo innego.

— Kaleka, — mrucał dalej elegant, głuchoniema! Fatalny dozór w Instytucie, kiedy się mogła wymknąć o tój porze!... Szkoda, że dozorca nie widać...

Pomimo całego przestachu i gniewu, Anusia omal nie wybuchnęła śmiechem. Ten dobry pan, było to już widoczne, brał ją za głuchoniemą, zbiegłą z Instytutu. Trzeba go było wyprowadzić z błędu, bo pocóż próżno miał się odwoływać do policji.

I ośmieliła się przemówić:

— Mój panie, pan się mylisz zupełnie. Ja mówię dobrze, a zatem głuchoniemą nie jestem.

— Cudownie! zawołał, udając najwyższe zadziwienie dandy,— oto ze mnie doktor... Pygmalion... przywracam słuch i mowę tej czarownej Galatei!!... Używaj-że tych darów, lube dziewczę,— słuchaj mnie i przemawiaj do mnie.

— Mój panie, odpowiedziała Anusia, Pygmalion nie był doktorem, a Galatea nie ma wcale ochoty prowadzić rozmów z nieznanymi na ulicy.

I znowu przyspieszyła kroku.

— Co słyszę, wołał, biegnąc za nią wyelegantowany dandys, — cudna mieszkanka ulicy Wilczej jest tak wysoko wykształconą! Zaczekaj, piękne dziewczę, dałaś mi dobrą naukę, buziaka na podziękowanie dać muszę.

To mówiąc dandy przyskoczył do dziewczyny i ujął ją wpół tak silnie, że biedna, mimo wszelkich usiłowań, wyrwać się nie mogła.

Ulica w tém miejscu była pustą zupełnie, po obu stronach parkany, na środku wiekuiście błoto. Do domu było jeszcze ze sto kroków, do krzyku sił zabrakło przestraszonemu dziewczęciu.

Ani napastnik zaprzątnięty zdobyczą, ani wydzierająca się Anusia nie słyszeli zbliżających się kroków, gdy w tém nagle napracowana, silna dłoń spadła tak ciężko na ramię napastującego eleganta, że ten wypuścił zdobycz i przygnieciony ciężarem téj dłoni, ukląkł na oba kolana.

— A co to? piękny kawalerze, klęczysz jak smarkacz? mówił niespodziewany obrońca, człowiek młody i porządnie ubrany, którego siła jednak kazała się domyślać, że musiał na chleb pracować.

Dandys chciał się podnieść coprędzej, dłoń jednak spoczywająca na ramieniu jego, była zbyt ciężka, więc wybełkotał tylko:

— Puść zbójco!

— Zbójco! a tyś nie zbójca? elegancie, co po nocy na-

padasz na przechodzące kobiety. Poczujesz jedną rękę, a teraz, czekaj, drugiej poprobujesz.

Rozpaczniem wysileniem wyrwał się dandy z pod gnio-tącej go dłoni i grożącego mu zamachu drugiej ręki, stanął na równe nogi, usunął się ostrożnie i powiedział.

— Panie! jeżeli jesteś człowiekiem honoru i czujesz się w obowiązku stawać w obronie téj oto... osoby, to wiedzieć powinienes, że takie sprawy nie w ten sposób się załatwiają. Wszelką satysfakcję dać mogę. Oto mój adres.

To mówiąc, rzucił kartkę białego papieru, która upadła do rynsztoka i dał satysfakcję swym nogom, zgurbiałym od klęczenia, puszczając je w żwawym galopie, skierowanym ku Mokotowskiej ulicy.

Wszystko to trwało króciej, niż opis. Odrętwiała z przestrachu Anusia, była niemyim świadkiem sceny.

— Oto mi człowiek honoru! — mówił improwizowany obrońca, patrząc za uciekającym, a nie zły charakter ma w nogach!... No, panienko, jeśli wola, mogę podprowadzić do domu.

— Oh! dziękuję panu, dziękuję, odrzekło przerażone dziewczę, — gdyby nie pan... ah! Boże!... Pan Bóg panu wynagrodzi, bo ja podziękować nie umiem.

— Nauczyłem dandysa, ot, i basta! każdy zrobiłby toż samo, więc dziękować nie ma za co.

Tak mówiąc, szli do domu Anusi. Po drodze, trzeba było przechodzić koło latarni. Mimowolnie młody obrońca rzucił okiem na przesliczną twarz dziewczęcia i jakoś mu się dwakroć milej zrobiło, że ją ocalił od napaści.

Za chwilę stanęli przed domem.

— Panienska tutaj mieszka?

— Tu, z matką, z chorą matką, — odpowiedziała dziewczyna, której jakoś znowu wydawać się zaczynało, że wypada, ażeby ten pan wiedział, dla czego wychodziła sama o tak późnej porze, — niosłam dla niej lekarstwo z apteki. Wstąp pan, jeżeli łaska, a mama szczerze podziękuje panu, za udzieloną mi opiekę.

Młodemu człowiekowi jakoś bardzo po myśli było to zaproszenie, nie przyjął go jednakże, wymówił się kilkoma słowami, ukłonił się z uszanowaniem i odszedł

— Cudna dziewczyna! mówił do siebie idąc pan Franciszek, gdyż to on był niespodziewanym obrońcą Anusi, cudna dziewczyna. Oh! gdybym kiedyś nie był taki skrupulatny, możnaby dzisiaj zaznajomić się i o czémś na serjo pomyśleć.... Ale... Fe! zkąd mi znowu te myśli?

Był już po za latarnią, która mu przyświecała, gdy się przyglądał obronionemu przez siebie dziewczęciu i wkrótce zbliżył się na miejsce stoczonej dopiero co potyczki.

Coś bielilo się w rynsztoku.

— A! adres tego pana, rzekł znów do siebie, podnieśmy i zobaczmy, jakich to paniczów nazwiska po rynsztokach się tak walają?

Podniósł kartkę i przy świetle oddalonych latarni wyczytał z trudnością drobnym pismem napisane wyrazy:

„Edward N. . . ulica Chmielna N<sup>o</sup>. . .“

— Ha! gdybym kiedyś nie był taki...— pomyślał sobie, możeby dzisiaj—ot co! możeby i moje nazwisko, tak jak tamtego eleganta, wałalo się po rynsztokach.

A po chwili znów myślał:

— Co u licha! pod nieszczęśliwą widać, urodziłem się gwiazdą! W całym życiu mojem, przypadki uliczne największą grają rolę. Wszak to już tak dawno, od wypadku z temi pieniądze, a ja do dzisiaj, czasami odżałować się nie mogę, że tak zrobiłem, to znów odcieszyć się nie mogę, że innie złe nie skusiło, bym zrobił inaczej. Tfu! to chyba djabelska pokusa, nie więcej... A teraz znowu, na ulicy, pod latarnią. Trzeba mi było bardzo przypatrywać się tej panience. Znowu będę myślał o niej, a na co to wszystko!... Po kata tam latarnią wystawili?... Szedłem sobie spokojny, a teraz czuję, że mi coś w duszy inaczej?... Szkoda, że nie wstąpiłem do tej chorej matki.

I znów płynął dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Anusia, chodząc do apteki, nie spotkała już wystrojonego eleganta, ale za to na ulicy Wilczej często i coraz częściej spoty-

kać mogła swego niespodziewanego obrońcę, który spoglądał na nią dziwnie, kłaniał się jej z uszanowaniem i szedł dalej, nie przemówiwszy ani słowa.

Matka Anusi wyzdrowiała po jakimś czasie, Anusia jednak częściej niż dawniej znajdowała potrzebę wyjścia na ulicę, — na Wilczę tylko, nie dalej, — a kiedy wychodziła, prawie zawsze ten sam kapelusz uchylał się przed nią i to samo spojrzenie spotykało się z jej spojrzeniem.

A przecież on i ona nie mówili nic do siebie. On i ona nad pracą przepędzali dzień cały, mieszkali od siebie dość daleko, — dla czegoż spotykali się tak często? . . .

Ja tam nie wiem, ale już to być musiał instynkt jakiś taki.

### III.

Przez cztery lata, pan Franciszek doszedł naturalnie do dwudziestu jeden lat, a że przy ciężkiej pracy człowiek nie ma czasu długo być dzieckiem, więc też zmęźniał i wyprzystojniał jeszcze więcej, chociaż i przed tém był wcale niczego chłopakiem. Wąs mu wyrósł piękny i bujny, a nie przystrzygał go, lubo mu ojciec tak doradzał, bo mu się jakoś dziwném wydawało, żeby to, co natura dała miękkim, jedwabistém i rozrosłym, przyciniać tak umyślnie, żeby wyglądało jak szczecina. Nazywano go elegantem, bo się ubierał porządnie, filozofem, bo książki czytał, dumnym, bo się po knajpach nie rozbijał, bogatym wreszcie, bo na jego książeczkę już kassa oszczędności więcej przyjmować nie chciała, gdyż, jak wiadomo, ta instytucja tylko do dwóch tysięcy złotych przyjmuje.

Pan Franciszek pracował ciągle u tego samego pryncypała i cieszył się szczególnym jego szacunkiem, na który téż w zupełności postępowaniem swoim zasługiwał.

Pryncypał mówił mu często, że mógłby już zacząć na siebie, ale pan Franciszek zamyslał się jakoś wówczas, a w myślach jego stawało wówczas wspomnienie pakownej portmonecki w lśnącą stal okutej i wyrazy: „mógłbym, gdyby...“ po-

wtarzały się tak często, że aż gniewał się na siebie, iż tej natrętnej myśli odpędzić nie mógł, chociaż pragnął.

Od pewnego jednakże czasu do myśli pana Franciszka wplątały się inne jakieś. Jak tylko miał czas wolny, wychodził gdzieś daleko i nie wiadomo gdzie, — jeden tylko chłopak wypatrzył, że aż za Trzy Krzyże, z pewnością. W zebraniach koleżeńskich, nie widziano go nigdzie. Jak był w domu, to miał czémś głowę zaprzątniętą, przy pracy milczał, ale gdy szedł do swego mieszkania, to nieraz rozmawiał sam z sobą. Z tych rozmów nic prawie usłyszeć nie było można, oprócz słów urywanych, które nie tłómaczyły zagadki. Chłopcy jednak i czeladnicy ciekawsi zauważyli zgodnie, że pan Franciszek powtarzał nieraz :

— Ulica Chmielna,... N..., gdyby nie to...

Nie wiadomo było, czy „gdyby nie to“ należało do powtarzanego tak często adresu i miało z nim jaki związek, gdyż to wyrażenie stało się prawie przysłowiem pana Franciszka, tak dalece, że jakiś złośliwy kolega nazwał go nawet „gdyby nie to.“ Tém wyrażeniem nazywano go nieraz w warsztacie, lecz tylko podczas jego nieobecności, bo szacunek, jaki miał sam pryncypał dla pana Franciszka, zmuszał do szanowania go podobnie, nawet takich, co przez wrodzoną i wyrobioną życiem złośliwość, najmniej są chętni do oddawania przynależnego poczciwym ludziom poszanowania.

Było to jakoś w dni kilkanaście po katastrofie, jaka miała miejsce na ulicy Wilczej. Wieczorem po pracy, powróciwszy z wycieczki po za Trzy Krzyże, jaką zwykł był odbywać w wolnym czasie, a która, jak wiemy, dawała dużo do myślenia jego kolegom, pan Franciszek wrócił do siebie, z czegoś bardzo niekontent.

— Włóczyłem się dziś napróżno, — myślał sobie, — nie udało się jej spotkać! No, to trudno, — jutro będę szczęśliwszy. Ale do licha, trzeba już raz skończyć z tym panem Edwardem na Chmielnej, bo doprawdy, tak mi to ciągle siedzi w głowie, że już nie wiem, co począć. Dzisiaj znowu w warsztacie wyrwał mi się niechcący ten adres. Chłopaki się śmieli.



Oj! niktby się dziś nie śmiał ze mnie, *gdyby nie to...*, z tą portmonetką..., a i ja też byłbym śmielszy.... Powiadają, że dobrze zrobił i mnie się też zdaje, że dobrze zrobił, ale mi dziwno, że człowiek czasem żałuje, że dobrze zrobił. Tak chyba być nie powinno. Doprawdy, gdybym dziś jeszcze znalazł pieniądze, to bym... oddał... albo... nie! oddałbym z pewnością. Tylko jutro skończę raz wreszcie z tym panem Edwardem na Chmielnej.

Te półgłose myśli pana Franciszka, ten ciągle powracający się żal po stracie znalezionej skarbu, te skryte walki czystego sumienia z nieustannie odradzającą się pokusą, przekonywają nas, że pan Franciszek jeszcze nie doszedł życiem do przekonania, iż człowiek nigdy nie ma słusznego powodu żałować dobrego czynu i jeśli mu się zdaje, że mu czyn dobry na złe wyszedł, to powinien wiedzieć, iż to jest złe przemijające, a gdyby był źle postąpił, to z pewnością wyszłoby mu na sto razy gorsze.

Takie jednak były myśli pana Franciszka i tak znów snuły się dalej.

— Korona... pod nią imię i nazwisko... Edward... ładne imię..., nazwisko jeszcze ładniejsze..., pod ten adres: „ulica Chmielna, Nr...“ *Gdyby nie to...*, mógłbym doprawdy pójść do tego panicza, bo zapewne nie byłbym prostym szewcem i ta ręka wydelikatniałaby nieco i rozumiałbym, o co chodzi. Ale tak?... Zresztą, czego on chciał odemnie? Jeżeli ja go obraził, to on by powinien przyjść do mnie i zażądać satysfakcji. Bah! ale on nie wie gdzie? więc wypada, że bym ja poszedł. Gotów jeszcze pomyśleć, że stchórzył,— szkoda, że odwłóczył tak długo. Tak..., ale nie miałem czasu. *Gdyby nie to...* miałbym tyle czasu, ilebym chciał... Jutro niedziela, pójdę.

Nazajutrz, pan Franciszek poszedł na ulicę Chmielną, i pod wskazanym Numerem dopytał się o mieszkanie pana Edwarda.

Z bijącym sercem zaszukał do drzwi. Lokaj otworzył mu, a kiedy spytał o pana domu, służący zmierzył go oczyma i rzekł:

— Jak anonsować?

— Franciszek Kozik.

— Kozik, — odpowiedział lokaj, nie trudno spamiętać, a czy nie można wiedzieć, jaki interes?

Słowa te były powiedziane takim drwinkowatym tonem, że panu Franciszkowi krew uderzyła do twarzy. Powstrzymując gniew jednak odpowiedział sucho:

— Nie! Mam interes do pana samego.

— A! to można poczekać.

To mówiąc, sługus wskazał panu Franciszkowi ten kąt przedpokoju, w którym nie było żadnego krzesła i powtarzając „Kozik“ tonem również lekceważącym, jak poprzednio, wszedł do pokoju.

— Co tam, Michale?— zapytał głos w salonie.

— Kozik, proszę pana.

— Co? ...

— Jakiś... Franciszek Kozik...

— Co za jeden?

— Nie wiem. Mówi, że ma interes... Porządnie ubrany.

— Porządnie, no! to jeszcze... ale zawsze Kozik... Niech wejdzie.

Lokaj wyszedł do przedpokoju i powtórzył słowa pana:

— Pan powiedział: „niech wejdzie.“

Było to zaproszenie takie drwiące, tak ironiczne, tak właściwe tym tylko przedpokojowym próżniakom, którzy sądzą, że ludzie pracy niczém są w stosunku do nich, że pan Franciszek ledwie mógł powstrzymać oburzenie. Wchodząc jednak do pokoju, nie mógł przenieść na siebie, żeby nie powiedział do Michała:

— Słuchaj-no, wprzód nim zechcesz poznać się z tą ręką, zapytaj swego pana, czy ciężka.

I pokazał mu ściśniętą pięść, a Michał usunął się w kąt.

Pan Edward zajmował kawalerski apartament na pierwszym piętrze, umeblowany przepysznie. W eleganckim szlafroku, z kosztownym cybuchem w zębach, przyjął on swojego gościa.

— Jaki interes sprowadza? — zapytał niedbale.

— Pański. Pan nie pamięta?...

— Bynajmniej. Widzę osobę po raz pierwszy.

— A ja widzę osobę po raz drugi,— odparł z tłumionym gniewem pan Franciszek.

— Przestańmy grać w ślepa babkę, rzekł elegancki pan Edward, niech wiem, kogo mam przyjemność,... dodał z przekąsem.

— Nazwisko moje już powiedziane, nie potrzebuję go powtarzać, bo byle gdzie nie lubię niemi ciskać, — odpowiedział pan Franciszek.

— A! a! tak, Kozik... ale stan?

— Czeladnik szewcki.

— Szewc! a to nieocenione! jak mamę kocham, zgadłem! po fizjognomji zgadłem!

— Tak, szewc, — odrzekł, nie hamując już oburzenia pan Franciszek, — szewc, i mogłeś pan zgadnąć bardzo łatwo, bo ten szewc miał przyjemność skroić panu tęgie buty!...

— Głupcze! ja z Paryża sprowadzam obuwie, — rzekł na to modny panicz, — a więc nie nudź mnie dłużej i mów prędko, czego chcesz?

— Ja myślę, mądry panie, że pan chyba masz interes do mnie. Proszę sobie przypomnieć, . . . dziś temu dwa tygodnie. . .

Pan Edward pilniej się przyjrzał swemu gościowi i zawołał:

— A! to ty, łotrze, mam cię nareszcie.

I porwawszy za sznurek, zadzwonił gwałtownie, a jakby niedość było dzwonka, zawołał jeszcze:

— Michale!

— Pan znasz co do łotrowstwa moją opinię, odpowiedział pan Franciszek, — i wiesz, że mojem zdaniem, łotrem jesteś sam.

Te słowa słyszał wchodzący lokaj.

— Michale! słyszysz co ten hultaj plecie? Naszedł mi dom. Poślij stróża po policję co prędzej.

Nim Michał zdążył obrócić się, aby wykonać rozkaz pana, otworzyły się drzwi i urzędnik policyjny z dwoma żandarmami wszedł do pokoju.

— Nie potrzeba, panie Edwardzie N.,— rzekł wchodzący, przychodzimy bez posyłania. Z rozkazu władzy wyższej, mam nieprzyjemność aresztować pana.

Pan Edward zbladł.

— Jak to? mnie? to niegodnie! to pomyłka, wybełkotał zaledwie.

— Ja sam tak chciałbym sądzić. W każdym razie rozkaz jest wyraźny, a poszlaki dostatecznie sprawdzone, odrzekł urzędnik.

— To być nie może!... Cóż mnie zarzucić można?

— Bagatelę!... A ponieważ jestem obowiązany do spisania protokołu i wybadania pana miejscu, więc mogę panu powiedzieć. Ten pan, mówił dalej urzędnik, wskazując na pana Franciszka, będzie obecnym i podpisze się jako świadek.

To powiedziawszy, urzędnik zabrał się do pisania i po zrobieniu pierwszych przez prawo przepisanych pytań, tak mówił:

— Zarzucają panu czyn, plamiący nazwisko pańskie, do tej chwili czyste i zacne. Wszak prawda, że trzy miesiące temu zmieniałeś pan pieniądze w kantorze wekslu, przy ulicy Senatorskiej?

— Nieprawda,— odrzekł pan Edward.

— Zaprzeczenie na nic się tu nie przyda. Mamy dostateczne dowody i świadectwa. Mamy dowody i na to, że pieniądze te były zgubione przez nieszczęśliwego XX., ojca rodziny, który bojąc się podejrzeń, albowiem nie były jego własne, przez poderżnięcie gardła, odebrał sobie życie. Od tego czasu żyjesz pan nad swój stan. To zwróciło uwagę, a śledztwo wykryło resztę. Przed sprawiedliwością odpowiesz pan, za przywłaszczenie znakomitej summy. Sumienie własne niech pana osądzi, za niewinnie przelaną krew’.

Spisano protokół, opieczętowano mieszkanie i odwieziono pana Edwarda, który w ciągu indagacji napróżno siłił się

wypierać, albowiem przy rewizji znaleziono część niezmienioną zgubionych pieniędzy, co było dostatecznym dowodem.

Przerażony sceną, której był świadkiem, pan Franciszek wychodząc z ulicy Chmielnej, mówił do siebie:

— *Gdyby nie to*, zem oddał znaną sumę, może już dawno byłoby ze mną tak samo.

Żal mu było pana Edwarda, człowieka pięknego rodu i imienia, który tak zmarnił swoją przyszłość, nie umiejąc się oprzeć, silnej co prawda pokusie, lecz powracał do siebie spokojny i szczęśliwy, — i od tego czasu już się nigdy z ust jego nie wyrwało owo wyrażenie, które mu już w przysłowie prawie przechodziło za powiedzenie: „*gdyby nie to.*“

#### IV.

Dwa miesiące ubiegło od zajścia na ulicy Wilczej. Piękna Anusia bardzo często spotykała swego nieznanego obrońcę, odbierała od niego ukłony i wymowniejsze od ukłonów spojrzenia. Nieznajomy jednak, lubo miał prawo znajomym się nazywać, nie przemawiał do niej ani słowa.

Powiały sąsiadki, że parę razy, pod rozmaitemi pozorami zaznajamiał się z niemi i rozpytywał o Anusie, a że o takim złotem dziecku nie złego powiedzieć nie było można, więc musiał dużo dobrego się nasłuchać o poczciwej i pracowitej dziewczynie, Anusia nawet musiała wiedzieć o tem, bo już tak jakoś mówiło z jego oczu, że o niej dużo dobrych rzeczy słyszał.

Dziwiło ją to trochę, że ten młody człowiek, który miał pewne prawo do niej mówić, tak ciągle zachowywał milczenie; kto wie, może nawet gniewało ją to trochę. Gotowaby była wziąć go za głuchoniemego, tak jak ją wziął za niemowę jęj elegancki napastnik, ależ przecie broniąc ją, jęj nieznanomy mówił, ... miałżeby więc oniemić, dopiero od czasu jak jęj twarzy-  
czkę pod rewerberem zobaczył!?

— Czym ja Meduza taka, czy bazyliżek — mówiła do siebie i przeglądała się w lusterku, a ono jęj mówiło: że nie

jest ani Meduzą, ani bazyliiszkiem, oczy zaś nieznanomego potwarzały to jeszcze wymowniej.

W każdym razie, Anusia niecierpliwa, jak to zwykle młode dziewczęta, nieraz gdy wracała do domu, po odebraniu milczącego ukłonu od swojego obrońcy, mówiła do siebie zdąsana.

— I dopókiż tego będzie?

Wszystko jednakże ma swój koniec, przerwało się więc i milczenie pana Franciszka. Raz, o południu, w święto, Anusia powracała z kościoła, sama, bo słabowita matka towarzyszyć jej nie mogła. Wilczą ulicą, od strony Marszałkowskiej alei, postępował jej nieznanomy, tym razem wystrojony w co miał najświeższego. Spotykając go Anusia, spodziewała się ukłonu i spojrzenia, ale nie spodziewała się bynajmniej, że po ukłonie, nieznanomy, zarumieniwszy się po uszy, zatrzyma się i odezwie:

— Panno Anno!...

Tutaj nieznanomemu słów zabrakło, aż Anusia, jakby się bała, żeby się na tém tylko nie skończyło, chwyciła w locie okazją i odrzekła:

— A! to pan wie, że mi Anna.

— Tak, wiem... mówiono mi,... ale... może ja pani przeskadzam.

— Bynajmniej, panie, — nic mnie nie nagli, — odpowiedziała Anusia, po której oczach widać było, że jej się nie spieszyło wcale.

— Bo... widzi pani,... jakal się nieznanomy, który w obec nocnego napastnika był śmiałym i rezolutnym, a w obec pięknej dziewczyny, jakoś zapominał języka,— ja mogę iść w tamtą stronę i doprowadzić panią aż do domu...

— I owszem panie, przyjemnie mi będzie.

Znowu kolej mówienia przyszła na nieznanomego i znów wymowa odmówiła mu posłuszeństwa. Znowu Anusia musiała pomódz mu w kłopotcie.

— Myśmy z mamą myślały, że nas pan odwiedzi, i że

się poznamy bliżej, a byłoby nam przyjemnie widywać kogoś, komu się wdzięczność należy....

— O pani! — przerwał nieznajomy...

— Ale pan, — ciągnęła Anusia, jakoś od nas stroni. Możeby się pan wstydził zajrzeć do biednej wdowy po rękodzielniku...

Anusia kłamała najzupełniej, mówiąc, że nieznajomy stroni, — przynajmniej od niej. Bardzo to brzydko kłamać, zwłaszcza powracając z kościoła, ale Anusi jakoś się zdawało, że to kłamstwo niewinne, które pan Bóg przebaczy, ze względu na intencją pocziwą, ... podtrzymania rozmowy z tym panem, co ją obronił.

— A! pani, tak posadzać się nie godzi, odpowiedział nieznajomy, któremu ten niewinny podstęp ślicznego dziewczęcia rozwiązał nareszcie język, — ja sam jestem rzemieślnikiem.

— No, to proszę pana, mieszkamy tutaj, odrzekła Anusia, wskazując na sień domu, do którego właśnie dochodzili.

— Jeżeli pani pozwoli, wstąpię na chwilkę.

Rozumię się, że pozwolenie udzielono z przyjemnością.

Tak wreszcie przyszło do pierwszych odwiedzin pana Franciszka w mieszkaniu wdowy. Nie potrzeba powiadać, że matka mile przyjęła gościa i że nieznajomy odtąd równie często, jak przed tem zachodził na ulicę Wilczą, ale już nie po samej ulicy spacerował, lecz wchodził do mieszkania i przepędzał czas długi, — a czy przyjemnie? to wie każdy, co podobne wizyty oddawał.

Wdowa z córką, utrzymująca się z pracy rąk, miały jednakże pewną pomoc, co nędzy zakraść się nie dozwalała. Po ojcu, zmarłym przed kilką laty, ocalał szczupły kapitałik, około piętnastu tysięcy złotych, stosownie do przepisów prawa, złożony w Banku Polskim, dopóki dzieci nie dojdą do pełnoletności. Procent od tego kapitału był nie małą ulgą dla matki i córki, był też zarazem posagiem Anusi, bo wszystko jej rodzeństwo, jak już powiedzieliśmy, Bóg zabrał do siebie.

Gdy jednego wieczora matka Anusi opowiedziała swemu już codziennemu naówczas gościowi, o tym szczególnie ma-

jątkowym, pan Franciszek pobladł, a po chwili poczerwieniał, i tak mu się jakoś zrobiło, że aż wdowa zapytała:

— Co panu jest?

— Nic pani... tylko... ja chciałem,... a teraz, — jąkał się nasz bohater.

I znowu zabrakło mu wymowy.

— Z nami pan możesz być otwartym, — mówiła wdowa, zdaje się, że zasługujemy na to.

— Tak... ja myślałem... ale teraz.

Po kwadransie ledwie rozmowy, wydobyto wreszcie z biedaka to przykre wyznanie, że chciał, że myślał, o czemś, jesliby matka pozwoliła, a i panna Anna podobnie, założyć warsztat, że do warsztatu trzeba gospodyni, że myślał, iż panna Anna nie ma nic,... ale teraz widzi, że się to wszystko na nic nie przydało, bo panna Anna jest bogata i jegoby nie chciała, — nareszcie, że przeprasza i matkę i córkę za to, że się pod nieszczęśliwą gwiazdą urodził i że myślał o tém, z czego nic być nie może...,

Dowcipniś jaki mógłby się rozśmiać z tej gadaniny bez związku, lecz ludziom serca, do serca ona trafić musiała. Dla tego też matka Anusi odpowiedziała panu Franciszkowi, że piętnaście tysięcy to nie krocie i że ten co ma ręce i głowę, wart ich z pewnością.

Dodało to otuchy nieśmiałemu kochankowi i nie bez dalszych jąkań, nie bez zastrzeżeń i przeprosin, oświadczył się nareszcie o rękę Anusi.

Że został przyjętym, o tém on zaraz się dowiedział, a następnj niedzieli dowiedziała się cała parafja, z zapowiedzi ogłoszonej w kościele św. Aleksandra.

We dwa tygodnie po téj zapowiedzi, odbył się ślub młodj pary, a nazajutrz matka i córka przeniosły się do nowego mieszkania pana młodego, które było przyzwoicie zaopatrzone we wszystko, co do prowadzenia rzemiosła i skromnej wygody domowej było potrzeba.

Obejmując swoje nowe gospodarstwo, Anusia okazała się gospodynią, jakich mało. O wszystkiém pamiętała, wszyst-



kiego dojrzała sama, a kiedy przeglądała kawalerską wyprawę swojego męża, to aż jej serce skakało z radości, że dostała człowieka tak porządnego, tak zasobnego we wszystko i tak pocziwego w dodatku.

Między mnóstwem drobiazgów, jakie z tym dniem pod jej zarząd przechodziły, znalazła Anusia śliczne pudełko, do którego z ciekawością zajrzała.

Był w niem czerwony afisz, ogłaszający pierwsze przedstawienie *Ulicznika Warszawskiego*, stary Numer *Kurjera Warszawskiego* z przed czterech lat, i zawalany błotem bilet wizytowy, z koroną i napisem: „Edward N. ulica Chmielna Nr...”

Ciekawą była Anusią, dla czego te trzy świstki z takim poszanowaniem zamknięte były w ozdobnym pudełku. Pan Franciszek zaspokoił jej ciekawość, opowiadając ze wszystkimi szczegółami historją swoich trzech chlubnych pamiątek, i spowiadając się ze wszystkich myśli, ze wszystkich pokus, jakimi go znalezione pieniądze nęciły.

Młoda żona z żywem zajęciem słuchała opowiadania męża, a kiedy skończył swoją historję, rzekła do niego:

— Mój drogi! dziwne są zrzádzzenia Opatrzności! Przed czteroma laty, żył jeszcze ojciec mój nieboszczyk. Było nam dobrze. Jednego przecież wieczora, ojciec powrócił chmurny i zrozpaczony. Powiedział nam, że zgubił znaczną summę. W jego położeniu byłoby to nas doprowadziło do upadku i do nędzy. Dzień następny przepędziliśmy pogrążeni w łzach i rozpacz. Nazajutrz wyszedł ten Numer *Kurjera* i według zawartej w nim wskazówki, ojciec odebrał zgubione pieniądze. Przyszedł do domu szczęśliwy i powiedział nam wówczas to tylko, że znalazcą był Franek, terminator szewcki.

*Bruksella 7 Listopada 1866 roku.*

## LICHO-RZESZOTO,

POWIASTKA.

przez

Teodora - Tomasza Jeża.

Wyszła na podwórko z rzeszotem w ręku. W rzeszocie był poślad. Wyszła i stanęła i zawołała:

— Ciurrrr!....

Głos jej pobiegł daleko. Echem o jar trącił, a z jaru wpadł w las, a w lesie rozbiegł się po wądołach — i brzmiał, dzwonił, aż skonał gdzieś za tym kręgiem, który oznacza zeknięcie się Nieba z ziemią. Toż chyba do Nieba się dostał? — kto wie — może. Tymczasem na ziemi, na ten głos leciało ze wszech stron ptastwo. Jedno leciało, drugie biegło. Spieszyło skrzydlate stado z za płotów, z burzanów, z chlewów, z ogrodu, ze wszystkich kątów i zaułków, po ziemi i po powietrzu, gęsi, kaczki, kury i gołębie. Otoczyły ją gęstą cizbą. Ona sygnęła im ziarna garść jedną, drugą, trzecią, wyciągnęła rękę z rzeszotem, przechyliła i wytrząsa wszystko.

Kto ją widział wczora, pozawczora i dni poprzednich i zobaczyłby dziś, powiedziałby: to nie ta dziewczyna. Ta i nie ta. Tak się nagle zmieniła. Była wesoła, niby młoda koteczka; a taka gospodarna. Drób szczególnie, była tó jej w gospodarstwie strona najmocniejsza. Ptastwo ją znało: ona mu rada hetmaniła i umiała wśród niesfornej zgrai, wzorowy utrzymać porządek, nie dopuszczając ani przewagi jednego rodzaju nad drugim, ani osobistych wyniesień, ani pojedynków tak zwykłych pomiędzy kogutami. W miłej zgodzie odbywała się zawsze ptasia uczta. Gęsi, kaczki, kury, gołębie zjadły, napiły się i rozeszły się i rozleciały, te na stawek, te po podwórzu, za zapłotki i zaułki, te w powietrze. Tak było zawsze, dzięki zręczności, z jaką złotowłosa dziewczyna umiała w zgodzie nieprzyjazne utrzymać żywioly i burzliwe powściągać natury. Czyż ją ta zręczność nagle opuściła?

Śród skrzydlatej zgrai stanęła, ręce na piersiach skrzyżowała i w zadumaniu patrzyła przed siebie. Patrzyła i nie

nie widziała. A tu gęsi rzuciły się na kaczki, kaczki na kury, kury na gołębie. Te ostatnie zmuszonemi zostały do odwrotu w powietrze—frunęły, zakrążyły nad podwórkiem, usiadły na dachu, jeszcze spróbowały wziąć udział we wspólnej uczcie i—stanowczo odepchnięte — odleciały. Koguty w kilka par wszczęły samowtórne zacięte walki. Kury ukradkiem chwytaly pojedyncze ziareczka. Gęsi rozgospodarowały się same w najlepsze, lecz i ich gospodarzenie nie długo trwało. Przyszła świnia i na cztery wiatry rozpędziła kłótniwą gawiedź. Jasnowłosa dziewczyna, opiekuńczy ptastwa geniusz, przypatrywała się temu wszystkiemu z podziw wzbudzającą obojętnością. Ani się głosem odezwała, ani palcem ruszyła. Ptastwo głodne się rozeszło, świnia wszystko zjadła i na dobytek rozdarła ryjem rzeszoto wypadłe z rąk dziewczyny i u nóg jej leżące. Ona wciąż stała ze skrzyżowanemi na piersiach rękami.

I byłaby stała Bóg wie jak długo, gdyby nie następujące roztargnienie. U przełaza ukazał się raptem parobek z kosą na ramieniu, w słomianym kapeluszu na głowie. Stał, popatrzył przez chwilę na burmistrzującą świnie, na podarte rzeszoto i na dziewczynę, i odezwał się:

— Dzień dobry Oksano!....

Jakby z głębokiego snu nagle hukiem pioruna zbudzona—ocknęła się dziewczyna.

— Ja ciebie przestraszył.... rzucił parobek.

Dziewczyna oblała się rumieńcem. Coś niby tam odpowiedziała, ale i sama nie wiedziała co i parobek nie zrozumiał, i schyliła się po rzeszoto, a ujrawszy je przedziurawioném, tak, iżby głowa ludzka mogła przez nie przeleźć, klasnęła w dłonie i krzyknęła:

— Biednaż moja główka!....

Na ten okrzyk, parobek głośnym odpowiedział śmiechem. Wywinął kosą na ramieniu i wesoło zaśpiewał:

....Handzia, Handzia kuczerawa

Pid reszetem noczuwała,

Jak reszeto poderet'sia

Handzia lycha naberet'sia....

...Coś i tobie Oksano, licho przez rzeszoto się zapowiedziało....

— Aby ino mnie... odparła dziewczyna z przyciskiem.— Aby tylko nie i jeszcze komu....

— Chyba ty się gniewasz?... podchwycił parobek.

— Jeszcze co!.... odrzuciła dziewczyna, ściskając ramionami i wracając się ku chałupie, w zamiarze przerwania rozmowy.

— Ja tylko tak żartowałem!... zawołał na nią parobek.

— A wyjdiesz gromadzić moje pokosy?... jeszcze zawołał.

Ale ona albo nie słyszała, albo słysząc, odpowiadać nie chciała.

Parobek postął przez chwilę, podumał, głową pokiwał; rzekł sam do siebie:

— Gniewa się... Hm?... Ale się przegniewa,.. Przecież ja jej nic złego nie powiedział... Żem pożartowałem?... wielka mi rzecz!..

Wywinął kosą, kapelusz na głowie poprawił i odrzekł, pogwizdując sobie pod nosem nutę piosenki:

.....Handzia, Handzia kuczerawa... ect.

Oksana się naprawdę rozgniewała, albo raczej, rozchime-rowała—czego? ona sama dokładnie nie wiedziała. Może źle spała, może nie dobre sny miała, może lewą nogą z pościeli na podłogę stąpiła, może..... kto tam zresztą w stanie wyliczyć owe tysiące tysięcy powodów chimerów dziewczycy? Cóż nią zakręci, coś w niej zaświdruje—i nadąsa się? wówczas nie przystępuj do niej. Wspomnisz słówko najniewinniejsze: ona w tym słówku upatrzy obelgę, osobistą obrazę i odpowie przycinkiem i zatnie usta, biada ci, zwłaszcza, jeżeli piękna i jeżeliś w niej rozkochany.

Właśnie w tym przypadku znajdował się Karp (takim było imię parobka). Oksana była piękna, on—rozkochany. Piękność jej była z tych, co to magnetyczną mają w sobie siłę, jaśniała, jak wiosenne zaranie, jak barwisty a pełen woni kwiat, jak tajemnica nęcąca domysłem iż po za nią ukrywa się skarb.

Piękniejszej nie można sobie wyobrazić: złotowłosa, modrooka, białolica, a wystrzelona do góry, niby trzcina i giętka, a polotna, niby dzika gołąbka, a pyszna i ludzi zdaleka od siebie trzymająca, niby wielka pani. Nie dziw—ojciec jój był bednarzem, gospodarzem słusznym i poważnym. Ale i ojciec Karpa nie ustępował w niczém ojcu Oksany. Jeżeli ten był bednarzem, to ten kołodziejem i tak giął obody, iż ludzie zdaleka umyślnie do niego przyjeżdżali. Miał też dobytek wszelaki i dostatek w chacie i koło chaty: na oborze trzy pary wołów, dwie krowy i jałownik i parę koni i kilkanaście owiec, w toku sterty z zapasnym z roku na rok zbożem, w karmniku wieprz jeden po drugim, w kurniku drobiu jak maku, w szpiechrzu pełne zasieki. O chacie ani gadać. W niej wzorzystych kilimków, czyszych ręczników, odzieży na żerdce, bielizny w bedniach a pod bielizną rubłów—jak powiadali ludzie—jedna czapka pełna a drugiej bez mała pół. To samo było i u bednarza, z tą jedynie różnicą, że trochę mniej rubłów a trochę więcej jałownika i drobiu i z tą jeszcze, że ten miał córkę na wydaniu, a ten syna na ożenieniu.

Karp i Oksana, byli jakby jedno dla drugiego stworzeni. Jeszcze się nie swatali, ale nikt w całej wsi ani pomyślał, żeby mogło być inaczej, jak że Karp weźmie Oksanę, że Oksana wyda się za Karpa. Tak samo myślał kołodziej i bednarz, kołodziejowa i bednarzowa, pierwsza miała siebie za teśćcę Oksany, druga—Karpa i gdy się zeszyły razem, przy Niedzieli lub w święto, to jedna winszowała sobie synowój, druga zięcia. A gdy te winszowania podlanemi zostały, co się niekiedy zdarzało, zaprawną miodem i pieprzem gorzałką, to końca im nie było. Baby płakały z radości i rozrzewnienia i przezywały młodą parę parą gałąbków; parą sokołów, parą turkawek, Karpa słonkiem, Oksanę gwiazdą, uśmiechały się jedna do drugiej, głowami kiwały i oczy rękawem obcierały, i kończyły:

— Et, co to o tem gadać !.. Bóg ich jedno dla drugiego przeznaczył...

Takie było mniemanie całej gromady. Nie jedna matka mająca córki na wydaniu, miała do Opatrzności pretensję. Po-

branie się bowiem, gdyby do niego przyszło, a przyjść musiało, Karpa z Oksaną, byłoby nie czém inném, jeno urzeczywistnieniem przysłowia o smarowaniu tłustego pościa. I ten bogaty i ta bogata, i ten ładny i ta ładna: po cóż dodawać się ma bogactwo do bogactwa, krasa do krasy? Czemuż by raczej tak dziać się nie miało: niechby bogaty brał ubogą, niechby bogata szła za ubogiego? Ale—nie było gadania. Kwestję stanowczo rozstrzygało jedno słówko, niby to nic nie znaczące, a przecie pełne tajemniczego znaczenia: kochają się.

Gdybys pod tym względem, w obec gromady okazał wątpliwość, wyśmianoby się w żywe oczy. Byłato rzecz powszechnie wiadoma, oczywista, wyraźna i głośna—rzecz, z której szatan, schowany w pokrzywach, porastających na ruinie chaty wisielca, śmiał się po cichu i przygotował gromadzie, a najprzód samej Oksanie, niespodziankę.

Niespodzianka ta przedstawiła się pod postacią człowieka, jakby utworzonego umyślnie do bałamucenia dziewcząt, człowieka, który miał ustaloną reputację bałamuta. Wszystko w nim było bałamutnem, zaczawszy od imienia i nazwiska. Nazywano go Jean Suchon, a on istotnie nazywał się Iwan Lucznia; uchodził za Francuza a był rodem ze wsi i wszyscy pamiętali, jak w zgrzebnej koszulinie, podpasany krajką, boso i bez czapki, pasł najprzód gasięta dworskie, potem ciełęta, potem został kuchcikiem, z kuchcika, kredencerzen, z kredencerza kozaczkiem do nakładania fajki i jako taki znikł ze wsi wraz z paniem, długo go nie było, a gdy powrócił po kilkunastu latach niebytności, to już nie Iwanem ale Żanem, już nie w kozaczek kurtce i szerokich szarawarach, ale we fraku, białych rękawiczkach i lakierowanych bucikach. A tak od niego pachło jak z grządki wonnemi zasadzoną kwiatami, kiedy je rosa skropi wieczorna. We wsi byli eleganci, prowentowy pisarz, gorzelnik i ekonomski młodszy panicz, ale mawiali chłopi: „kudy kucemu do zajcia!” gdzie im było do niego! Żan zaćmił ich, jak słońce zaćmiewa blask łojowych świec. Był przytem ładny chłopiec, czarnooki, czarnobrewy, ustrojony od natury w kręjące się włosy i ponętne wąsiki.

Owóz tego to Żana wybrał szatan na narzędzie do zdrwienia z głębokiego całej gromady przekonania. Sprowadził go do wsi i kazał mu chodzić po ulicach. Żan sobie niewinnie niby chodził, wąsiki poprawiał, mrugał na tę i owę, z nim chodziła woń kwiatów i dziwna jakaś ponętność, zwłaszcza jeżeli się ubrał w aksamitną, złotem szytą, jasnymi barwami bijącą i pysznym pióropuszem naczubioną liberję. Dziewczęta się na niego napatrzeć nie mogły. A gdy do której przemówił, tajała jak lud od słońca.

Żan tedy w liberji, Żan pachniący, Żan zaszczycony łaską pańską był przedmiotem podziwu dziewcząt wiejskich. „Podziwu” powtarzam wyraźnie. Nie obudzał on pragnień, obudził tylko podziw, będący własnością prostoty. Prostota bowiem dziwi się, cywilizacyjny polor pragnie. Pokażcie, naprzykład pyszną karetę wieśniaczce i damie. Wieśniaczka gębę otworzy i zapomni się; dama westchnie i powie sobie w duchu:

— Czemuż to ja takięj nie posiadam!...

Od zdziwienia jednakże do pragnienia jeden tylko krok. Dziewczęta tedy szeptały pomiędzy sobą.

— Jakież on pachniący! jaki świecący! a jaki piękny!..

Ów świecący, pachniący i piękny chodził sobie, wąsik poprawiał, okiem mrugał i od czasu do czasu tę to ową zaczepił. Aż przyszła kolej i na Oksanę. I ją zaczepił, choć ona była bednarzówna i z pyszna się nosiła, a zaczepił w taki sposób, że od póki świat światem nikt jeszcze takiego sposobu nie wymyślił.

Oksana prała chusty na kładce. Przychodzi Żan i siada sobie nieopodal na murawie i nic nie mówiąc, patrzy na piorącą, zmakającą, i kijanką wałącą. Ona prała, on siedział. Zrazu nic ją to nie obchodziło; lecz gdy siedzenie jego trwało za długo i ani się zanosilo ażeby myślał o odejściu, dziewczynie zrobiło się jakoś tak, jakby ją coś zlekka łaskotało. Zawadzało jęj, że on tam siedzi i patrzy.

— Czego on siedzi i patrzy!... Nie poszedłby sobie do licha!.. myślała i spieszyła się. Ręce się jęj trzęsły, niby ze strachu; kijanką chybiała, bo oczy niby mgłą zakrywała; męczy-

ła się pod bazyliżkowym młodego chłopca wzrokiem, potaniał i na tém się skończyło, że dokończyć prania nie mogła. Zamo-czyła wszystką bieliznę—a było tego dnia—i nawet wykręcić jak należy nie zdołała.

— Eh !..—powiedziała do siebie w duchu—trzeba to po-dobno prawie na inny odłożyć raz...

Zawiesiła więc bieliznę na koromysło; koromysło dzwi-gnęła na ramię—a było co dzwigać, namoczone bowiem i nie-kręcone chusty podwójnie zaciężyły—i ruszyła. Ale zaledwie krok zrobiła, Żan się na równe zerwał nogi. Oksana spotkała go na połowie kładki— za nią woda, na prawo woda, na lewo woda, a przed nią Żan. Albo w wodę skocz, albo stań i czekaj. Musiała więc stanąć i wysłuchać nasepujących wyrazów, które niby miód z ust Żana popłynęły:

— Moja śliczna dziewczyno nie pozwolę ja na to, ażebyś ty sama tę bieliznę dzwigała...

Wraz z temi wyrazami wyciągnął rękę. Nim się Oksana opamiętała, już koromysło zawisło na ramieniu Żana. W zdję-ciu jego i w zaniesieniu taką okazał zręczność i taką siłę, jakiej by żaden w całej wsi, Karpa nie wyjmując, nie okazał paro-bek. Zeszedł z kładki i ustępując zgrabnie Oksanie z drogi, rzekł do niej z uśmiechem:

— Idź przodem i drogę pokazuj...

— Oddajcie koromysło!... zawołała dziewczyna, zbliża-jąc się do Żana w pomieszaniu i rękę po bieliznę wyciągając.

Lecz on tak zręcznie koromysłem wywinął, że umknął jój bieliznę z pod ręki.

— Oddajcież bo !..

— Za żadne skarby świata !.. Oddam, ale na progu twojej, śliczna dziewczyno, chaty...

— Ta gdzież wam, iść z koromysłem przez wieś!..

— Alboż to ja co?.. nie taki chłop jak każdy tu we wsi?..

I ruszył ścieszką śród murawy wydeptaną, a ciężar niósł na ramieniu, jakby to nie był ciężar, lekko i swobodnie. Oksa-nie nie pozostawało nic innego, tylko mu towarzyszyć. Szła tedy przodem, on za nią. Ona w zapasce czerwonym przepa-



sanęj pasem, w koszuli od powszedniego dnia, w kosach nad czołem zawiniętych, w kosnikach i boso, on w czarnym fraku, w białych rękawiczkach, w modnym letnim kapelusiku, w białej w fontaż od niechceni u związanej krawatce, w cieniuchnej jak śnieg bieliznie, na której połyskiwały brylanty w złoto i koral oprawne, w lakierowanych ciżemkach i przy złotym zegarku. Było to widowisko-dziwowisko. Ludzie się zatrzymywali, oczy szeroko rozwierali i oczom własnym wierzyć nie chcieli.

Żan przyniósł bieliznę i jak zapowiedział, do samego proga bednarzowej chaty. Na progu zdjął z ramienia koromysło i oddając je, rzekł do Oksany:

— Dziękuję...

— Ta za co?.. podchwyciła dziewczyna, śmielsza na własnych śmieciach. Taż to przecie ja wam dziękować powinnam...

Na to Żan, przerywając:

— Przepraszam—odparł. Dla mężczyzny jest to szczęściem, jeśli mu się zdarzy okazja kobiecie usłużyć... Więc ja to mam dziękować tobie...

Podziękował raz jeszcze, skłonił się i odszedł.

Oksana opowiedziała całe zajście matce i ojcu. Matka się dziwiła; ojciec głową kiwał i brodę gładził; Oksanie z pamięci wyjść nie mogło podziękowanie. Była to dla niej rzecz nowa, niespodziana i wielkiego znaczenia. Mimowolnie poprowadziła porównawczą paralełę pomiędzy Żanem a Karpem. Rozumié się, porównanie niewypadło na korzyść tego ostatniego.

Taką była pierwsza zaczepka. Po niej nastąpiła druga, i trzecia i nakoniec czwarta. Trzy pierwsze dały wprawdzie dużo Oksanie do myślenia; lecz to myślenie obracało się około podziwu godnego zachowania się młodego człowieka, tak różnego od surowego, prostaczego obchodzenia się parobków. Że jej jego zachowanie podobało się, to pewna, ale na tém koniec. Ale gdy on, przydybawszy ją wieczorem przy przełazie, wziął ją za rękę i powiedział wyrazami:

— Kocham ciebie, Oksano...

Oksana złąkla się i rękę swoją do siebie szarpnęła. Lecz jego dłoń była niby żelazne kleszcze. Nie cisnęła wprawdzie, jak żelazo, nie bolało, jednakże wyrwać ręki nie było sposobu. Żan trzymał i mówił:

— Kocham ciebie... Gdybyś ty pokochała mnie, gdybyś za mnie wyszła, gdybyś się stała moją, o! nosiłbym cię na rękach! zrobiłbym się twoim sługą!.. Chciałabyś zostać panią? zostałabyś panią; nie chciałabyś? twoja stałaby się wola... O! Oksano... pokochaj ty mnie...

Głos jego był taki słodki, śpiewny, grający, dzwoniący, tak do serca wnikał, taką pierś dziewczyny nappełnił lubością i rozkoszą, że stała ni martwa, ni żywa, chciałaby uciekać i rada była, że ją trzymał za rękę i chciałaby go słuchać—niechby mówił jeszcze i jeszcze, bez końca. On mówił, ale w jęj uchu jego wyrazy zlewały się w jeden jakiś długi, podzielony na akkordy wyraz. A ten wyraz, co on znaczył?—ona nie wiedziała. Słyszała tylko muzyczne dźwięki, pochodzące niby od jakiejś z za świata muzyki, a pod temi dźwiękami serce jęj drżało, niby trącona przez muzyka struna. Nie wiedziała, co on mówił; nie wiedziała jak długo mówił; nie wiedziała, kiedy odszedł. Nagle znikł, jakby pod ziemię się zapadł i ujrzała się samą. Zrobiło się jęj straszno. Jednym susem przesadziła przez przełaz i wpadła do chaty taka pomieszana, że i bednarz i bednarzowa, którzy siedząc przy ognisku oczekiwali na wieczórę, jednym głosem zapytali ją:

— Co tobie?...

Staneła, odetchnęła i nic nie odpowiedziała.

Starzy powtórzyli pytanie.

Aż za trzecim razem zdobyła się na odpowiedź:

— Lęk...

Stara poskoczyła jak mogła najraźniej i do ognia Oksanę poprowadziła i na twarz jęj spojrzała.

— Ty blada i drzysz, niby ten listek na osice... Doniu-ż ty moja!... Cur ta pek...

Nachyliła jęj głowę sobie na pierś, ujęła ją w obie dłonie i zlizawszy językiem z czoła raz, splunęła i rzekła:

— Na psa uroki... niech lęk od ciebie idzie precz, het, za trzydzieści gór i trzydzieści wód i trzydzieści lasów... Tfu, szernij, przepadnij, nieczysta siło...

Zlizała drugi raz i to samo powtórzyła. Zlizała jeszcze i raz trzeci, przeżegnała Oksanę i dała jej w kufelku wody do napicia się.

Zlizała jej lęk, ale nie to co w sercu zapadło i jak ziarno na żyznej roli od razu zakiełkowało. Oksana poszła spać niby nie swoja. Przewracała się z jednego boku na drugi i co usypiać zaczęła, to ją rozbudziła jakaś muzyka cicha, brzęcząca, urocza, jakby wiatru po strunach, a grająca wciąż trzy wyrazy:

— Kocham ciebie, Oksano...

Nocy tej nie przespała. Wstała równo ze świtem i ze zwyczajnie wyniosła dla drobiu jeść w rzeszocie. Ale gdzie jej tam było do drobiu! W roztargnieniu nie wiedziała co czyni. Widzieliśmy jak na tém wyszedł drób i co się stało z rzeszotem. Najgorzej jednakże wyszedł Karp, który codziennie o jednej i tej samej porze, ciągnąc na robotę, przechodził mimo chaty bednarza i oddawał dzień dobry Oksanie... Codziennie też coś jej wesołego powiedział lub zażartował z niej. Miał to sobie niejako za obowiązek, pobudzić ją do śmiechu na początku dnia. Robił to dla tego, ażeby jej dzień każdy wesoło się zaczynał. Chwalebny zwyczaj, który możnaby wszystkim w ogólności kochankom do naśladowania zalecić — zwyczaj, z którym naszemu Karpowi powodziło się doskonale, tylko nie wówczas, kiedy zaśpiewał Oksanie o Handzi i rzeszocie.

Ach! jakim-że on wówczas wydał się jej nieznośnym. Co za porównanie pomiędzy Żanem a nim! pomiędzy tym chłopcem zgrabnym, umiejącym przemówić tkliwie i grzecznie, a tym chłopem, takim prostym.

A ludzie mówili „kochają się,” a szatan w pokrzywach się śmiał i pytał:

— Kto z kim?...

O, bo ludzie bystry mają wzrok. Ani jeszcze Karp i Oksana o czemesz wiedzieli, ani jeszcze bednarzostwo i kołodziejstwo

co widzieli, już we wsi gadano, że Żan zaleca się do Oksany, że Oksana nie jest Żanowi nieprzychylną, ubolewano nad biednym Karpem i pytano:

— Co to z tego będzie?...

Bo, że Karp kochał Oksanę, to najmniejszej nie ulegało wątpliwości. Chłopiec wyrósł z miłością dla niej i ta miłość stała się jego naturą. Nigdy nie wymówił tego słowa „kocham.” zdawało mu się bowiem, iżby jęj ubliżył, iżby samemu sobie ubliżył, gdyby uczucie bezgraniczne w takie krótkie zawięził słowo. Za niego mówili inni, bo widzieli, jak on tę swoją miłość szanował, jak ją chronił nie tylko od zbrukania, ale nawet od najmniejszego przypruszenia bądź lekkomyślnością, bądź niedbalstwem. Był to w całej wsi parobek najstateczniejszy, najpracowitszy i najprzyzwoitszy, a dla tego głównie, iż się czuł stróżem i opiekunem świętości, mieszkającej w jego pierśsi. Karp więc kochał czynnie, to jest, ubierał kochanie we wszystkie praktyczne cnoty i stał się wzorem parobków. Było to zapowiedzią, iż będzie wzorem gospodarzy.

I byłby nim niezawodnie, gdyby Oksana była mniej piękną.

On kochał ją całą serca potęgą. Ona jego—kochała także, a raczej, wmówili w nią, że kocha i uwierzyła w to — i wierzyła ślepo póty, póki pięknoscją swoją nie zwabiła Żana, który jęj drogę zaszedł i tyle pięknych rzeczy do ucha nagadał. Mogła zostać panią, gdyby zechciała. Otworzyły się przed nią jakieś nowe, a urocze, a zagadkowe horyzonty. Zapragnęła tęg zagadkowości, która się dla niej w wyrazie „pani” mieściła.

Karp napróžno wyglądał ją na sianozęci. Wyszły ze wsi wszystkie gromadzielnice, wszystkie mołodyce i dziewczęta: ona nie wyszła. Karp się dziwił.

Wieczorem przechodził mimo chaty bednarza, myśląc sobie w duchu:

— Będzie czekała mnie na wrotach i powie „dobry wieczór,” a ja ją zapytam, czemu nie wyszła i palcem jęj pogrozę..

Przeszedł mimo chaty. Na wrotach nikt na niego nie czekał. Zawiedziona nadzieja niewypowiedzianą sprawiła mu

przykrość. Gniewny i zmartwiony wszedł do swojej chaty, gdzie stary ojciec i matka, siedząc przy ognisku, oczekiwali na wieczerzę. Gdy wszedł, starzy jednym głosem zapytali:

— Co tobie?..:

— Nic... odparł.

— Ty taki markotny?...

— Jak nie mam być markotny, kiedy nie wiem co się dzieje z Oksaną... Nie widziałem jej od rana, a rano byłbym wolał jej nie widzieć...

— Cóż przecie?... dopytywali się ojciec i matka.

— Była jakaś taka, jakby nie ta...

I od słowa do słowa rozpowiedział, jakiego od kochanki doznał na „dzień dobry” powitania.

Ojciec i matka jednym głosem się zaśmieli. Ale Karpowi było nie do śmiechu. „Ponure jakieś — jak poeta powiada — przecucie w piersi mu wyło.” Jadł wieczerzę — ale, co to było za jedzenie! Gmérał łyżką w misie i przełykał, jak się przełyka chleb łzami zaprawny. Po wieczerzy poszedł niby spać do stodoły. Lecz, zamiast położyć się w słomie i choćby wypozać po całodzienném machaniu kosą, zarzucił swiętę na ramiona, kapelusz włożył na głowę i udał się wprost do chaty bednarza.

Po co on tam szedł? — sam nie wiedział. Szedł, bo go coś ciągnęło, ulegając sercowemu magnesowi, któremu oprzeć się nie był w stanie.

Noc była cicha, balsamiczną napełniona wonią. Na niebie, na lazurowém, od wschodu w szafir wpadającym, wyiskrzyło się gwiazd mnóstwo i tkwiło w górze nieruchomie, niby zasłuchanych w brzmiące głośnie pieśnią na ziemi chóry. Chór żabek, chór komarów, chór koników polnych, bicie przepiórek, szczekanie psów, śpiew słowika, szum wody na łotokach, zlewały się w jeden uroczysty hymn, wionący ku Niebu, ku tronowi Stwórcy wszechświata.

Zazwyczaj takim wieczorem usypiający pod gołém Niebem Karp wplatał się duszą w ów hymn i przejętym do głębi

wdzięcznością sercem słauił Tego, co mieszka na wysokościach.

Lecz dziś nie było jak zazwyczaj. Karp nic ani słyisał, ani widział. Przesuwał się niby cień w cieniu drzew, które z sadów konary na ulice wyciągnęły i śpieszył do bednarzowej chaty.

Przyszedłszy do wrót, stanął i całą postawą swoją wyraził zdziwienie. Zdziwiło go, iż w tej późnej porze, w chacie się jeszcze świeciło; zdziwiło go, iż z chaty wydostawały się na zewnątrz niezwykle jakieś głosy, złożone z gniewnego gadania, krzyków i lamentu.

Zdziwiło go to i zastanowiło.

Lament wznosił się niekiedy do wysokiej potęgi, jakby kto umarł. To poprowadziło Karpa dalej niż zamierzał. Przeskoczył przez przełaz, szybko przeszedł przez podwórze i wszedł do chaty. Z proga przedstawił się mu następujący widok. W głębi na niskim stołeczku siedział bednarz i twarz dłońmi zakrył; na środku izby stała bednarzowa w postawie rozpacz oznaczającej; obok pieca Oksana, ze spuszczoną głową, zapłakana, szlochająca. Kaganek niepewnym światłem oświecał te trzy postaci. W ucho Karpa wpadły następujące wysoko podniesionym głosem przez matkę Oksany wymówione wyrazy:

— Mówisz że on „nelub?...” Niech będzie i nelub, ale on człowiek uczciwy, stateczny, pracowity!... Ty mówisz, że jego nie chcesz?... Nie chciój!... Ale nie spodziewaj się naszego rodzicielskiego błogosławieństwa!... Niech tobie błogosławi kusy, co mieszka na bagniskach i ludzi na obłąd naprowadza!... Niech twoje wesele będzie kociem weselem!... Ale nie przyznawaj się, żeś nasza córka!...

Na te słowa z cienia wysunął się Karp. Postąpił kilka kroków i stanął na środku izby przed bednarzową i Oksaną. Obie kobiety wydały na raz okrzyk zdziwienia. Bednarz podniósł głowę, w izbie zapanowało milczenie — jakieś uroczyste milczenie, którego nikt nie śmiał przerwać, ani Karp, o niczym

nie wiedzący, ani bednarzostwo i Oksana, nie życzący sobie, ażeby on o czém wiedział.

Tak jednakże pozostać nie mogło. Milczenie musiało być przerwaniem. Przerwała je bednarzowa.

— No — rzekła do córki, ukazując ręką na Karpa — powiedz ty jemu, powtórz mu coś mnie i ojcu powiedziała.

Dziewczyna ręce na piersiach mocniej ścisnęła, głowę niżej spuściła i nie odrzekła.

— No i cóż?... — pytała bednarzowa.

Oksana, tłumiąc płacz, szlochała.

— Co tobie, Oksano?... zapytał Karp, podchodząc i za rękę ją biorąc i patrząc na nią wzrokiem spółczucie wyrażającym. Tyś się dziś na mnie zagniewała, zem zażartowałam z rzeszota... Toż to były tylko żarty!... Czyż ja mógł się spodziewać, że rzeszoto takiego narobi licha!...

Pod pewnym względem miał on rację. Rzeczywiście bowiem rzeszoto było ową iskierką prochy zapalającą, owem niczém, które rozstrzyga. Gdy o niem rano zaśpiewał, to ta śpiewka odbiła niby czarna smuga obok jaśniejszego tkliwą a delikatną grzecznością pasma, jakie w umyśle Oksany zesnuły się wyrazy przez Żana wymówione. Gdy o niem wieczorem wspomniał, to ten marny wyraz obudził w dziewczynie polajankę ojca i matki i uspioną energję. Przestała łkać, wyprostowała głowę i zwracając się całą twarzą do Karpa, mocnym chociaż nieco wzruszonym głosem rzekła:

— Tak, narobiło licha... otworzyło mi oczy... Ja ciebie nie kocham, nigdy nie kochała i twoją być nie chcę... Powiedziałam to ojcu i matce i oni mnie polajali... Mówię to samo jeszcze i tobie: łaj i ty!...

Karp głowę zwiesił i ciężko westchnął. Przez chwilę panowała cisza.

— Ach! ty, suko!... — przerwała ciszę matka.

— Cyt!... — przerwał matce Karp. Tak widać sądzono.... Jeżeli ona mnie nie kocha, to, gdyby za mnie wyszła, byłaby nieszczęśliwą... Ja ją tak kocham, że ją nieszczęśliwą robić nie

chcę... Nie łajciej jej ojcie i matko... Nie łajcie jej i nie przeklinajcie... Niech idzie, gdzie ją serce ciągnie...

I ojciec i matka i Oksana z pewnym rodzajem osłupienia spojrzeli na Karpa. Nie spodziewali się z jego strony takiego łatwego zrezygnowania. On, wymówiwszy te wyrazy, smutno głową pokiwał, westchnął i wyszedł.

Nie będę opisywał przejść, jakie potem nastąpiły żądnych, bo też ich nie było. Zwyczajnym porządkiem, Żan zaswatał Oksanę, wziął z nią ślub i Oksana została panią.

Gorzkiem było jej panowanie. Ale—co tam o tem pisać!... Żal po niewczasie jest wielkiem głupstwem ludzkim. Nasza Oksana tego głupstwa często się dopuszczała i często kleła rzeszoto, najniewinniejsze w świecie. Bo nie rzeszoto w drogę jej wlażło, ale liberja.

---

## NOWY ROBINSON KRUCOE.

---

Na dalekiej płaszczyźnie wód, które się rozciągają na południe Indyjskiego Oceanu pomiędzy Afryką i Australją, leży samotna skalista wyspa, którą dotychczas nie wielu ciekawych żeglarzy zwiedziło. Kupieckie okręta płynące do Indji, nie śmiały się przybliżyć do niegościnnych jej brzegów, otoczonych podwodnemi rafami i wirami; tylko awanturniczy poławiacz wielorybów, który zbadał wszystkie zakątki oceanów, jest dotyla śmiały, że się zbliża do tych niebezpiecznych brzegów, których jedynemi mieszkańcami są psy i ptaki morskie.

Na zwykłych mappach Indyjskiego oceanu, wyspa ta, leżąca pod 70° wschodniej długości i 50° południowej szerokości oznaczona jest jako mały punkcik z podpisem: „Kerguelens-Land” na morskich zaś kartach obok tego nosi ona charakterystyczne miano: „Desolations Island” (wyspa spustoszenia).

Wyspa ta, na której nie tylko żadnego drzewa, ale nawet okrom mchów i wodorostów, żadnej rośliny nie ma, była przez



dwanaście lat miejscem pobytu północno - amerykańskiego majtka nazwiskiem Pitman, który ostatnie pięć lat przepędził tu w zupełnej samotności. Gdy bowiem wylądował na tę wyspę, znajdowali się z nim dwaj towarzysze, z których jeden wkrótce po przybyciu, spadł i zabił się ze skały, drugi zaś wkrótce po tym umarł z choroby.

Henryk Pitman, urodzony w Massachusetts, został w roku 1842 zwerbowany jako majtek na okręt „Penguin” przeznaczony do połowu wielorybów na Oceanie Spokojnym. Wprzód jeszcze, odbył on już niejedną podróż na okrętach połowiących psy morskie, do Labradoru i Grenlandji. Obecnie jednak chciał poprobować szczęścia w połowie wielorybów.

Pół roku już prawie minęło, jak „Penguin” wyruszył na wyprawę, gdy nagle dla niezbadanych przyczyn, wieloryby jakby zupełnie poznikały. Dotąd szczęściło się im nieźle, a naczynia okrętowe były już do połowy tranem napełnione, od trzech jednak miesięcy ani jednego wieloryba nie zabito.

Okręt znajdował się natenczas na południowym Oceanie, i osada zamysłała o powrocie do domu, gdy kapitan powziął projekt okrążenia przylądku Dobrej Nadziei.

Gdy tak krążyli po Oceanie południowym tam i sam, zawsze w nadziei napełnienia tranem swoich naczyń, pewnego rana majtek stojący na bocianiem gnieździe zawołał: z i e m i a, i gdy kapitan zajrzał w mapę, przekonał się, że się znajduje w północno-wschodniej stronie wyspy Spustoszenia. Wówczas przypomniał sobie, że słyszał kiedyś, że wyspa ta jest schronieniem psów morskich, które w niesłychanej ilości tu się zgromadzają. Postanawia tedy tłuszcem i skórami tych ostatnich wynagrodzić niedołów wielorybów i gdy kilku majtków obeznanych z tym przedmiotem, zajmie się polowaniem na wyspie, on tymczasem z resztą osady będzie szukał w pobliżu wielorybów.

Zwołuje więc całą osadę, udziela im swego planu i pyta, czy kilku z nich znających się na połowie psów morskich zgodzą się pozostać na wyspie przez kilka miesięcy? Połowa zysku miała za to na nich przypaść.

Pitman i dwaj drudzy młodzi ludzie wystąpili, oświadczając, że się zgadzają na propozycję. Jeden z nich imieniem M'Carthy, rodem z Neufundlandu znaczną część swego życia na połowie psów morskich spędził; drugi był przyjacielem i towarzyszem od wielu lat Pitmana. Ci trzej rozsądni i zahartowani majtkowie, byli ludźmi jakby stworzonymi do takiego przedsięwzięcia, a sam kapitan nigdyby lepszych wybrać nie zdołał.

Okręt zbliżył się do wyspy, a trzej awanturnicy w małej zatoce wylądowali. Zbliżając się do tych skalistych pobrzeży, ujrzeli że niezliczone mnóstwo psów morskich je pokrywa, wówczas gdy powietrze literalnie było zaciemnione od nieskończonej ilości morskich ptaków, które to się zniżały, to podnosiły.

Osada okrętowa natychmiast wzięła się do budowania nieociosanej chałupy dla pomieszczenia pozostałych ludzi, również jak i potrzebnych aparatów do przetapiania tłustosci i suszenia skór, co też w ciągu jednego dnia skutecznioném zostało; inni tymczasem zajmowali się przewożeniem na brzeg pewnej liczby naczyń do pomieszczenia tranu. Pozostający zaś na wyspie, zostali zaopatrzeni na sześć miesięcy w fuzje i dostateczną ilość amunicji, tudzież nożów, siekier, grotów, haków wreszcie zapasem mąki, sucharów i mięsa. Oprócz tego zabrali młodzi trzej majtkowie własne swoje rzeczy i jedno z małych czółen.

Zaledwie te przygotowania ukończonemi zostały, przystąpił Pitman ze swymi towarzyszami do dzieła, i jeszcze się „Pinquin” nie oddalił od wyspy, gdy dym podejmujący się z suszarni, najlepszą był rękojmią, że trzej majtkowie nie są nowicjuszami w swoim fachu.

Ludzi ci oddali się zupełnie swemu przedsięwzięciu, a psy tak były liczne i tłuste, że cztery miesiące jeszcze nie upłynęły, a wszystkie już naczynia były napełnione i wiele tysięcy skór wysuszonych. Wkrótce potem wesołe, choć pracowite ich pożycie bolesnym ciosem zasmucone zostało.

Robert Daggot, przyjaciel Pitmana, wybierając jaja

morskich ptaków, spadł ze szczytu skały i natychmiastową śmierć znalazł. Ciało nieszczęśliwego młodzieńca, po długich poszukiwaniach, znaleziono. Spadł on głową na dół i czaskę miał strzaskaną. Ze łzami boleści przynieśli ciało i w bliskości swjej chaty, na wieczny spoczynek je zakopali.

„Po tym smutnym wypadku, opowiadał potem Pitman, M'Carthy i ja przez wiele dni zupełnieśmy ochotę do prac stracili. Nie jednogom w życiu swem utracił towarzysza, alem żadnego tak nie żałował, jak biednego Roberta!”

Pięć już miesięcy upłynęło od ich wylądowania na tę wyspę i nadszedł czas, w którym „Pinquin” miał powrócić. Oczekując niecierpliwie jego przybycia, postanowili powiększyć jeszcze ile możności zapas skór, albowiem tranu nie mieli już gdzie podziąć, tak wszystkie naczynia były przepełnione.

Sześć miesięcy upłynęło, a okręt się wcale nie pokazywał. Siedm, ośm miesięcy, rok cały przechodzi, a majtkowie nasi i oczy wypatrzyli szukając na horyzoncie upragnionego statku. Nie upadli jednak na duchu dzielni ci ludzie, lecz owszem pracowali przez lato, i chłodną zimę, która nowęj jeszcze energii im dodała. Nawet wówczas, gdy upłynęło półtora roku, nie stracili nadziei ujżenia swgo statku. Przez ten czas nieraz widzieli wierzchołki okrętów mimo przepływających, które jednak za nadto daleko były, aby jakikolwiek znak dostrzedz mogły.

Jakkolwiek żywność zabrana z okrętu, dawno już się wyczerpała, głodu przecież nie cierpieli. Ponieważ nie wiedzieli, jak długo przyjdzie im tu czekać, nim jaki okręt trudniący się połowem wielorybów ich odkryje, przemyślał Pitman jakim by sposobem przechowywać tran psów morskich, których zabijać nie przestawali. Traf przyszedł mu w pomoc; raz bowiem rozłożywszy ogień na brzegu morskim zauważał, że drzewo napojone morską wodą, a następnie na słońcu wysuszone, pozyskuje twardość kamienia.

To go naprowadziło na wniosek, że za pośrednictwem wapna i wody morskiej potrafią zrobić mocne naczynia do po-

mieszczenia tranu. Wzięli się tedy obaj do pracy i po wielu nienajszczęśliwszych próbach, zrobili długie a wąskie naczynie które grubo wewnątrz wysmarowane wapnem, pozwalało pewną ilość tranu przechować. Tym sposobem znaleźli zajęcie, dzięki któremu przynajmniej kiedy niekiedy mogli zapomnieć o swym losie i pocieszyć się w samotności.

Paliwa im nie brakowało, na wybrzeżu bowiem zawsze znajdowali dostateczną ilość dREW, falą morską wyrzuconych, a długi mech rosnący na wyspie wysuszony na słońcu, dostarczał wybornego materiału do suszenia skór. W ciągu kilku miesięcy nie tylko napełnili swojej inwencji i budowy naczynia tranem, ale i zapas skór z dniem każdym się powiększał.

Zaraz po wylądowaniu, urządzili sobie podział pracy w ciągu dnia. Pewien czas był przeznaczony do dostarczania i przyrządzania żywności. Ze zaś oprócz ryb i ptaków, na wyspie znajdowała się obfitość dzikich świń, które swą bronią zabijali, głodu więc nie doświadczali. Pewna liczba godzin codzień była przeznaczoną do zabijania psów morskich, wytłaczania tranu i suszenia skór.

Reszta dnia poświęcona była rozmaitym małym zatrudnieniom. Raz w tydzień porzucali zwykłą pracę, udając się wewnątrz wyspy dla jej zbadania. Podczas jednej z tych wycieczek zrobili odkrycie, że wydawała ona pewien gatunek jadalnych kłabiastych owoców, któremi dzikie świny się żywiły. Owoc ten stał się bardzo pożywnym dodatkiem ich spartańskich obiadów. Na najwyższej skale wyspy urządzili sygnał wzywający pomocy, ale żaden okręt nie zbliżył się tak dalece aby go dostrzedz.

Po upływie trzech lat, odzież ich tak się podarła, a raczej w szmatki popadała, że byli zmuszeni ze skór psów morskich, zrobić sobie okrycie. „Po raz pierwszy od śmierci biednego Daggota, powiada Pitman, mogliśmy serdecznie z siebie się uśmieć, gdym uszył i przybrał się w ubiór ze skór psów morskich, sierścią na zewnątrz. Wyglądałem więcęj niż komicznie — byłem dziwolągiem.“

W piątym roku swego pobytu, Pitman i M'Carty posta-

nowili dokładnie zbadać całą wyspę. Wyprawę tę przedsięwzięli latem, które w strefie tutejszej przypada w tym czasie, gdy u nas zima panuje. W ciągu sześciu tygodni, przeszli według swego rachunku, od 60 do 80 niemieckich mil, znalazłszy wyspę wszędzie jednostajnie ponurą i jałową, tak że po brzeże, na którym mieszkali, jako porznięte licznemi stosunkowo zatokami, zdało się im najlepszem.

Na południu wchodził w morze długi, wązki, skalisty przylądek, na którym nie bez zadziwienia, majtkowie nasi znaleźli chatę i przyrządy do suszenia, takie jak u nich samych, opuszczone jak się im zdawało zaledwie od kilku dni. Na skałach wisiały jeszcze świeże skóry psów morskich, które dla tego zapewnie z sobą nikt nie zabrał, że nie były wysuszone. W chacie znaleziono kawałki odzieży, pościeli i innych sprzętów, które w krytycznem ich położeniu bardzo się im przydały. To odkrycie wzbudziło w nich także nadzieję, że ta opuszczona osada, prędzej lub później ściągnie uwagę przepływających mimo statków, a tym sposobem przyspieszy ich wyzwolenie z tej samotnej, dzikiej wyspy. W tym też celu zapisali w owej chacie na nieociosanym stole swoje nazwiska, dzień w którym osadę tę zwiedzili, oraz miejsce swego pobytu; poczem wrócili do domu.

W parę lat później, M'Carty zachorował i umarł. Wówczas dopiero ujrzał Pitman całą okropność swego położenia. Dotąd towarzystwo współziomka, czyniło znośną samotność pobytu, a wspólna codzienna praca, rozpraszała smutne myśli. Teraz opanowała go tęskna zaduma i mocno był przekonany, że na tej niegościnniej skale, złoży swe kości, których ani kruk nawet do ojczystej ziemi nie odniesie. Życie wszelką wartość dla niego straciło i nie wiele już brakło, żeby się stał pastwą rozpaczy. Gdy jednak raz ujrzał ze szczytu skały białe żagle dwóch okrętów, odzyskał wnet odwagę, i lubo okręta wcale się nie zbliżyły, przecież ożyła w nim nadzieja, że kiedykolwiek inny jaki okręt mimo przepływający, dostrzeże jego sygnały.

Ożywiony i pokrzepiony wrócił do swej chaty i usilną

pracą chciał rozproszyć smutne myśli. Krom tego dodawała mu otuchy myśl, że nagromadzone zapasy tłuszczu i skór pozwolą mu kiedyś prowadzić życie niezależne, tak, że nie będzie potrzebował służyć jako majtek. To też pracował nieustannie, napełniając naczynia jedno po drugim tłuszczem i układając w swej chacie ogromny stós skór. Dwa razy co rok obchodził wyspę na około, ażeby przekonać się, czy nie przybyli jacy poławiacze morskich psów, lecz nigdy ani śladu bytności ludzkiej nie znalazł.

Zaledwie trzy miesiące upłynęły od śmierci M'Carty'a, gdy osamotniony Pitman postanowił szukać towarzystwa w otaczających go stworzeniach, i wkrótce chatkę jego niezliczona ilość ptastwa otaczała. Po niejakiś czasie, albatrasy i inne morskie ptaki, przylatywały na jego zawołanie i bez żadnej obawy z rąk jego pokarm przyjmowały. Ulubieńcami jego wszakże były młode psy morskie, które tak się doń przywiązywały, że chodziły za nim jak pieski zwyczajne. Co większa nawet, nie tylko biegały za nim kędy się obrócił, nietylko radość swą cichem skowyczeniem okazywały, ale nadto łowiły ryby i przynosiły je panu swemu. Bystrzejsze z nich, potrafiły wkrótce odróżnić nadane sobie imiona, tak że się w niczem prawie od domowych zwierząt nie różniły.

Raz udało mu się aż siedm ich sztuk przyswoić. Gdy igrały w falach niedaleko brzegu, jeżeli zawołał które po imieniu, zwierzę podnosiło głowę do góry, a za powtórnem wezwaniem, wypływało na brzeg i przybiegało do niego.

Tym sposobem upływały lata. Nowy nasz Robinson nigdy jednak nie stracił nadziei wyzwolenia. Podług własnych jego obliczeń, upłynęło jedenaście lat i dziesięć miesięcy, jak on na tę wyspę wylądował, gdy pewnego rana, skutkiem lekkiej słabości nie opuszczał swęj chaty, blizki odgłos wystrzału harmatniego obił się o jego uszy. Z bijącym sercem wdrapał się na najbliższą skałę i spojrzął na morze. Tam, o błogostawiony widoku! ujrzał w półmilowej od brzegu odległości z rozpiętymi żaglami stojący wielki okręt wielorybi,

z którego spuściła się Łódź, przez kilku majtków kierowana i zbliżyła się do brzegu.

Był to okręt angielski, który się skierował ku pomienionej wyspie, celem zajęcia się połowem psów morskich.

Gdy kapitan ujrzał sygnał Pitmana, rozkazał z działa wystrzelić, a w kilka chwil potem, biedny pustelnik znalazł się w towarzystwie podobnych sobie istot.

Jakkolwiek zyskiem, jaki przyniosły Pitmanowi tłuszcz i skóry, podzielił się ten ostatni z swoimi wybawcami, tyle jednakowoż na niego wypadło, że mógł nad jeziorem Michigon niezlą fermę nabyć, w której dotychczas zdrów i wesół mieszka.

O losie „Pinquina“ żadnej nie mamy wiadomości; musiał się gdzie rozbić.

Tym sposobem Opatrzność zawsze czuwa nad niewinnymi i częstokroć wówczas ich z toni nieszczęścia wyprowadza, gdy najmniej się tego spodziewają.

*Kamiński Mścisław.*

---

## A B I S S Y Ń J A.

---

Są kraje, nad którymi jakaś tajemniczość ciąży; nieznając ich wcale lub bardzo mało tylko, w przesadzonej wyobraźni przedstawiamy je sobie, jako pełne najdziwniejszych osobliwości, których dopiero poszukując na miejscu, spostrzegamy, że te tylko w naszej imaginacji istniały. Do takich to właśnie krajów mało znanych, a o których rzadcy tam podróżnicy niebawem dziwy porozpowiadali, należy Abissyja, do której właśnie wyjechała świeżo wyprawa z Paryża, z kilkudziesięciu osób złożona, pomiędzy którymi i kilku naszych rodaków się liczy. Wyprawa ta ma poznać ten kraj i zarazem zawiązać stałe stosunki handlowe pomiędzy nim a Francją, przez założenie w nadbrzeżnych punktach kupieckich

faktorji. Wyprawa ta, z początku będzie miała nadzwyczajne trudności do zwalczenia, ale można jednak spodziewać się, że po usunięciu tychże, wielkie jój powodzenie sprzyjać będzie. Z tego to powodu, ponieważ kraj ten mało znany, wyjdzie teraz ze swych tajemniczych osłon, jakimi jest okryty, z powodu dotychczasowych rzadkich stosunków z Europą; podajemy tu o nim krótką wiadomość.

Abissynja, zajmująca w swych granicach rozległe obszary Afryki Wschodniej, otoczona jest od północy Nubią, od wschodu morzem Czerwoném, od zachodu królestwem Kordofan, a na południe wysokim pasmem gór księżycowych. Ludność jest nieznaną dokładnie, utrzymują bowiem jedni, że ona wynosi 2,000,000, kiedy przeciwnie inni twierdzą, że 4,000,000 przechodzi. Obecnie Abissynja nie stanowi jednego państwa, ale jest rozdzieloną na różne królestwa, z których najznakomitszemi są: Gondar, Tigre, Lasta i konfederacja Gallas. Cały ten kraj jest skrapiany kilku rzekami dość znacznymi, mającemi swe źródło w górach. Najglówniejszemi z tych rzek są: Malek, Bahr-el-Azrec czyli rzeka błękitna, Nil abissyński, Bahandaura, Taccaze, Mareb i te wszystkie wpadają do Nilu, który tu bierze początek i ztąd płynie dalej przez Nubję i Egipt, do morza Śródziemnego. Hawach i Hamzo są znowu rzekami płynącemi w kierunku zatoki Arabskiej, ale niedoszedłszy do niej, giną w piaskach. Kraj ten posiada także wiele jezior, nawet dość znacznych, z których największém jest Dembeah, przez które Nil przechodzi. Obszerne to jezioro jest położoném w królestwie Gondar. Wiele także pasm gór przechodzi przez Abissynję, którą téż podróżnicy z tego powodu Szwajcarją afrykańską nazywają,

Dzięki licznym jeziorom i rzekom, a niezliczonej liczbie strumieni, a przy tém i perjodycznym deszczom, Abissynja posiada umiarkowany klimat, naturalnie, w porównaniu do tego, jaki istnieje w innych częściach Afryki. Obszerne lasy pokrywają wiele stron tego kraju, a pomiędzy składającemi je drzewami, można widzieć obficie: *cusso*, *vuginos*, *erytryn*, z owocem do koralu podobnym, *tamarynd*, rozmaite gatunki



akacji koleczastych, palmy daktylowe i różne inne bardzo ciekawe, a gdzieindziej rzadkie lub niezane nawet drzewa. Drzewo kawowe rośnie sobie tutaj dziko, na wielu stokach gór, a pomiędzy skałami można widzieć w najsuchszych i najjałowszych miejscach *euforbje* czyli ostromlecze drzewiaste. Mieszkańcy uprawiają sorgo, pszenicę, jęczmień i *sef*, czyli roślinę groszkową, której ziarno bardzo drobne, służy do wypieku ulubionych tu placków. Dwa zbiory rolnicze co rok mają miejsce w tej żyznej krainie; jeden z nich podczas pory deszczów, a drugi na wiosnę. W niektórych miejscach zbierają nawet aż trzy corocznie żniwa, co łatwo sobie wytłómaczyć można, skoro wiemy, że w tej części świata zimy ze śniegiem i mrozem nigdy nie ma, ziemia jest żyzna, wody do nawodnień pod dostatkiem, a słońce palące. *Ansete*, gatunek bananów i winorośl, są tu także starannie uprawianymi lubo Abissyńczykowie nie zbyt wiele wyrabiają wina, a za to znacznie więcej pewnego gatunku miodu, który stanowi ich ulubiony trunk. Po ogrodach spostrzega się wiele różnych gatunków drzew owocowych i jarzyn czyli warzyw. Na polach uprawiają wiele roślin olejnych, dotąd w Europie nieznanych jeszcze. Znajduje się też wiele tu drzew iglastych, z których zbiera się najprzedniejsze gatunki żywicy, jak np. między innymi: balsam judejski i mirrę.

Co do zwierząt czworonożnych, to są one tutaj liczne i bardzo rozmaite, co do swych rodzajów. Abissynja np. jest oddawna sławną ze swych gatunków wołów, jak np. wół *galla*, z ogromnemi rogami i wół garbaty. Obydwa gatunki zaliczają się do największych w świecie. Tutaj to także istnieją owe barany, których tłuste ogony od 30—50 funtów ważą. Abissyńczykowie nie wiele używają wielbłądów, ale za to korzystnie je bardzo zastępują osłami i mułami, zwłaszcza w okolicach górzystych. Wielka mnogość zwierząt drapieżnych, jak lwów, lampartów, panter, rysiów, hyen, szakali są prawdziwą plagą w Abissynji. Żyrafy, różne gatunki gazeli i antylop, małpy, dziki, nosorożce o dwóch rogach i hipopotamy znajdują się także w tym kraju, w którego południowych prowincjach

spotykają się jeszcze stada zebrów. Bawoły dzikie, w dość licznych gromadach napotykać się dają. W dolinach roją się zające, których Abissyńczycy nie używają na pokarm, uważając je jako zwierzęta bardzo nieczyste. Wiele ptaków szczególnych zaludniają lasy i zarośla; można tu widzieć strusie i wiele gatunków często potężnych wzrostem orłów, ale za to rodzaje ptastwa wodnego są tu niezmiernie rzadkie. Gatunki ryb tu-tejszych wód nie są dobrze jeszcze znanymi, lubo sądzić by można, że z powodu licznych wód i otaczających je urodzajnych gruntów, powinnyby być tutaj urozmaiconemi i obfitemi. Pszczoły, tak dzikie jak i pielęgnowane, są w niezliczonych rojach i stanowią w wielu prowincjach znakomitą gałąź miejscowego bogactwa. Wydają one przewyborny miód; a są tu gatunki pszczół, które obierają sobie siedlisko w jamach podziemnych. Szarańcza sprawia tu często nieobliczone klęski; ale najszkodliwszym owadem jest *Zemb* albo *tsaltsalja*, stanowiący pewien gatunek muchy, której widok, a nawet same jej brzęczenie tylko roznosi postrach i szalenie czyli gżenie się pomiędzy zwierzętami. Góry abisyńskie zawierają kopalnie miedzi i ołowiu, ale wydobywanie tych kruszców jest jeszcze dotąd bardzo niedoskonałe. W niektórych miejscowościach wydobywają złoto nadzwyczaj czyste, za pomocą przemywania piasków i zwirów i to z niegłębokich pokładów. Najczystsze złoto znajduje się w stokach gór, w prowincjach zachodnich. Na równinach położonych u stóp gór, natrafia się na sól oczkową w kryształach znacznych rozmiarów.

Nad brzegami to malowniczego jeziora Dembeah i w prowincji tego imienia, zgromadza się zawsze wybór ludności abisyńskiej, dla przepędzenia tam pory deszczów i dla roztrząsania i naradzania się nad ogólnemi sprawami kraju. Od sześćdziesięciu lat, ta prowincja jest niejako punktem centralnym rządów cywilnych i duchownych. Miasto Gondar, położone nad brzegami Cabby, która, przechodząc przez jego środek, rozdziela go na dwie połowy, zamieszkałe jest przez 11,000 famiji, które dotąd nie miały porządniejszych domów i żyły tylko w chatach, ulepionych z gliny. Od lat jednak kilku, eu-

ropejczycy, częściej tu pojawiający się, nauczyli ich wznosić sobie trwalsze i wygodniejsze pomieszkania i dobry przykład już poskutkował.

Abissyńczycy w ogóle są ludźmi dobrej budowy ciała i wzrostu wysokiego. Noszą oni włosy długie, a rysy ich twarzy mają podobieństwo z europejczykami. Kolor ich cery jest brązowy albo ciemno brunatny. Niektóre jednak plemiona mają cerę brunatno-oliwkową, a inne nieco popielatą. W ich fizjognomji spostrzega się też często niektóre oznaki, jakie się dają widzieć u murzynów. Plemię Enareeńczyków, które mieszka na południo-wschodzie, ma cerę najjaśniejszą, przeciwnie znowu plemię Chihos, które zajmuje pobrzeża morza Czerwonego, ma cerę najczarniejszą. Sąsiednie im plemię Hazortas jest koloru miedzianego. W środku Abissynji znajdują się nawet barbarzyńskie jeszcze plemiona, bardzo do murzynów zbliżona; plemiona te żyją w jaskiniach i w lasach. Główny dzisiejszy polityczny podział jest na pięć prowincji czyli tak zwanych *Raz*, zarządzanych przez tyłuż naczelników, którzy się stali niezależnymi, a to w skutku wojen domowych, które więcej jak przez pół wieku wyniszczały ten kraj tak hojnie we wszystko od Natury uposażony. Stolicami tych państw są: Axoum, Begemder, Gojoun, Gondar i Seaman. Książęta czyli naczelnicy tych państw są zawsze w nieporozumieniu z sobą, a ztąd też i częste wojny pomiędzy nimi. Być może, że kiedyś jeden z tych pięciu głównych władców zdoła opanować całą Abissynję i utworzyć z niej jedno państwo. Plemię Gallas jest tutaj najpotężniejszém, opanowało ono już niedawno kilka mniejszych państewek i utworzyło z tego jedno państwo, posiadające kilkanaście miast dość zamożnych. Ale połączeniu się całej Abissynji, staje to głównie na przeszkodzie, że rozmaite ludy, które się osiedliły na stokach gór i w dolinach Abissynji, różnią się bardzo, co do pochodzenia między sobą, a nadto mają różne obyczaje i język. Mieszkańcy stoków górskich nazywają się pomiędzy sobą Atiopowanami i utrzymują, że pochodzą od jakiegoś osady ludzi wolnych, z Północy przybyłych. Abissyńczycy zaś prawdziwi należą do rassy ludów etiopskich. Język

Amhara jest tu najpospolicij jeszcze znany. Język pokole-  
nia Tigre, zwany *Geez*, jest używanym do odbywania nabożeń-  
stwa, poczytują go tutaj za dyalekt pochodzący od arabskiego,  
a jeszcze więcj od starożytnego egipskiego. Znajduje się je-  
dnak w nim wiele wyrazów greckich. Na pobrzeżu morskiem,  
w Abissynji południowej i w kraju Gallas, używają innych je-  
szcze dyalektów, mało dotąd przez Europejczyków badanych.  
Religja Abissynczyków jest mieszaniną chrystyanizmu z judai-  
zmem. Naczelnikiem jój duchownym jest tak zwany *Abouna*,  
mianowany zawsze przez patriarchę koptyjskiego, z Aleksan-  
drji. Jest tu wiele klasztorów i zakonników, prawie wszyst-  
kich trudniących się rolnictwem. Nie wolno im kwestować,  
czynią śluby czystości, ale za to duchowieństwo świeckie może  
się żenić. Religja abissyńska pozwala na rozwody i wielożeń-  
stwo. W każdym tygodniu są tu dwa święta: Niedziela i Sobota.  
Abissynczycy uznają Matkę Boską i Świętych i do nich się  
modlą, ale pomiędzy niektórymi plemionami przechowały się  
jeszcze i szczątki różnych obrzędów pogańskich; plemiona bo-  
wiem dzikie czczą węże i odbywają wiele praktyk z fetysyzmu  
wziętych. Na wybrzeżu morskiem Islamizm przeważnie pa-  
nuje.

Rok u Abissynczyków zaczyna się z dniem Ścięcia ś-go  
Jana, które oni naznaczają na 1go Września. Dzieci i młodzież  
aż do ukończenia lat piętnastu chodzi nago, potem dopie-  
ro poczyną nosić ubiór, który jest bardzo prosty, bo skła-  
dający się z obszernj tuniki i płaszcza białego. Na głowę  
kładą wielkie turbany. Wielcy panowie abissynscy do tego  
stopnia posunęli swą niedołączną gnuśność, że aby uniknąć fa-  
tygi podczas jedzenia, każą swym służącym kłaść sobie do ust  
pokarmy: Ulubionym napojem Abissynczyków jest pewien  
trunek, sporządzony z wyfermentowanego miodu, nazwany  
*majze*, ale do którego składu wchodzi wiele opium. Pijaństwo  
jest dość pospolitęm we wszystkich klassach społeczeństwa.  
Lud z plemienia Gallas, smaruje sobie twarz krwią z zabitych  
zwierząt. Nauki i sztuki są w tym kraju bardzo jeszcze zanie-  
dbanemi, a przemysł fabryczny prawie żaden, gdyż znajduje

się kilka zaledwie fabryk tkanin bawełnianych, grubego sukna i broni siecznej. Port Massuah nad morzem Czerwonem, jest punktem najgłówniejszym całego handlu Abissynji z zagranicą. Ztąd to właśnie kupcy wyprowadzają złoto w proszku, kość słoniową, drogie żywice, niewolników i t. p., i tu nabywają na swe potrzeby Abissynczycy różne zagraniczne towary, jak płótna cienkie i sukna, wyroby blaszane, wyroby złote i srebrne, materje jedwabne i dywany perskie.

Abissynja—część tej obszernej przestrzeni, którą starożytni nazywali Etyopją, stanowiła przedtém potężne państwo, którego monarchowie przyjmowali tytuł króla królów etyopskich. Odpierała ona długo bardzo pomysłnie częste napady Muzułmanów z jednej strony, kiedy z drugiej odrzucała zwycięzko dzikie hordy Gallasów i innych plemion barbarzyńskich wraz z niemi złączonych. Dziś jednak potęga jej bardzo podupadła i rozdzieliwszy się, jej różne królestwa są w ciągłej wojnie z sobą. Obecnie jednak z przekopaniem międzymorza Suez, Abissynja musi wejść w związki bezpośrednie z Europą, co najkorzystniejszy tylko może wyrzucić wpływ na jej pomysłność polityczną i wewnętrzną. Port Massuah stanie się ogniskiem znakomitego handlu, który ożywi przemysł i rolnictwo wewnątrz tego bogatego kraju, pod każdym względem, dla którego dziś pożądnem jest jedynie koniec bezustannych wojen domowych i silniejsze pobudki do zwiększenia pracowitości mieszkańców, co nastąpi niezawodnie w skutku zbliżenia się z Europą. A handel z Abissynją będzie bardzo korzystnym, gdyż dostarczać ona będzie w ogromnych ilościach różnych nawet drogocennych materiałów surowych, za które przyjmie w zamian rozmaite wyroby europejskiego przemysłu.

Ztąd to kraj ten tak żyzny i bogaty, kraj prawdziwie mlékkiem i miodem płynący, ma w zetknięciu się swoim z Europą przyszłość wielką, na czém nie tylko zwiększenie bogactw, ale jeszcze i cywilizacja w tym kraju znakomite korzyści odniesie.

*Zygmunt Gawarecki.*

## PUSZCZA BIAŁOWIEZKA.

---

Nieraz w opisach Ameryki, Azji lub Australji, czytamy z wielkiem zajęciem opowiadanie podróżnika, zagłębiającego się w puszcze i lasy, ani ręką ludzką ani siekierą nie tkniętę. Zazdrościmy mu niejako jego wypraw i śmiałych przedsięwzięć, nie myśląc wcale o często grożących mu niebezpieczeństwach, tak od dzikiego zwierza, jak ludzi. Ciekawi badacze natury, pragnący ją poznać w tym stanie, w jakim jest niezmieniona jeszcze władzą człowieka, mogą również i w środku Europy bez trudów i niebezpieczeństw, nasycić swoją ciekawość. To bowiem, czegoby szukali w dalekich krajach, znajdują w Puszczy Białowiezkiej.

Puszcza ta, znaczną przestrzeń ziemi obejmująca, jedyną siedzibą żubrów, zwierząt już w całej Europie wygubionych, zachowana jest w części w pierwotnym stanie.

Przebywszy północno-wschodnie granice Królestwa Polskiego i przeprawiwszy się przez rzekę Bug, ciągle spotyka oko pola żyzne, starannie uprawne, nieco drzewami zarosłe i pięknie zabudowane wioski; zdaleka zaś, widać obszerny las, który poraz pierwszy wyraźniej widać ze wzgórków ponad miasteczkiem Orlą wznoszących się; jestto Puszcza Białowiezka.

Puszcza ta, w gubernji Grodzieńskiej, okręgu białostockim leżąca, jest odległą o 13 mil od Grodna i ciągnie się na 7 mil wzdłuż, a 6 w poprzek. Rzeka Narew oddziela ją od lasów prywatnych.

Na wschód, przedstawia ona ogromną przestrzeń lasami zarosłą, a na północ i południe kończy widnokrąg. Gdziekolwiek wzrok spocznie, wszędzie widzi tylko niebo i lasy, których ponura i czerniejąca postać, obok pięknych polnych okolic, przyjemnie się wydaje, tworząc dwa tak przeciwne sobie widoki.

Zachodnia część puszczy, z jednej strony przytykając niegdyś do granic Polski, a z drugiej Litwy, odznaczona

jest słupami, rowami i kopcami. Lecz jedna jej część od dawna należy do familji szlachty litewskiej Tyszkiewiczów; inne zaś drobniejsze cząstki, są prywatne. Cała Puszcza Białowieska, zawiera 22 mil kw. rozległości, i leży między 25° 29' i 52° 51' szerokości północnej, a 41° 10' i 42° szerokości wschodniej południka wyspy Ferio.

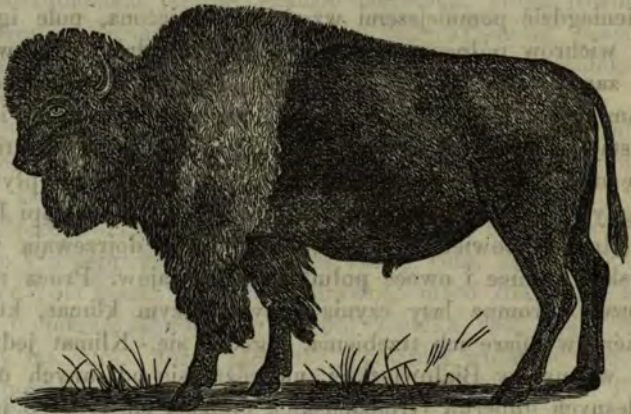
Nie szerokość geograficzna Polski i Litwy, jest tam przyczyną większej ostrości klimatu, niżeli pod tą samą strefą położonych innych krajów Europy, ale raczej niedostatek gór, przy obfitości lasów. Od brzegów Bałtyckiego morza aż ku Tatrom, rozciąga się wielka równina, zaledwie gdzieniegdzie pomniejszymi wzgórkami najeżona, pole igraszki wiatrów północnych i północno-wschodnich. Pierwsze nim zawitają do Polski, wieją przez śnieżyste i odwiecznymi lodami pokryte strefy; drugie lecąc z pustyni przez lasy i jary, stają się suche, chłodne i bardziej przez to ziębią atmosferę niż północne. Same nawet Tatry doznają ich wpływu; bo gdy od strony północnych Słowian zaledwie nastąpi lekka odmiana powietrza, po drugiej stronie dojrzewają węgierskie winnice i owoce południowych krajów. Prócz tego jeszcze, ogromne lasy czynią przykrzejszym klimat, który dopiero w miarę ich trzebienia, łagodzi się. Klimat jednak lasu w puszczy Białowieskiej, nie różni się od innych okolic leśnych gubernji Grodzieńskiej; opóźnia się tylko o parę tygodni wiosną; gdy bowiem w puszczy śniegi jeszcze leżą, na polach przyległych już rolnik bierze się ochoczo do uprawy roli; lato rzadko jest tam łagodnym, a zawsze prawie mgliste, dżdżyste, już to chłodne, już znowu dla upałów nieznośne; jesień za to sucha, łagodna, zastępuje porę letnią; zima nakoniec, długa i przykra.

Słowem, im bliżej puszczy, tém zimniej i zniwa też od 8 do 15 a nawet i więcej dni później się tu odbywają.

Nagły wzrost ludności, przymusił mieszkańców do znacznego wyniszczenia lasów, zładził powietrze i też same poczynił odmiany, jakie upatrują w krajach Niemieckich, porównyując je z epoką, w której żyli starożytni Germano-

wie. Temperatura więc powietrza na Litwie, kładzie Brinken 5,4° Reaumura, t. j. uważa ją średnią między temperaturą Polski 6° i Rossji 4,8° a to według spostrzeżeń od 80 lat czynionych i ztąd wnosi, że temperatura w puszczy Białowiezkiej musi mieć 5 stopni.

Znaczna część roślin i owoców północnych Niemiec, rośnie w tym klimacie, ale tam prędej, tu powolniej a nawet nie zawsze zupełnej dojrzałości dochodzi. Ze wszystkich drzew Białowiezkiej puszczy, najciekawszym jest świerk (*Pinus Picea*), który nigdzie więcej w Litwie nie rośnie i tu w bar-



Żubr.

dzo małej tylko liczbie się znajduje. Strzelcy znają go pod nazwą białego cisu. Główny jednak las, stanowi sosna rzadkiej dobroci, między którą można znaleźć i drzewo masztowe.

Po miejscach niskich i nad brzegami rzek, ciągle panująca wilgoć i mnóstwo roślin wodnych tworzą czarnoziem, który aczkolwiek częstokroć ugina się pod stopami człowieka, nie ma tam jednak trzęsawisk, tylko w jednym miejscu, w części puszczy, będącej własnością prywatną a z tych trzęsawisk daleko na wschód, za obrębem puszczy nawet się rozciągających, bierze początek rzeka Narew.



Oddawna czyniono spostrzeżenia, że wielkie lasy w ten sposób wywierają wpływ na klimat, że dostarczają wód, użyźniających okoliczne pola, szczególnie da się zastosować do Białowieskiej puszczy. Niezliczone bowiem strumienie w jej łonie biorą początek; kiedy przeciwnie z mniej obszer-nych lasów, które ją otaczają, płyną błotniste wody powol-  
nie.

Pod względem hydrograficznym przeto uważając; puszcza Białowieska zawiera w sobie bardzo wiele źródeł, dostarczających wody Wiśle, za pośrednictwem Bugu i Narwi; leży albowiem między rzekami: Białą, Leśną i Narwią, z któ-rych dwie pierwsze płyną z północy ku południowi, osta-tnia zaś z południa ku północy. Narewka, odnoga Narwi, wypływa ze środka puszczy, z błota Nikor, dzieli ją na 2 prawie równe części, płynie przy wsi Białowieży i po wyjściu z puszczy na północnej stronie o 6 wiorst za nią, wpada do Narwi, za miasteczkiem tegoż nazwiska, położonem w ob-wodzie Białostockim. Narew zaś i Bug, połączone około miasta Serocka pod imieniem samej Narwi, wpadają pod Modlinem Nowogeorgiowskiem do Wisły; obie są spławne, i nawet pierwsza od samego prawie źródła swego. Rzeka Le-śna, powiększona wodami rzeki Białej, wpada do Bugu pod miasteczkiem Pratulinem, na granicy Królestwa Polskiego. Narewka zaś i Biała, już wśród puszczy, dozwalają pływać po sobie czółnami.

Powierzchnię ziemi, na której las rośnie, równie jak i jego okolic, mieszkańcy nazywają wprawdzie górzystą, lecz niewłaściwie, gdyż nawet z trudnością przychodzi tam roz-różnić miejsca wyższe, z których spływają wody. Grunt w puszczy Białowieskiej jest rozmaity, najwięcej jednak pias-czysty; jezior prawie tam nie ma, a w wodach stojących, prócz raków, bardzo mało jest ryb.

Tak powszechnie odmienny grunt, już suchy i lekki, już wilgotny i ciężki, ma różne stopniowania; nawięcej jed-nak uderzają niektóre rozproszone po puszczy miejsca, gdzie

grunt jest wyższy od powierzchni rzek, a niższy od powierzchni ziemi, na której rosną drzewa.

Wilgoć sprzyja roślinom wschodzącym tam na żyznej ziemi do znacznej głębokości. Ziemia tu jest czarna, tłusta, zawsze wilgotna i za roztarciem w rękę przyjemny wydaje zapach. Żyzność tych miejsc rozproszonych po puszczy, czyni je podobnemi do urodzajnych wysp na morzu lub do szczęśliwych pagórków w pustyniach piaszczystych.

Podobne okolice rzadko obfitują w płody mineralne, czyli kopalne, przynajmniej grunt Puszczy Białowieskiej jest ich pozbawiony; bo oprócz rud żelaznych, nierzadkich w Polsce i Litwie, nic się tam innego nie znajduje; a przynajmniej nie odkryto. Bursztyn znajdowany w łonie ziemi Pruskiej i Królestwa Polskiego około miasta Ostrołęki i Łomży, a oprócz tego po wielu miejscach w Litwie, dotąd nie wiadomo, czy się znajduje w Puszczy Białowieskiej.

Ale największą osobliwością tej puszczy, są żubry. Corocznie następuje dokładne ich obliczenie, ułatwione wiele przez to, że pojedyncze żubry nie są zbyt bojaźliwe, a żyjące w stadach trzymają się zwykle pewnych obrębów zimową porą, w bliskości rzek i zdrojów, przy których stoją dla nich stogi siana. Każdy więc strażnik wie o ich liczbie w swym obrębie, uważając to po śladach zostawionych na śniegu przez żubry. Po wzajemném zniesieniu się strażników, każdy z nich donosi nadleśniczemu o liczbie żubrów, w jego straży się znajdujących. Ogólny ztąd raport przedstawia się każdego roku rządowi gubernjalnemu w Grodnie; raporta zaś strażników zostają w aktach puszczy.

Od jakiego czasu i jakim sposobem żubry w puszczy Białowieskiej zamieszkały, nie wiadomo, tak zaś do niej nawykły, że wielokrotne próby przeniesienia ich na inne miejsca, pokazały się bezskuteczne, gdyż one albo ginęły, albo znowu się do puszczy wracały.

Żubr, (wyobrażony na str. 122), od dawna był godłem nadzwyczajnej siły. Starożytni piewcy słowiańscy przydają mu prawie zawsze ulubiony epitetjary, ztąd też nasze przysłowie: „Sta-

ry ale jary.“ Wielka była siła żubrów, ale większa zaiste tych praojców naszych żylastej dłoni, co za rogi schwytywszy w szalonych skokach rozjuszonego olbrzyma puszczy, od razu powalili na kolana i tak kornego wyciągali z kniei. Co Litwini żubrem, w Mazowszu turem (Thur) nazywano. Nazwa przecież tura była powszechniejszą.

Lud nasz żadnych wspomnień nie zachował o żubrach, a wiele o turach i pod innem imieniem nie znał ich wcale. Falibogowski tylko jedno przysłowie z czasów Zygmunta III przytacza: „strzelać, by w żubra,“ było to strzelać prosto w serce, niechybnie. Używano mięsa z żubrów na stoły znakomitych panów, prałatów i kanoników krakowskich, którym Władysław Jagiełło w darze je przysyłał; mięsem tém żywiło się i wojsko. W Mazowszu blisko Rawy, trzody turów były dawniej dosyć liczne, lecz strzelać ich za Zygmunta Augusta, pod karą śmierci zabroniono. Król i panowie Polscy jedli ich mięso, wystawiwszy je wprzód na mróz i ze skóry ich z nad czoła, robiono pasy. \*)

Lud wiejski zamieszkujący wsie i osady puszczy, pochodzi z Litwinów i Rusi; zwykły jego ubiór składa czarna z wełny siermięga i chodaki z lipowój zwykle kory na nogach. Strzeley zaś, różnią się porządniejszém ubraniem; chodzą w butach, noszą wołoszki (burki) z szarego sukna, z kołnierzem i wyłogami na mankietach zielonemi.

Przemysł tutejszych mieszkańców ogranicza się na rolnictwie, chowie bydła i pszczoł po ulach i barciach, dostarczających żółtego i białego miodu, zwanego lipcowym, jakoteż wosku. Ze wszystkich miejsc zamieszkałych, wsi lub osad wewnątrz lub w około Puszczy Białowiezkiej rozsianych, wieś Białowieżę, lub Nową Białowież (od której i cała puszcza przybrała nazwisko) można uważać za główną osadę leśną tej puszczy i ona też zasługuje na szczególną wzmiankę. Wieś ta, leżąca prawie w środku puszczy i mająca na około przeszło 9 wiorst obwodu, jest najpierwszem

---

\*) K. W. Wójcicki.

otwartem miejscu, które się spostrzegać daje, jadąc przez pół dnia ciemnym i gęstym lasem. Przy brzegu Narewki wężykiem płynącej, w cieniu wierzb i olszyny; wznosi się pagórek ponad wsią i jej gruntami. August III, król polski, kazał w tém miejscu wystawić dom myśliwski, a następca jego Stanisław August, dodał do niego dwa pawilony.

W gmachu tym następnie nie zamieszkałym, chowano zwykle sieci na grubego zwierza. Chociaż tylko z drzewa wybudowany, zawierał jednak wszystkie wygodę, jakich może żądać strudzony myśliwiec. Była tam obszerna sala, w niej dwa kominki, a na około mnóstwo drobnych pokoi-ków z których wspinały przedstawiał się widok na rozległe pola i lasy, lecz w 1812 roku, jazda francuzka generała Latour-Mabourg, przechodząca tamtędy, zniszczyła wszystko.

Samo podwórze, gdzie niegdyś zgromadzali się myśliwi, gdzie dojeżdżacze ze sforowanemi psami niecierpliwie oczekiwali znaku odjazdu, już dziś zupełnie się nie znajduje; radość przemysłnego wieśniaka zamieniło je bowiem w żyzną rolę. W około zaś wzgórką, po obu stronach rzeki Narewki, ciągnie się wieś Białowieża, w której jest jeden kościół, kilkadziesiąt chat wieśniaczych i jedna karczma. Część licznych domostw u stóp tegoż wzgórza, tworzy niezłą ulicę, a inne rozsiane tu i owdzie bez ładu, składają drugą, mniejszą część wioski.

Straż leśna w puszczy Białowiezkiej (według p. de Ressica) składa się z 12 straży (strażników), z których każdy ma pod swoją komendą kilkunastu strzelców; a każdy znów z nich oddzielnego pilnuje obrębu. Nadleśniczy czyli Forsztmajster mieszka w Królowym Moście, tak nazwanym od mostu na rzece Białej, postawionego z rozkazu Augusta III, gdy ten w 1752 roku na polowanie tam zjeżdżał. — Wszystkich zaś chat leśnych, jest w ogóle 118, a nadto kilka wiosek włościan skarbowych, należących do leśnej zwierzchności, zwanych osocznikami. Ci, nie robiąc nigdy pań-

szczyzny, obowiązani są kosić siano dla żubrów i wysuszone składać w stogi, tudzież naprawiać drogi w puszczy, a w czasie dozwolonych polowań, składać obławę; w czasie zaś upałów lata, odbywać warty na głównych drogach przez puszcze idących, ażeby przejeżdżający nie rozkładali ognisk, z którychby bardzo łatwo mógł pożar w puszczy powstać. Ostrożność ta zaprowadzoną, została od roku 1811; wtedy bowiem przy końcu Maja wybuchły przez nieuwagę pożar w puszczy, niszczył ją mimo ratunku przez 3 miesiące bez przerwy; dopiero deszcz ulewny zagasił go zupełnie.

K. M.

---

## WYSPA ŚWIĘTEJ HELENY

W ROKU 1866.

---

Przed rokiem 1815 prócz marynarzy i jeografów, mała tylko liczba innych osób słyszała o tej małej wyspie, a raczej skale rzuconej wśród Atlantyku, a której nazwa od wspomnionego roku, połączona na zawsze z imieniem człowieka okrytego najwyższą chwałą wojskową, stała się znajomą od razu wszystkim, tak jak imię tego, któremu służyła za więzienie i za grób przez czas pewien.

W roku 1800, cała część uprawnej ziemi na wyspie Św. Heleny, była zajęta pod ogrody i pastwiska, niezbyt szczególne, bo zarosłe jałowcem i krzakami. Ówczesne opisy angielskie tej wyspy powiadają: Brzoskwinie są jedynymi owocami Europy, które tu się udają. Kapusta i inne warzywa są niszczone przez liszki, a wszelkie gatunki zbóż, są na pniu jeszcze zjadane przez mnóstwo szcurków, jakie tu się znajdują. Ludność całej tej wyspy, nieprzenosi 2000 dusz, rachując już w to 500 żołnierzy i 600 niewolników; głównem zatrudnieniem tej ludności, jest połów ryb, bardzo obfitych w tych stronach. Kompanja indyjska wysyła co rok jeden lub dwa okręta do

wyspy Sw. Heleny, aby jej mieszkańców zaopatrzyć w europejskie towary.

Opisy z najświeższych czasów, pokazują nam znowu jakie od owego czasu zaszły za zmiany na tej wyspie, które zmieniły zupełnie jej postać. Naprzód wyspa poczęła być więcej zwiedzana przez kupców i wędrowców, których opowiadanie o tej nieznannej przedtém skale, wznoszącej się wśród Oceanu samotnie, obudzają wszędzie najwyższą ciekawość. Pisma angielskie perjodycznie też donoszą o niej i z takowych można powziąć dokładne wiadomości o jej dzisiejszych stosunkach i ztąd téż to my właśnie bierzemy następujący opis, który zapewne czytelnikom Kalendarza pewne zajęcie sprawi.

Naprzód od r. 1800 ludność znakomicie się tu podniosła, gdyż dzisiaj wynosi do 7000 osób, wliczając już w to i załogę wojskową. Ludność ta składa się z krajowców, Europejczyków Murzynów i Chinczyków, lubo ci ostatni znajdują się w bardzo małej liczbie. Krajowcy zdają się być mieszaniną różnych rass wschodnich, pozostałe szczątki po dawnych niewolnikach, uwolnionych następnie przez kompanję indyjską. Murzyni zaś pochodzą ze zdobywcy okrętów, trudniących się dawniej handlem murzynami pomiędzy Afryką a Ameryką.

Liszki i szczury tak prawie wytępieniem zostały, że zbierają na wyspie dosyć teraz zboża. Rząd osądził za pożyteczne, wybudować tu młyn parowy do mielenia mąki z miejscowego ziarna. Handel rozwinął się tu nadzwyczaj. Średnia liczba okrętów pod wszystkimi flagami, jakie zawijają corocznie do portów Św. Heleny wynosi 905, a to wedle wykazów z ostatnich lat sześciu.

Jamestown, jest jak wiadomo stolicą całej tej wyspy, ale jestto przedewszystkiem miasto wojskowe. Fortyfikacja Ladderhill, która nad niem panuje, jest położona 600 stóp angielskich nad poziomem morza; dostać się do niej można po wygodnych schodach liczących 680 stopni.

Grób Napoleona I, jest około małej mili od miasta w dolinie Geranji, tak zwanéj z powodu znanéj pachnącej rośliny, która tam rośnie obficie. Jest on otoczony cyprysami; z wierz-

by zaś owej, pod którą Cesarz lubiał odpoczywać niema już i śladu, gdyż zwiedzający to miejsce, rozebrali ją po kawałku na pamiątkę. Miasto Longwood jest nieco dalej, bo o dobrą milę od Jamestown, a jest ono 700 stóp wzniesione nad poziom morza.

Zabudowania w których przemieszkiwał Napoleon, długi czas zostawały w zaniedbanym stanie i dopiero niedawno wzięto się do przywrócenia ich do dawniejszego stanu. Obecnie bowiem cała ta osada, która była rezydencją Napoleona I, zakupioną została na własność przez cesarza Napoleona III, wraz z dawnym domem i grobem. Dokonano wszędzie reparacji o ile tylko można było najzupełniejszych i teraz mieszka tu stale osoba przeznaczona do czuwania nad temi pozostałymi pamiątkami i utrzymywaniem ich ciągle w dobrym stanie.

Zarząd wyspy Św. Heleny składa się z gubernatora, któremu dodanych jest trzech radców. Obecnie gubernatorem jest admirał Sir Charles Elliot, oprócz niektórych dogodności w naturze jak bezpłatnego mieszkania z pięknym ogrodem, pobiera on tu pensji rocznej 2000 funtów szterlingów czyli 12 tysięcy rubli srebrem. Członkami zaś rady przydanej gubernatorowi są teraz: Sekretarz z ministerstwa kolonji, adwokat królewski i dowódca garnizonu.

Interes jaki wielu skłania do zwiedzania wyspy Św. Heleny, łatwo jest sobie wytłómaczyć wspomnieniami i pamiątkami, to też słusznie dziennik *Saint-Helena Guardian* na tej wyspie wychodzący, tak się wyraża w tym względzie: „Ze wszystkich kolonji jakie posiada Anglja, nie ma może ciekawszej dla wędrowca nad wyspę Św. Heleny. To też bardzo często okręty zbaczają nawet ze swęj drogi, aby tylko zwiedzić tutaj te miejsca, które były świadkami pobytu i ostatnich chwil życia człowieka który miał talent najznakomitszego wodza, jakiego świat wydał. J. k nie ma dziecka uczącego się, któreby nieczytało historji Napoleona, jego sławnych zwycięstw i jego więzienia na Św. Helenie, któreby nie przejmowało się opowiadaniem owych legend ludowych o wielkim wojowniku, tak nie ma podróżnika, do jakiego by on narodu nie należał, aby

stąpnawszy nogą po tej skalistej wyspie, by przedewszystkiem nie starał się zobaczyć grobu wielkiego człowieka, wpisać swoje imię w księgę wizytujących to miejsce osób i nie wziął na pamiątkę kilku listków z drzewa, co otaczało grób tego człowieka, któremu za życia świat był zamały, a któremu po śmierci kilka łokci ziemi na spoczynek wystarczyło, tak jak każdemu śmiertelnikowi zwyczajnemu. Żadna wyspa w świecie tak małych rozmiarów, nie doznała takiego rozgłosu, żadnej nie poświęcono tyle opisów, żadnej nie zwiedzano tyle i zapewne zwiedzać jeszcze będą bardziej jak inne, wyspę Ś. Heleny.“

Ale Św. Helena nie sama jest tylko szacowaną pamiątką historyczną; położenie jej jeszcze na pół drogi pomiędzy Anglią a Indjami, nadaje jej szczególną ważność, gdyż czyni ją często nieoszacowanym punktem wypoczynku dla okrętów, odbywających tę długą podróż po Oceanie. Zdrowość klimatu na tej wyspie, jest dziś wielce szacowaną i prasa angielska nalega słusznie ciągle, aby Rząd angielski z niej zrobił wielką stację militarną dla przyzwyczajenia do gorącego klimatu żołnierzy, przeznaczonych do służby w Indjach. Z miasta Falmouth w Anglii do miasta Jamestown na wyspie Św. Heleny, można się obecnie dostać we dwadzieścia dni i jest urządzona teraz regularna komunikacja pomiędzy temi dwoma punktami raz co miesiąc, mająca miejsce za pomocą staków parowych.

## P O E Z J E

### S E N D Z I E C K A.

(z Wiktora Hugo).

W ciemnej alkowie  
W ciszy i cieniach,  
Dzieciątko śpi.  
W kolebki głowie,  
Obraz w promieniach,  
Maryi łni.  
Zamknięte powieki  
Małe nieboże,

Nie patrzy w świat  
A w raj daleki,  
Tuż matki łoża,  
I anioł czat!  
Dziecię śni wiele  
A — chwilami  
Zsyła mu Bóg!  
W brylanty ściele

Łniąciami łzami,  
Pustynie dróg,  
I sto słońce płonie,  
Aniołów białych  
Unosi chór.  
W śnieżyste dłonie  
Dusze zbłąkanych  
Szum słychać piór!



Co go jedynie  
Cieszysz zadziwia.  
Ten widzi cud!  
Sam strumień płynie,  
Sam ptaszek śpiewa  
W głębinie wód!  
I ojciec stary,  
Siostrzyczek dwoje  
A piękne tak!  
Matka, czy czary?  
Ma skrzydła swoje  
Wzłata jak ptak!  
I więcej jeszcze  
Wśród szumnych świa-  
(tów  
Widzieć się zda!  
I głosy wieszczę,  
I tyle kwiatów,  
Dąbrowa ma!  
Jeziora czyste  
Z rybki srebnemi,  
Co śmieją się!  
Fale przejryste  
Z trzcinną złotemi,  
Nie szumią nie!  
Dziecię śpij w ciszy,  
Twa dusza młoda,  
W niewinnym śnie!  
O temu nie słyszysz.

Dla cię swoboda,  
Słoneczne dni.  
Jak liść zwiędniony,  
Rwany potokiem,  
Sam płynie w dal.  
Tyl mój pieszczoney  
W śnie tak głębokiem  
Idzień wśród fall!  
Nic cię nie trwoży,  
Nic cię nie boli,  
Choć piorun tam  
W chmurach się sroży  
Nad tobą stoi,  
Choć jesteś sam!  
A ziemia ręka,  
Na gładkiem czole,  
Piszę ci już:  
„Jutro cię czeka  
Ból, niepokoje,  
I gromy burz!  
O! śpij niewinny  
Anioł pogody,  
Co lepiej zna!  
Ten świat tak zimny  
Życia zawody,  
W pieczy cię ma!  
I żal mu ciebie,  
Dziecię biegnące,  
W tę mglistą toń!

Tuli do siebie,  
W pióra błyszczące  
Twą młodą skroń!  
Gdy usta twoje,  
Anioł całuje,  
W oczach ma łzy.  
Nieba podwoje  
Wciąż mu wskazuje,  
Pierzchają sny.  
Dziecię w uspieniu;  
Widzi anioła,  
Uśmiecha doń!  
Anioł w milczeniu,  
Do ust i czoła,  
Podnosi dłoń!  
A matka czuwa  
Słyszysz westchnienie  
I trwoży się!  
Zlekka usuwa,  
Niby z mgły cienie  
Zasłony tle.  
Co dziecię kryją,  
Lica mu płoną,  
Jak listki róż!  
Godziny biją.  
W kościołach dzwona,  
Dzień świta już!  
*Liljanna.*

## GÓRNIK.

Czy znacie górnika Warszawskie wy dzieci?  
Czy wiecie wy w jakiej przebywa on stronie?  
A jednak gaz jasno w latarniach wam świeci,  
I węgiel kamienny pod kuchnią też płonie \*).  
I lemiesz z żelaza skiby ziemi kraje,  
I dachy cynkowe z jego łaski macie,  
On ciepło i światło do wygod wam daje;  
A jednak niewdzięczni, o wy go nie znacie!  
Gdzie Olkusz prastary, gdzie czarna Dąbrowa:  
W około kolonjiom użyzcza schronienia \*\*).

\*) Wiadomo powszechnie, że węgiel kamienny dziś tak ważne oddający usługi, w największej obfitości znajduje się w okolicach Dąbrowy, stolicy Zachodniego Okręgu górnictwa kopalnie zaś rudy cynkowej i żelaznej, w wielkiej liczbie położone są w stronach starożytnego miasta Olkusza, w miejscach gdzie dawniej wydobywano srebro. O tych kopalniach krąży w ustach ludu podanie, że 8-ty Jan Kanty zgorzszony zbytkami zubożonego ludu w tém miejscu, otrząsł proch obuwia swego na te źródła grzesznego zapomnienia i odtąd znikły pokłady rudy srebrnej, a woda w wielu miejscach porobiła niedostępne przepaście.

\*\*) Ubiór górników jest bardzo malowniczy: składa on się z czarnej krótkiej bluzy, z pasowemni wypustkami, o małej pelerynce wycinananej w zęby i szerokiego rzemiennego pasa z mosiężną kłamrą, na której się znajduje godło górnictwa, to jest młot i kilof na krzyż złożone (co tam trochę z niemiecką nazywają glikanfem), niższa część ubrania jako też i czapka, bywają zwykle granatowe, a cały ten strój dziwnie przypada do twarzy dorodnego ludu stron tamtych.

Tam kwitnie górnictwo, tam to lud się chowa,  
Dorodny i zdrowy, choć niby wśród cienia.  
Jeśliście początkiem choć trochę znęceni,  
To chodźcie wraz ze mną za światłem płomyka,  
A ja wam pokażę wśród mroku i cieni,  
Wysmukłą postawę dzielnego górnika.  
Nie patrzeć mu na twarz bo tutaj on błąd,  
I postać ma smutnie ku ziemi nagiętą,  
Zobaczcie gdy z lica znikną czerni ślady,  
I cały się strojnie wyświeży na święto,  
Więc kitle ma czarną z wypustki krasnemi,  
A nawet w aksamit przystrojona czasem,  
I czapkę sukienną z godłami własnemi,  
A postać rzemiennym obciśniętą pasem.  
A taki w nim zapał jaśniej odczłoczy,  
Tak umie szacować hojne Niebios dary,  
Ze chociaż go przestrasz w kopalni otoczy,  
Zmoże go westchnawszy do Świętej Barbary.  
A wielkiż dla niego dzień Świętej patronki,  
Jej chwala go tylko natenczas zatrudnia,  
I ciepło zapału rozgrzewa mu członki.  
Co nie da mu zadrzeć od zimna wśród Grudnia.  
Cóż jemu że ziemia zbielona dokoła.  
Ze ciepłem ożywczem przywabia kominek,  
Godzina go szósta do pracy powoła,  
A północ przyspieszy żądany spoczynek.  
A choć nie jednemu za grobowe schronienie,  
Podziemne kopalni zostało zacisze,  
To miłe górnikom te czarne sklepienie,  
Młot, kilof to dla nich mili towarzysze.  
Raz jakiś pieścioszek zagadnął górnika:  
„Jak możesz w tę otchłań wstępować podziemną?  
Gdzie dość rzucić okiem, a zgroza przenika,  
I trupem paść można— tak duszno i ciemno?”  
— „Ha prawda! odrzecz mu górnik sędziwy,  
Do tego mieć trzeba odwagę i siłę,  
W tej zginął kopalni mój ojciec poczciwy,  
I starszych dwóch braci znalazło mogiłę.”  
— „I śmiesz że w niej jeszcze pracować nieboże,  
Gdy oni tak strasznej doznali tu doli?”  
— „A pan czemuż nie drżysz wstępując na łożo,  
Gdzie ojciec i dziad twój konali powoli.  
Umrzeć można wszędzie, wszak zawsze mój panie,  
Nas wszystkich na ziemi niechybna śmierć czeka,  
Róż nie ma bez cierni w żadnym tutaj stanie,  
A wszystkich nas Boża ogarnia opieka.  
Bójmyż się jedynie do złego nałogu,  
A gdy nasz trud krwawy kraj cały bogaci,  
To mniejsza i ginąć, gdy śmierć nasza w Bogu,  
Spotka nas na drodze pożytku współbraci!”

*E. Leja.*

## KRAJOBRAZ.

(z poematu p. t. Sieroca dola).

Na przestrzeni jak oko zasięga,  
Bładem światłem księżycą oblanej,  
Rozwijały się zielone łany,  
I szerzała ciemna lasu wstęga.

Kilkanaście nędznych chat w dali,  
Ze strzechami poszytymi słomą,  
Noc obwiała ciszę nieruchomą.  
Księżyc kapał w swej srebrzystej fali.

Patrząc na nie w tej wieczornej ciszy,  
Rzekłby może wędrowiec złudzony,  
Że to jakiś świat błogosławiony,  
W którym wszystko szczęściem tylko dyszy.

Nim to powie, niechaj wyjdzie z błędu,  
Niech raz jeszcze okiem rzuci w około,  
A z pewnością zachmurzy mu czoło,  
To co ujrzy w końcu chatek rzędu.

Znać tam świeżo zginęło z pożarem,  
Dwóch wieśniaczych rodzin nienie marne,  
Bo widnieją opalone, czarne  
Dwa kominy na tle lasu szarem.

Po za nimi nieco jakby w gniewie,  
Spoglądając na świeże nieszczęście,  
Wiatrak w górę podnosi dwie pięście  
Chce uderzyć, ale kogo?... nie wie.

Z drugiej strony sterczy wzgórze małe  
Na niem siedzi w zadumaniu dziad stary,  
Przyodziany w szmat sukmany szarej,  
I odgarnia z czoła włosy białe....

I coś szepcze.... co?... może pacierz,  
Lub wspomina swej nędzy przyczyny,—  
I swą przeszłość.... Przyjaciel jedyny  
Wierne psisko torby jego strzeże.

A pod lasem wijącą się drogą,  
Niespokojnym i pośpiesznym krokiem,  
Niby spadłym zatrwożone mrokiem,  
Idzie łopię ubrane oubogo.

Nad tём wszystkim świeci Niebo blade,  
Ledwie kiedy przemknie chmurka biała,  
Ledwie czasem spadnie gwiazdka mała,  
Lecąc gwiazdę odwiedzić sąsiadę.

Był to jeden z takich krajobrazów,  
Jakie pędzlem malują mistrzowie,  
Ktoby chciał go w żywem oddać stanie,  
Barw by musiał dobrać do wyrazów.

*Wotody Skiba.*

## NIEZGODA LICHA WARTA.

(Gawęda przy kominku).

Na polance pod lipami,  
Niska sobie chatka stała,  
I stodółka z podpórkami,—  
Dla bydelka stajnia mała,  
A w tym dworku zdawien dawna,  
Sodalisów dwóch mieszkało,  
Szlachta nawet niegdyś sławna,  
Na sejmikach jak bywało.  
Ową chatkę to w przekazie,  
Któryś z nich wziął po krewniaku;  
Jakoż trafił: lasy... mazię...  
Rola licha, pniak na pniaku.

Piotra z Pawłem (tak się zwali)  
Szczerzy afekt łączył zawdy,  
A zaś tak się miłowali  
Że zazdrościć im doprawdy.  
Ale, choć to grzech jak wiecie,  
I tu wkradła się niezgoda:  
Zwady, kłótnie, a toć przecie,  
W ludziach płynie krew nie woda.  
Więc i nieraz:— zawsze prawie,  
Wstyd się jeno potem łyka...  
Zaczną kłótnię — a po sprawie:  
*Kwita z byka, za indyka.*

Z małej chmurki często burza;  
Ot, i tutaj tak bywało,  
Nieraz czoło Piotr zachmurza,  
Krzyczy wiele, powie mało.  
Paweł głupstwo przyjmie wzgardą,  
Lecz gdy Piotr mu wciąż dojada.  
O! to wzniesie głowę hardo,  
I odrąbnie jak wypada,  
Ot, dziś znowu... wóród hałasnu,  
Człowiek słowa nie doprosi:  
Pomnij Piotrze, że do czasu,  
*Dzban gliniany wodę nosi.*

Próżno rzucić groch o ścianę!  
Piotr zwykłego dostał bzika,  
Wyjdzie z tego przepomniane:  
*Kwita z byka za indyka.*

— Panie Pawle! nie przelewki!  
Zemną wrzaśnie— żartów nie ma!  
— Stare rzeczy, dawne śpiewki.  
Jak waść piękny gdy się żyyma!  
Czyż się złękne waszej dłoni?  
A od czego kord przy boku?  
Poznasz waszeć jak zadzwoni.  
Jak krzyżową błysnie w oku!  
Chcecie zwady, to się złoże,  
Nie, to zgoda niechaj stanie,  
Lecz nie kłótnia! w Imię Boże!  
Tak nie żyją Chrześcijanie!

— Co? co? zgoda?! Panie bracie!!  
Nie dam sobie dmuchać w kaszę!  
Cóż morały mi gadacie?  
Tu,—rozsądzą nas pałasze!

I dobyli dwie szablice,  
Potargnęli węża gniewnie,  
Piotr marsowo stawi lice,  
Paweł złęknie się go pewnie!  
Brzękną kordy! Piotr odskoczy,  
A po małej chwili czasu,  
Puszcza szabłę! dłoń krew broczy:  
*Nie wywołuj wilka z lasu!*

— Ranny waszeć? lekko przecie!  
Ha! na przyszłość wam nauka:  
Bo to zwykle już na święcie,  
*Znajdzie guza kto go szuka!*  
Czyż nie lepiej zgoda święta,  
Gdy nas w węzeł złączy bratni?  
Piotr o Pawle niech pamięta,  
Dzień podobny, to ostatni!  
Więc mi podaj dłoń łaskawie?  
Bo cóż z głupich zwad wynika?  
Ot, jak dzisiaj, zawsze prawie:  
*Kwita z byka za indyka!*

Władysław Betza.

# GÓRAL.

I.

W wdowiej chacie nędza się rozsiada:  
Stara matka od strapienia błada,

I choć młodość siły mu dość dała,  
I do serca dość miłości wlała,  
On nie może w górskiej biednej ziemi  
Zapracować rękami silnemi.



Pożegnanie Górala.

Po swym gaździe wdowie łzy ociera,  
I na dziatwę boleśnie poziera.  
Bo głód biednym dokuczył nie mało,  
A jej chleba dla głodnych nie stało.  
Antek z dzieci najstarszy parobek.  
Chociaż wyjdzie na górski zarobek,  
Wraca często z próżnemi rękoma.  
Jeszcze samby pokrzepił się doma.  
Więc łaża nowa w matki licu staren,  
Kiedy widzi, że syn jej ciężarem.

Więc na ścianę zadymionej chaty,  
Kędy wiszą gaźdy stare szaty,  
I kapelusz, burka, pas i worek,  
I kółeczko drutu i toporek,  
Wzrokiem łzawym biedny chłopak rzuca  
I piosenkę swęj doli ponuca:  
— „Matko droga, matko moja biedna  
Rzekł powstając, ty tu sama je dna  
Musisz zostać. Ja dłużej w tęj chacie  
Być nie mogę ciężarem. Mnie dacie

Tę po ojeu stareńkim spuściznę,  
I z nią pójdę; i tę ojcowiznę  
Oddam kiedyś wam z dorobkiem całym  
Tobie matko i mym braciom małym.  
Pójdę tęskniąc za wami; o! drodzy  
Tam gdzie chodzą wszyscy tak ubodzy.

I pożalić się tułaczey doli,  
I tu z wami zostać — i bogato  
Tą ojcowską gaździe znowu chatą.  
Bóg pozwoli pewno góralowi,  
Więć nie płaczcie i bywajcie zdrowi!  
I to mówiąc sam swe łyzy ocierał



Góral siedzący.

Od wsi do wsi, od chaty do chaty,  
Jako ojciec mój chodził przed laty.  
Będę chodził i na smutną nutę  
Będę wołał o garnki zepsute.  
Nie płacz matko! nie płacz matko droga.  
Jeno ufaj w miłosierdzie Boga.  
Ja grosz każdy, co w tę torbę wrzuce  
Tobie oddam, gdy do domu wróce.  
A Bóg dobry wrócić mi pozwoli,

I spuściznę po ojeu przebierał.  
Pas obwiązał na biodra i worek,  
Drut na rękę zwiesił i toporek,  
I za nogi uściskawszy matkę,  
I swą drobną rodzoną czeladkę,  
Głodny, smutny porzucił swą chatkę.  
Wybiegł rączo, po skałach się wspina  
A łyzy gorzkie po licu mu cieką,  
Smutna jemu wybiła godzina;

Bóg i Niebo tylko mu opieką.  
A przed chatę wyszła stara wdowa  
I dzieciątek wyszło małych troje:  
On ostatnie mówiąc jej „bądź zdrowa!”  
Biegł na smutne z strasznym losem boje.

## II.

Pyszne miasta, pałace bogate  
Za rodzinną nie obstoją chatę.  
Wszędy pięknie, cudnie i wspaniale,  
Lecz to nie to — co wirchy i hale!  
Moje wirchy, moje drogie skały,  
Mój rozkoszny świat góralski cały!  
Tu mi ludzie obcy i powietrze,  
Tu mi lico codzień coraz bledsze,  
Co dzień serce mocniej w piersi bije,  
I łza smutku ogień z oczu pije.  
I gdy chodzę od domu do domu,  
Ani przyjdzie na myśl z ludzi komu.  
Jak tułactwo to moje okrutnem.  
Chyba pozna po wołaniu smutném,  
Co jedyną jest piosenką moją  
Za rodziną tęskniącemu swoją. —  
Tak się biedny Antek Bogu skarży,  
Gdy usiadłszy na wzgórzu pod drzewem  
Tłumi ogień, co się w sercu żarzy,  
I zapala na niedolę gniewem.  
Biedny Antek, ciężka z drutu praca,  
Cięższa jeszcze tułacza włóczęga,  
Próżno oczy w strony gór swych zwraca  
Próżno ręką w pusty worek sięga,  
Co zarobił to i zjadł nieboże,  
Boć o głodzie i chodzić nie może.  
Codzień jakaś nadzieja go grzeje,  
Lecz zwodnicze są ludzkie nadzieje...  
Dni, miesiące płyną... płyną lata,  
On wciąż chodzi z posmutniałą twarzą  
Grosz mu dadzą gdy garnki połata,  
Lecz miłością nigdzie nie obdarzą.  
Gawiedź ludzi próżnych, niegodziwych  
Często sobie igraszkę zefi stroi,  
Jego włosów długich, oczu tkliwych  
Nastraszone pachole się boi...  
I on idzie biedny jak straszdyłło,  
Poniewierką idzie i pośmiechem —  
Aż mu życie ludzkie tak obrzydło,  
Że i miłość stała się mu grzechem.  
Czasem ludźmi za ich złość się brzydzi,  
Czasem zamiast kochać — nienawidzi.  
I zbolewały siedząc w domów progu,  
Czasem grzeszny zabluzni i Bogu.  
Ale Antek nie mógł już tak długo.  
Sweż niedoli być mieszczącym sługą.

Chociaż pustą jego torba była,  
Chociaż zima ziemię pośnieżyła,  
Chociaż biedny wiedział, że gdy wróci  
Tak ubogi — znów matkę zasmuci,  
Nie mógł dłużej tułać się w dolinie,  
Nie mógł wyżyć; choć swojej drużynie  
Znowu będzie jako był ciężarem —  
Lecz się puścił śnieżystym obszarem,  
I tą myślą, że powraca w góry,  
Taki strojny, jak ptak złotopióry,  
Taki lotny jak orzeł Tatrzański,  
Taki wielki był, jak Święty Pański.  
Precz mi wszystkie wielkości grodowe,  
Zamki, miasta, bywajcie mi zdrowe!  
Ja z radości serdecznej zapłacę,  
Że już nigdy was tu nie zobaczę.  
Nie mnie patrzeć na wasze przepychy,  
Nie mnie słuchać waszych niecich gwaru  
Ja górskiego syn wolny obszaru —  
Choć do Niebios dosięgnę, tom cichy.  
Mnie też takiej tam ciszy potrzeba,  
Mych gór świętych i mego Nieba.  
I krzyż święty złożywszy na skroni  
Resztę drutu owinął na dłoni,  
I kapelusz przycisnął na głowę,  
I rzekł miastom: Bywajcie mi zdrowe!  
I jak z klatki ptaszek wypuszczony  
Albo więzień z kaźni długoletniej —  
Chyżo leciał w swe ojczyste strony,  
Od purpury jaśniejący świetniej. —

## III.

A tam w chacie grobowe pustkowie.  
Dni żaloby skończyły się wdowie.  
Zmarła biedna — a głodne sieroty  
Poszły światem. Antek swej tęsknoty  
Nie zagoił pociechy balsamem,  
Lecz zgryzotą i strapieniem samem.  
Ale boleść jego mniejszą była —  
Choć sieroctwem w serce ugodziła,  
Aniżeli tam w dolinach; z dala  
Ojczystego domostwa górala.  
On się rzucił na swej chaty progu,  
I dziękował najprzód Panu Bogu:  
Że mu wrócić pozwolił do domu.  
Potem otrząsł się z smutków ogromu,  
I do pracy jął się całą siłą.  
I nad matki modlił się mogiłą.  
I Bóg zdarzył, że dziatwę rodzoną  
Zebrał znowu w chatę odnowioną.  
I przygarnął w ojczyste ognisko,  
Tych, co może śmierci byli blisko.  
I nauczył ich życia i cnoty

I zagoił sieroce zgrzyzoty.  
I dziś znowu w tej chacie górala  
Szczęście swoje ognisko rozpala.  
Dziatwa siedzi w chacie swego brata,  
A tam matka z grobu błogosławi,  
Że rodzinna ocalona chata.  
Że jej duszę... to szczęście wybawi.  
Antek różne opowiada rzeczy:

On sam poznał w wędrówce żywota  
I w niej odgadł, co największa enota.  
A więc baczcie moi bracia młodzi:  
Każy kocha ką w którym się rodzi,  
A my biedni górale najbardziej,  
W tej miłości winniśmy być twardzi.  
Lepiej krwawe lzy wciąż gniań ścieiaj  
Lepiej nawet i z głodu umieraj—



Chata góralska w Tatrach.

Jako żywot jest trudny człowieczy;  
Jako trzeba umieć sobie radzić.  
By sumienia i serea nie zdradzić.  
Przedewszystkiem zaś daje naukę:  
Że największą, najtrudniejszą sztukę  
Więc słuchajcie mię; rodzinnej chaty  
Nie porzucac mi nigdy, na Boga!  
Choćby całe wzywały was światy,  
Choćby nęda przycisnęła sroga.

Klęę na Boga was moje rodzeństwo,  
Nie odchodźcie z swęj rodzinnej chaty,  
Tam świat wielki, świat pyszny, bogaty.  
Ale dla nas górali, przekleństwo!  
Tu mi zostań kędyś się urodził,  
Tu Bóg bliżej twęj rozkosznej ziemi,  
Bo najpierwszem między prawy twemi  
Jest: nie będziesz po równinach chodził!  
I tak Antek swojej dziatwie gada



Aż się jego rozjaśnia twarz blada,  
Aże oko błyszczy życia blaskiem,  
Czego żadnym nie oddasz obrazkiem.

I szczęśliwi tak żyli w tej chacie  
Biedna dziatwa przy uczciwym bracie.

J. K. Turcki.

## SPOSÓB NA SUMIENIE.

Pan Jan z rana rzuca łożko,  
Głowa jego lekka!...  
Sięgnął rękę... pod poduszką,  
Była portmonetka.

Wziął ją zatem i na dłoni,  
Oblicza co mieści!...  
Sreberko mu w uchu dzwoni,  
Papierek szeleści!

Ach! jaki to szelest luby,  
Jakie miłe dźwięki!  
Musiał zacnie ten grosz luby  
Wpaść do jego ręki.

Zacnie! to już samo przez się  
Rozumieć się musi:  
Pan Jan z ludzi grosza nie ssie,  
Procentów nie dusi.

Więc też wdowie i sierocie  
Grosz ten nie wydarty,  
Lecz zyskany w czoła pocie  
Bo... wygrany w karty.

Pan Jan wziął się do ubrania,  
Potem wyjść miał chętkę,  
W tem sumienie mu się skłania,  
Prosząc na gawędkę!

„Nie mam czasu me kochanie,“  
Rzekł pan Jan nieśmiało,  
„Pogadajmy panie Janie,  
Choc chwileczkę małą!”

Próżno pan Jan wynajduje  
Wykręt coraz nowy.  
Ze go sąsiad oczekuje,  
Ze cierpi ból głowy,

Ze go surdut pije w pasie,  
But w odcisk dolega,  
„Musisz ze mną mówić wasze!”  
Sumienie nalega.

Nie mogąc wskórać z natrętem,  
Pan Jan wzrok do ziemi  
Spuszcza i z widozonym wstrętem  
Rzekł słowy temi:

„Powie ci, gdyś tak ciekawe  
I takie uparte!...  
Wczoraj losy mi łaskawe  
Dały dobrą kartę.

Zgrałem Piotra do koszuli,  
Nic a nic mu nie szło:  
Pięćset punktów w pierwszej puli,  
W drugiej tysiąc przeszło...

Dziś się za to ze mną utnie,  
Kupię mu śniadanie...”  
Sumienie odrzekło smutnie:  
„To źle panie Janie!..

To przynosi ci zakałę,  
To ciebie niegodne.  
Pomyśl... Piotra dzieci małe  
Będą dzisiaj głodne...”

Pan Jan zmartwił się niezmiernie,  
Słyszac te wymówki,  
I poszedł zwiedzić cukiernię,  
Słynną z anyżówki.

Lyknął kielich, nawet parę,  
Już miał *quantum* trzecie  
Połknąć, gdy sumienia marę  
Ujrzał przy bufecie.

Pogroziło mu surowo.  
Pan Jan czmychnął dalej,  
Przypomniał, że sobie słowo  
Z panem Piotrem dali.

Przy śniadaniu na wysięgi  
Chłoną dwaj kompani,  
Mięsa, pasztety, ostrygi,  
Portery, szampany.

Wreszcie po godzinach paru  
Takiego częstunku,  
Śmiechu, krzyku, wrzawy, gwaru,  
Przyszło do rachunku.

Czyta pan Jan kartkę daną,  
Sprawdza obliczenie,  
W tém spostrzega— podpisano:  
Za zgodność— *Sumienie*.

„Bodajże porwali kaci,  
Kartkę bibulastą!”  
Myśli pan Jan, szybko płaci,  
I rusza na miasto.

Nie trzyma się prostej drogi,  
Do domu nie garnie,  
Boć ulice mają rogi,  
Na rogach winiarnie.

Przy likierku malinowym,  
Miła każda chwilka,  
Więc na rynku tym i owym,  
Łyk kieliszków kilka.

Tak popijał aż podchmielił  
Pan Jan co się zowie,  
Umysł mu się rozweselił,  
Rozjaśniało w głowie.

A kiedy się znów z sumieniem  
Spotkał za godzinkę,  
Sklonił mu się z uniżeniem.  
Zrobił słodką minkę

I rzekł: „Widzisz, po co dąsy?  
I wymówki na co?  
Chociaż w wodce maczam wąsy,  
Przeciem nie ladaco.

Jeszcze by się połknąć dało,  
Po jakim kieliszku!...“

A sumienie powiedziało:  
„Wybornie braciszku!“

Korzystając z pozwolenia  
Nasz pan Jan aż rośnie:  
„Zdrowie czystego sumienia!“  
Zawołał radośnie.

I wychylił lampkę całą  
Tęgiego araku,  
Aż mu oko pobiełało  
Od miłego smaku!

I tak go też doskonale  
Uśpił haust ostatni,  
Żeby go niezbudził weale  
Nawet strzał a armatni.

A sumienie snu miłego  
Mu nie przerywało,  
Tylko sobie obok niego  
Pod ławą chrapało.

Odtąd pan Jan nieboraczek,  
Gdy sumienie gada,  
Zwykł je prosić na araczek,  
To jedyna rada.

*Wołody Skiba.*

## Stare Baśnie.

### I.

Przyszedeł sąsiad do sąsiada,  
Stare baśnie opowiada. . . .  
O rusałce, co to szybka,  
Pół dziewica, a pół rybka,  
Po srebrzystych wód przezroczu  
Czarem pieśni, czarem oczu,  
Śmiertelników nęci dusze,  
Na rozkosze i katusze. . . .  
I o widmach, czarownicach,  
O upiorach i martwicach.  
I o całym duchów roju —

Co w pokoju, w niepokoju,  
Dobłą dolę i złą dolę  
Sieją po tym łez padole. . . .  
Opowiadacz z czuciem, z wiarą  
Głosi przeszłość tę prastarą —  
Choć nie widział jej oczyma  
Lecz zwątpienia w duszy nie ma.  
Sąsiad wierzy i niewierzy,  
I zdumionem okiem mierzy  
Swego kuma i sąsiada,  
Co te cuda opowiada. . . .  
Przypomina tylko sobie,  
Niby przez sen w owęj dobie,

Se gdy jeszcze był dziecięciem,  
I uchał z trwogą i z zajęciem,  
Z ust piastunki — owe baśnie,  
Nim bywało w końcu zaśnie. . . .  
Lecz i w lata już dzieciinne  
Za przesady miał je gminne. . . .

## II.

Przyszedł sąsiad do sąsiada,  
Stare baśnie opowiada. . . .  
Jak bywało, byle sochę,  
Przeprowadzić przez płaszczyny,  
I podrapać ziemię trochę,  
Bujnie grunt zarodził żywny.  
A bywało gdy zarodzi,  
O zbiór troszczyć się nietrzeba —  
Bo zarobku chcąc dla chleba,  
Do około lud się schodzi. . . .  
A gdy sterty staną w toku,  
Jeszcze nawet przed omłotem,  
Gdańscy kupcy — jak coroku  
Za pszeniczkę płacą złotem.  
Opowiadacz nie wymarzył,  
Nie przesadza swoich wieści.  
Bo sam przecie gospodarzył  
Będzie temu lat czterdzieści,  
Sąsiad wierzy i nie wierzy —  
I zdumionem okiem mierzy  
Swego kuma i sąsiada,  
Co te dziwy opowiada. . . .  
Przypomina tylko sobie,  
Niby przez sen w owej dobie,  
Ze nieboszczyk dziad bywało  
Co obszernem mieniem władał,  
Gdy mu gderać się zachciało,  
Podobnego coś powiadał.  
Lecz dziś — choć jest agronomem  
I dziedziczną rządzi wioską,  
Skrzętny w domu i za domem —  
Wie najlepiej — z jaką troską  
Dziś uprawiać rolę trzeba —  
Jak obsiewek i sprzęt zmućny,  
Bo choć plonem cieszy gleba,  
Lecz robotnik drogi, trudny. . . .  
A z kupcami — co za bieda!  
Ceny niskie, zbyt mozolny —  
I częstokroć grosza nie da,  
Całoroczny zakręt rolny. . . .

## III.

Przyszedł sąsiad do sąsiada,  
Stare baśnie opowiada. . . .

Jak bywało grosz był łatwy,  
Jak go pełno zawsze było,  
I zostało dość dla dziatwy,  
Choć nie skapo też się żyło. . . .  
A o kredyt — to bywało  
Jak o łaskę, sami prosza,  
Gdy ci tysiąc brakowało,  
Sto tysięcy ci przynoszą.  
O obligu, nikt nie pisał,  
W kalendarzu tylko znaczył —  
I kolana jeszcze ścisnął,  
Czyjaś sumkę przyjąć raczył.  
Opowiadacz nie wymarzył,  
Nie rozsiewa częściej pogłoski —  
Bo pięć córek wyposażył,  
I trzem synom dał trzy wioski.  
A dziś jeszcze — to nie żarty,  
Kapitały ma nie lada —  
I wciąż trzyma trzos otwarty  
Dla kolegi i sąsiada. . . .  
Sąsiad wierzy i niewierzy,  
I zdumionem okiem mierzy  
Swego kuma i sąsiada,  
Co te bajki opowiada.  
Przypomina tylko sobie,  
Niby przez sen w owej dobie,  
Ze bywało dziadek stary  
Podobnego coś powiadał —  
I bywało swe talary  
Do zamezystej skrzyni składał.  
Lecz sam, choć się stara, szcędzi,  
Nigdy grosza nieutrzyma,  
Wszystkich potrzeb nieopędzi —  
I gotówki często nie ma,  
A na kredyt trzeba zręcznie,  
Stawiać istne samotrzaski —  
Dziesięć od sta płac miesięcznie  
I to dają ci jak z łaski,  
Albo jeszcze chcą zastawy. . . .  
Bo na oblig hipoteczny,  
Nikt dziś patrzeć nie ciekawy  
Mając go za niebezpieczny.

## IV.

Przyszedł sąsiad do sąsiada,  
Stare baśnie opowiada. . . .  
Jak bywało w każdym dworze,  
W każdym dworku na około,  
W każdej roku i dnia porze,  
Było rzeźwo i wesoło.  
To sąsiedzkie odwiedziny,  
To kuligi albo łowy,  
Urodziny, imieniny,

Albo balik przypadkowy. . .  
Dni trzy, cztery, tydzień cały,  
Skrzypiciele grzmią od ucha,  
Wino mierzą na antały,  
A na kuchni wulkan bucha.  
Opowiadacz nieprzesadza,  
Nie wymarzył swoich wieści —  
Tyle gości w dom wprowadza,  
Ile jego dom pomieści.  
Sąsiad wierzy i nie wierzy,  
I zdumionem okiem mierzy,  
Swego kuma i sąsiada,  
Co te brednie opowiada —  
Przypomina tylko sobie,  
Niby przez sen w owej dobie,  
Że dziad zmarły, zwykł bywało,  
Podobnego coś powiadać —  
Że mu dzieckiem się zdarzało,  
Setnym z rzędu za stół siadać.  
Ale dziś wie — że po cichu,  
On i każdy w domu siedzi,  
O hulankach ani słychu —  
A gdy kto kogo odwiedzi,  
To już pewno w interesie. . .  
A gdy balem kto zadziwi,  
Prócz herbatki — rozumie się  
Nikt się niczem niepożywi. . .  
Chyba czasem orgija sprośna,  
Niby uczta Baltazara,  
Gdzie przewodzi pycha głośna,  
Nie gościnność nasza stara. . .  
Ni tam serca, ni szczerości,  
Tylko tłumy, szumu wiele —  
Choć gospodarz sprasza gości,  
Ale płacą — wierzyciele. . .

V.

Przyszedł sąsiad do sąsiada,  
Stare baśnie opowiada.  
Jak to niegdyś człowiek młody,  
Pełen życia i swobody,  
Kochał szczerze, kochał czule,  
Kasię, Zosię lub Hanulę. . .  
A choć czasem bałamucił,  
Lecz na drogę prawdy wrócił  
I nie wietrzył z pustą głową,  
Za pieczęcią posagową,  
Ale drogą pracy, statku,  
Szedł do chleba i dostatku.  
A dziewczęta, jak trusięta,  
Każda rzeźwa, uśmiechnięta —  
Cicha — niby gołąbeczka,  
Pracowita — jak mróweczka,

W tańcu, w śpiewie ptaszek istny,  
Swieża, jak kwiat barwnolistny —  
Zwykła marzy o zamęściu,  
Jak o szczęściu, choć w nieszczęściu.  
Opowiadacz godzien wiary,  
Nie wymarzył swoich wieści —  
Bo dziś jeszcze, chociaż stary,  
Jest dla niewiast pełen części.  
I podwakroć w swej młodości,  
Sam przeszalał i przebolał —  
Raz, nie doznał wzajemności,  
Więc zapomnieć dziewczkę wolał. . .  
Drugą razą, Hanna hoża,  
Już mu serce swe oddała,  
Lecz przed ślubem wola Boża,  
Z tego świata ją zabrała.  
A gdy potem w dank miłości,  
Nie posażną pojął pannę,  
Wśród pożycia uczciwości,  
Niósł jej hołdy nieustanne.  
I choć dawno legła w grobie,  
Affekt dla niej ma ten samy —  
Cześć poprzysiągł dla niej w sobie,  
Niby rycerz dla swej damy. . .  
Sąsiad wierzy i nie wierzy,  
I zdumionem okiem mierzy,  
Swego kuma i sąsiada,  
Co te baśnie opowiada. . .  
Przypomina tylko sobie,  
Niby przez sen w owej dobie,  
Że nieboszczyk dziad bywało,  
Podobnego coś powiadał —  
I płci pięknej — jak przystało,  
Hołd powinny zawsze składał.  
Że podobne też zasady,  
W rodzicielskim słyshał domu —  
Lecz że dzisiaj te przykłady,  
Nawet nie śnią się nikomu.  
I niestety! przed oczyma,  
Podobieństwa enót tych nie ma!  
Bez powagi, bez odwagi.  
Młódcz poluje na posagi —  
I leniwie siedząc doma,  
Jeść ojcowskie się nie sroma.  
Lub dwuznacznie kręci głową,  
Nad równością majątkową. . .  
A gdy pracy jąc się zdarzy,  
O milionach zaraz marzy —  
Oby mu już zapomniany,  
Rodzicielski dach słomiany —  
O pałacach lśniących roi,  
Zamknąć się w mierności boi,  
I w skalanęj wyobraźni,  
Posaż żony wciąż go drażni,

Bo mu mało, zawsze mało,  
 Bo mu serce wychłodniało!  
 Wstrętne biedne mu dziewczęta —  
 Biednej siostry nie pamięta.  
 Co w domowych cnotach wzrosła,  
 I mężowi nie nie wniosła,  
 Prócz młodości i miłości,  
 I pobożnej cierpliwości. . . .  
 Lecz ten połów posagowy,  
 Chleb to ciężki i nie zdrowy —  
 Bo częstokroć panicz taki,  
 Na uczone trafi szpaki —  
 Malowaną weźmie lale.  
 Co posagu nie ma wcale,  
 Tylko fumó w sto tysięcy.  
 I wymagań strokroć więcej —  
 I jednocy, mówiąc szczerze,  
 Myśl o mężu i kassjerze,  
 Albo znowu panna kuta,  
 Pozna chłystka lub bankruta,  
 I otwarcie się nasroży  
 Albo z cicha upokorzy,  
 I za ledwo czasem z kąta.  
 Biedną zdobycz swą oplata —  
 By przysłowie sprawdzić chyba,  
*Na bezrybiu i rak ryba.*  
 Ten bądź cobądź, przy waszmości  
 Zdania mego w ogólności  
 O płci pięknej nie otworzę —  
 Bo byś mnie Waś zburczał może.  
 Zresztą matki pamięć jasna,  
 Własne córny, żona własna,  
 O kobietach — czyż pozwolą,  
 Słówko pisać — ze złą wolą?

## VI.

Wyszedł sąsiad od sąsiada —  
 A gospodarz zadumany,  
 Przy okienku swoim siada —  
 Obraz wspomnień wywołany,  
 Przy oczyma mu majaczy,  
 I choć sam wszystkimu przeczył  
 Mówiąc że dziś jest inaczej —  
 Chociaż temu sam złorzeczył. . .  
 Lecz wyznaje — że niemało,  
 Dawnych cnót się przechowało,  
 I dawniejszych znikło błędów,  
 I jest może z wielu względów,  
 Lepiej dzisiaj, niżli wczora. . . .  
 Boć prawdziwe to przysłowie:  
*Szanuj przeszłość, w sercu, w słowie,*  
*Lecz ze swego pędź ją dwora. . .*  
 Kto w przeszłości się zasklepi,  
 Jak zwierzę dziki wśród ostępny,  
 Nie uczuje, że jest lepiej,  
 Bo nie dojdzie dróg postępu. . . .  
 I kto przeszłość poniewiera,  
 I z uroku ją odziera,  
 Ten niedojdzie zabłąkany,  
 W świat przyszłości obiecany.  
 Lecz kto z wiarą i z miłością,  
 Łączy przeszłość z obecnością,  
 Jak ogniwa dwa łańcucha,  
 Tego prosta czeka droga. . . .  
 Ten się wznosi mocą ducha,  
 Bliżej prawdy, bliżej Boga!

*Jan Prusinowski.*

## GÓRALSKA DZIEWCZYNA.

Na dnie Czeromorzu tańczują tam rybki,  
 Góralskie wesoło przygrywiają skrzyпки;  
 Ochl nie tak wesoło skrzyпки przygrywiają,  
 Weselsze we wodzie rybeczki skakają.  
 Ja tam pójdę do nich, mnie tu smutno wszędzie,  
 Pomiędzy rybkami weselęj mi będzie.  
 Taki śliczny zrobię wianeczek z piodunu,  
 I jak ze mgły włożę bielutką sukienkę,  
 Już mi tam do wody nie trzeba całunu,  
 Nie trzeba i cieśli by strugał trumienkę.  
 A gdy księżyc wejdzic, noc cienie roztoczy,  
 To ja z głębi wody aż na wizrach wypłynę,  
 I na wiatr rozpuszczę nici swych warkoczy.

I białe swe szaty jak obłok rozwinę,  
I będę patrzyła w księżycowe lica,  
I tak doń miłośnie wyciągnę ramiona,  
Ludzie gdy zobaczą powiedzą: „szalona.“  
Uciekną ze strachem krzyżąc: „topielica.“  
A kiedy z zagóry wynijdzie poranek,  
I pocznie siać w koło perełkami zorzy.  
W chmurach się ukryje mój jasny kochanek,  
O! mój srebrnolicy! o mój złotowłósy!  
To ja się tak w fale zesunę głęboko,  
I mnie tam już ludzkie niedostrzeże oko.

.....  
Ludzie tacy dziwni, pełne ich cmentarze,  
Gdy świeżą mogiłę wykopią grabarze,  
I trumnę weń włożą, to oni się śmieją  
A przecież to smutno żegnać się z nadzicją,  
O! smutniej jeszcze ukrywać się z łzami,  
Lub płakać samemu nad innych grobami.  
Jeżeli w chacie której u nas jest wesele,  
Zejdzie się gromada i sąsiadów wiele,  
I posadzą dziewczę, włosy rozplatają,  
A druchny w około tańczą i śpiewają.—  
To matka jej płacze, przecież to wesoło,  
Pod zielony wieniec podać białe czoło.  
I weseliej jeszcze, wieniec swój złożony  
Z samych białych lilji, ponieść niezwiędniomy,  
Wysoko do Boga, to bardzo wesoło,  
Czemuż oni płaczą? i czemuż się śmieją?  
Ja patrzę po świecie daleko, w około,  
I nic nie-rozumiem, oni rozumieją!....  
Ludzie, tak to życie pojęli, odgadli,  
Ze się sami żywcem w mogiły pokładli.

.....  
Była tu dziewczyna dawno, bardzo dawno,  
Od kruczych warkoczy przewzala ją „czarną.“  
Miała jako węgiel palące źrenice.  
Wichrami i słońkiem osmalone lice.  
Lubiła się stroić jak góralki, w krasne  
Spódniczki i wstęgi zaplatała jasne,  
I białe koszulki, jako śnieg nosiła.  
Och! ona bardzo nieszczęśliwą była,  
Ha to już dawno... kochała górala,  
Co go hucułowie „orłem Karpat“ z wali,  
A gdy góral umarł....  
To ona biedaczka z żalu zwarzjowała,  
I poszła tam w góry i z skały wysokiej,  
Co szczytem sięgała aż w same obłoki,  
W przepaść się rzuciła; o! dobrze zrobiła,  
Jakżeby gołąbka zgon orła przeżyła,  
Dziś na dnie przepaści czarnej spoczywa,  
Ludzie jej żalują, a ono szczęśliwa!....

.....  
Wicher po mogile szarpie się szalony,  
I sęp swe żarłoczne rozpościera szpony,

Już wy nie ujrzycie górala lucuła!  
Duch jego wysoko z orłami gdzies buja,  
Nie ujrzy go matka, staruszka zgarbiona,  
Daremnie go czeka śledząc szelest w ciszy;  
Gdy wieści o zgonie górala posłyszysz,  
To z żalu i bólu od samych słów skona....

.....  
Ale to już dawno, bardzo temu dawno,  
I nacóż to mówić, przypominać darmo.  
Dzisiaj to inaczej skrzyпки przygrywają,  
Na dnie Czarnomorzu rybeczki skakają.  
I sunie tak wesoło! widziałem jak młody,  
Góral rzucił pierścień aż w głębinę wody,  
Rzucił by dziewczyna zawsze go kochała,  
I gdy go nie będzie, innemu nie dała.  
Ta śliczna obrączka, co ja ją dostanę,  
Nie oddam za inne, choćby pozłacane.  
Mnio ona się przyda, gdy najdą swatowie,  
Dróżki mnie wywiodą z wianeczkiem na głowie,  
To pytać się będą, gdzie obrączki wasze?  
A od ich muzyki aż zadrży poddasze.  
To ja im odpowiem: pierścień na dnie wody,  
Na innych tam godach, tańcuje pan młody.  
Kruk oczy wyżera, wiatr szarpie kędziory,  
A on taki smutny, a świat tak wesoły!

*Litjana.*

## WULKANY I TRZĘSIENIA ZIEMI.

Nazwa wulkanów pochodzi od imienia jednego z bożków starożytnych Rzymian Wulkana, który miał być synem najstarszego z bogów, Jowisza. Ten Wulkan obraziwszy ojca, został przez niego wygnany z nieba i strącony na ziemię, gdzie w rozmaitych miejscach pozakładawszy warsztaty kowalskie, pracował ciężko, przy pomocy olbrzymów, zwanych cyklopami. Owóż starożytni wyobrażali sobie, że góry ogień zionące, mieszczą w łonie swoim takie kuźnie Wulkana i cyklopów, a gdy ujrzeli dym wydobywający się z otworu u wierzchołka góry, zwanego kraterem, mówili że Wulkan pracuje.

Mniemanie to, równie jak mnóstwo innych najbłędniejszych pojęć o naszej ziemi, utrzymywało się długie wieki, nim je prawdziwa obaliła nauka.

Góry ogień zionące, są wielką klęską dla ludności, która u ich stóp swoje pozakładała siedziby. Dym palący, który się z nich podczas gwałtowniejszego wydobywa wybuchu, popiół grubą warstwą przykrywający zasiewy i winnice, zamieniający w jednej chwili pola uprawne w step głuchy, lawa roztopiona, która szerokim strumieniem, staczając

się po grzbiecie góry, zaléwa całe wsie i miasta u jéj podnóza, wreszcie trzęsienie ziemi, towarzyszące zwykle wybuchowi, wszystko to aż nadto dostatecznie usprawiedliwia narzekania mieszkańców na los srogi, który ich przykuł do miejsc narażonych na tyle rozlicznych, a tak strasznych klęsk. Opatrzność jednak nie bez celu, nie dla utrapienia tylko pewnej części ludności utworzyła wulkany, — mają one cel inny, wyższy, pożyteczny i dobroczynny, o czém się zaraz przekonamy.

Co się mieści w środku ziemi, nie każdemu wiadomo. Były czasy, że i uczeni tego nie wiedzieli i aby tego dociec, kopali i wiercili świdrami w ziemi do niezmiernéj głębokości. Napotykali wodę, kamienie bardzo twarde, pokłady rudy metalowéj i tym podobne inne przeszkody, nic jednak od przedsięwzięcia odstraszyć ich nie mogło; wszystkie trudności pokonywali odważnie i wytrwale. Koniec końcem, nie osiągnęli jednak celu swoich poszukiwań, nie dowiedzieli się namacalnie, co się w środku ziemi znajduje, a to dla téj przyczyny, ponieważ pominawszy wszelkie inne przeszkody, ciepło podziemne, jakie już w piwnicach i głębinach studni uczuwać, powiększało się coraz bardziej i w miarę coraz większego zapuszczania się w głąb, stały się tak mocne, że ludzie pracujący znieść go nie mogli i prace rozpoczęte przerwać musieli. Doświadczenie nauczyło, że to ciepło podziemne powiększa się na każdą milę o stopień, a tak w odległości kilkudziesięciu mil pod powierzchnią ziemi, gdyby się woda znajdować mogła, to tylko wrząca, nieco niżej i najtwardsze metale stopićby się musiały od nadzwyczajnego gorąca, cóż dopiero w samym środku ziemi, który, jak zkaąd inąd wiadomo, jest oddalony od jéj powierzchni na 856 mil! Nie ma tam, jak się dawniej domyślano, ani kamieni, ani pokładów metali, ani wody, lecz mieszanina tego wszystkiego, nie tylko stopiona, ale nawet obrócona w parę, która z niesłychaną siłą, preżąc na wszystkie strony, usiłuje rozerwać skorupę ziemi, aby się na wierzch wydobyć i rozerwałaby ją niezawodnie, gdyby nie miała nigdzie ujścia, gdyby nie było wulkanów. Tak więc wulkany, będące klęską dla niewielkiej stosunkowo liczby ludzi, są dobrodziejstwem dla ogółu, są tém samém dla ziemi, czém są klapy bezpieczeństwa w maszynie parowéj.

Ale, mógłby ktoś zapytać: gdyby nie było ogni podziemnych, nie byłoby w łonie ziemi i téj pary tak strasznie preżającej, a wówczas i wulkany nie byłyby potrzebne? Tak, to prawda, wulkany nie byłyby potrzebne, ale też gdyby ziemia nie miała ciepła własnego, powierzchnią jéj pokrywałyby wiecznie śniegi i lody, jakie tylko na najwyższych górach widzimy, człowiek nie mógłby żyć w tem zimnie, nie zniosłoby go żadne zwierzę, żadna roślina istniećby nie mogła na ziemi, samo słońce bowiem daje ledwie połowę téj ilości ciepła, jaka jest potrzebną do życia istot tutaj się znajdujących i tylko siła ogni podziemnych dodać może drugą niezbędną tego połowę. Wulkany więc i ognie podziemne są po-



trzebne, pożyteczne, konieczne, równie jak wszystko, co Wszechmocna Opatrzność zdziałała w mądrości swojej, częstokroć niedocieczonej dla rozumu ludzkiego.



W e z u w i u s z .

Wulkanów na kuli ziemskiej jest nie mało. W Europie najznaczniejszych są: *Wezuwiusz*, w okolicy Neapolu, pośrodku bardzo żyznej równiny, z dwoma wierzchołkami, z których jeden wicznie dymiący, wznosi się na 3,282, drugi zwany *Somma*, na 5,500 stóp

nad powierzchnię morza; *Etna* na wyspie Sycylii, z mnóstwa gór wulkanicznych złożona, wznosząca się na 10,600 stóp, dołem bardzo żyzna, w pośrodku lasami zarosła, w górze wiecznymi śniegi i lodami okryta; dwa nareszcie z wielu znajdujących się na wyspie Islandji, *Hekla*, nie buchająca ogniem od roku 1818, na 4,792 stóp wzniesiona i *Krabla*, zawsze jeszcze bardzo groźna.

Wybuch wulkanu poprzedza zwykle grzmot podziemny, długi, przeciągły, powtarzający się kilkakrotnie i zaraz po nim następuje większe lub mniejsze trzęsienie ziemi. Z krateru buchają kłęby dymu coraz gęstszego, a nareszcie i ogień z gradem kamieni, a lawa roztopiona szerokim płynie strumieniem. Okropny jest to widok, a zarazem wspaniały swoją okropnością. Ludność ucieka z pośpiechem, zostawiając całe mienie swoje na łup rozhukanym żywiołom, szczęśliwy, kto przynajmniej życie ocalić zdoła, bo i to nie zawsze jest niezbędnem.

Lawa zrządza okropne spustoszenie. W siedmdziesiątym dziesiątym roku po narodzeniu Chrystusa, podczas gwałtownego wybuchu *Wezuwiusza*, tak wielka ilość lawy wypłynęła z głębi wulkanu, że trzy kwitnące miasta rzymskie: *Herkulanum*, *Pompeja* i *Stabiae*, wraz z ludnością, która uciec nie zdążyła, zupełnie nią zalane zostały i zaginał wszelki ślad, gdzie się znajdowały. W miejscu gdzie te trzy miasta leżały powstało jezioro lawy, które, gdy po jakimś czasie zastygło, utworzyła się w tem miejscu szklista, gładka powierzchnia. W tysiąc lat później wzniosły się tu dwa nowe miasta *Portici* i *Resina*, a dopiero przed dwoma set laty przy kopaniu studni, natrafiono przypadkiem na ślad zalanych niegdyś siedzib ludzkich. Wzięto się później do starannego odgrzebywania i prace w tym względzie, od stu lat umiennie prowadzone, postąpiły już bardzo daleko, a mianowicie o tyle, że z tego co tam znaleziono, możemy zrobić sobie dokładne wyobrażenie starożytnego miasta. Nie tylko domy, świątynie, teatru, cyrki, ale nawet całe place i ulice odsłonięte zostały. Ma się rozumieć, że w wielu także domach znaleziono nietknięte całe ich urządzenia wewnętrzne. Przed dwoma laty odgrzebano tam obok świątyni *Junony* dom, który niegdyś musiał należeć do wielkiego bogacza, gdyż sprzęty są tam niezmiernie kosztowne; brąz, kość słoniowa, marmur i rzadkie rodzaje drzew, składały się na nie, a ozdoby i naczynia są jeszcze wytworniejsze. W izbie jadalnej siedzenia, a raczej łoża są bardzo bogate, posadzka z mozaiki, rzadkiej piękności. Środek tej mozaiki przedstawia stół zastawiony przysmakami, w liczbie których są także ptaki z wspaniałem piórzem. Dokoła otaczają ten środkowy obraz wieńce z różnych jadalnych w owe czasy przedmiotów. Pierwszy wieńiec złożony jest z raków morskich, z których jeden trzyma w szczytach swych jajo niebieskie, drugi otwartą ostrzygę, trzeci szczura na-

dziwanego, a czwarty czarę z pieczonemi ostrygami. Następny wieńiec składa się z półmisków, na których leżą zające, kuropatwy, ryby, wiewiórki, trzymające głowy między przednimi łopatkami. Trzeci i czwarty wieńiec składa się z kielbas, jaj, ostryg, śliwek, owoców i warzyw różnego rodzaju. Ściany tej izby malowane al fresco. Na środku stał stół dobrze zachowany, z rzadkiego drzewa, napuszczony złotem, wysadzony rzadkiej piękności marmurem, agatem i laurem. Na stole stały dzbanki, w których znalazło się jeszcze nieco wina, tudzież kilka kubków z onyksu.

Niemniej straszną jak wulkany, a poniekąd jeszcze straszniejszą klęską są trzęsienia ziemi, straszniejszą zaś o tyle, ponieważ na wybuch wulkanu można być przygotowanym, wiedząc przynajmniej, z której strony niebezpieczeństwa spodziewać się należy, gdy tymczasem trzęsienia ziemi ani przewidzieć nie można, ani wiedzieć gdzie się ich obawiać trzeba, nie zawsze bowiem w jednych i tych samych wydarzają się miejscach.

Przyczyną trzęsienia ziemi bywa podobnie jak wybuchu wulkanów działanie ogni podziemnych i prężenie pary, zjawisko równie straszne, jak trudne do wytlómaczenia, a w naszym kraju prawie nieznanie, dość pospolite w gorących krajach, zwłaszcza Ameryki południowej.

Nim nastąpi trzęsienie ziemi, a zdarza się to najczęściej w chwili gdy ludność nieszczęśliwa najmniej się go spodziewa, najmniej myśli o niem, daje się słyszeć huk podziemny nakształt dalekiego grzmotu i zwiastuje nadejście strasznej chwili zniszczenia. Tu i owdzie dobywają się z głębi ziemi kłęby pary i unoszą się w powietrzu, tu i owdzie otwierają się źródła wody gorącej i wysokim promieniem tryskają w górę. Nareszcie daje się uczuć kilka drgnień, raz po raz po sobie następujących. Każde trwa zaledwie kilka sekund, ale jakież okropne skutki każdego takiego nawet najlżejszego drgnienia. Gmachy potężne, co zdawały się na niewzruszonej spoczywać podstawie, miasta z bogatemi siedliskami wielu tysięcy ludzi, wioski wesołe z uprawnemi polami, wszystko to jedna chwila niszczy. Rozsypują się gmachy jak budki z kart ręką dziecięcia wzniesione, miasta i wioski nikną pod gruzami lub w łonie roztwierających się przepaści.

Podczas trzęsienia ziemi, cała Przyroda zdaje się być poruszona. Na morzu powstaje gwałtowne wzburzenie, bałwany wznoszą się do niezmierniej wysokości, tworzą się wiry. Z głębi pobliskich wulkanów dobywają się kłęby dymu, obfitsze jak zwykle, powstaje ciemność straszliwa, a woń siarki rozchodzi się do koła. Grzmoty podziemne powtarzają się nieustannie i drganie ziemi nie ustaje. Trwogą śmiertelną zdjęci mieszkańcy, napróżno w ucieczce szukają ocalenia. Wszystko za późno! wszędzie to samo zniszczenie, to samo niebezpieczeństwo, w jednym miejscu zasypują ich gruzy walących się bu-

dynków, w drugim przepaście otwierają się pod ich nogami. Z pomiędzy bardzo znacznej liczby wypadków trzęsienia ziemi, jakie się prawie corocznie w rozmaitych krajach wydarzają, najstraszniejszym było trzęsienie ziemi w Lizbonie d. 1 Listopada 1755, w którym przeszło czterdzieści tysięcy ludzi zginęło okropną śmiercią, a które jednocześnie dało się także uczuć w całej zachodniej Europie, w Niemczech, Szwajcarji, we Włoszech, na Oceanie Atlantyckim, na północnych wybrzeżach Afryki, a nawet w Grenlandji i krajach Ameryki najbardziej ku biegunowi północnemu wysuniętych.

Trzęsienia ziemi bywają powodem wielu zmian w zewnętrznej naszego planety postaci. Skutkiem tychże, góry odwieczne obniżają się lub nawet całkiem nikną, gdzieindziej powstają nowe, okolice zaludnione i uprawne zamieniają się w pustynie, a z głębi mórz nie raz nowe wychylają się wyspy.

*Stanisław Nowiński.*

## STOŁY PUKAJĄCE.

Dziwny to ten rozum ludzki! Raz prawie na kolana przed nim paść należy, to znowu spada on tak nisko, wpada w takie odrętwienie lub co gorsza jeszcze, omamienie, iż tylko litować się nad ulomnością natury Indzkiej należy. Jednym z takich omamień rozumu jest duchownictwo czyli pukanie duchów, stoły i ekerki wirujące i t. p. Na pochwałę rodzaju męskiego, dziwactwa te wynalazły kobiety, córki Foxa z Hydeville w Ameryce Północnej. Stawy ich kolan i wielkie palce u nóg wydawały pewien pukający odgłos, którego pochodzenia nikt wytłómaczyć nie mógł. Jakiś wartogłów zrobił uwagę czy nie duch to puka i zaczął robić próby, które dzięki sprytowi panien Fox, powiodły się najpomysłniej, przynosząc im znaczne dochody, jako pośredniczkom (medium) pomiędzy duchami a ludźmi. Duchy zrazu bardzo niajasne dawały odpowiedzi i to wówczas tylko gdy powtórzono im wszystkie głoski abecadła, te tylko zapisując przy których wymienieniu dało się słyszeć pukanie; z tych liter utworzone potem wyrazy, z wyrazów myśli, z myśli wyciągano wróżby. Z czasem jednak duchy bardzo porozumiały i ukończywszy naukę abecadła, zaczęły już same pisać, naturalnie za pomocą swoich pośredników. Wiara w nie głęboka się rozgałęziła i wkrótce każdy lichy stoł, który może li tylko do pisania rejestrów brudnej bielizny służyć, nabrał takiego rozumu, że wszystkie Akademje i Uniwersytety były w obec niego niczem. Późno uczeni wykrywali szalbierstwo mniemanych *medjów*, pomimo że przepowiednie wcale się niespełniały: świat tylko w stoliki wierzył, tylko stołowych nóg słuchał. Nigdziejednak ten szarlatanizm tak się nie upo-

wszechnił co w Stanach Zjednoczonych. Duchy tam wszechwładne i jeżeli nie pokazują się na świecie w swej własnej postaci, to tylko dla tego że jej nie mają; ale co wyrazy to sypią jak z rękawa. Niezbyt dawno mianowały pana Mansfield w Stanach Zjednoczonych generalnym dyrektorem swoich poczt! A urząd jego na tém się zasadza, że chcąc pisać do jakiego nieboszczyka, posyła się list opieczętowany do pana dyrektora, a po niejakiem czasie przesyła się odpowiedź, z nietkniętym listem, bo duchy szanować umieją cudze tajemnice. Wprawdzie pan dyrektor ma tu nie mało pracy, bo każdy list musi odpieczętować i zapieczętować tak aby nikt tego nie poznał; ale za te trudy pobiera po pięć dolarów (40 złp.) od każdego listu. Jeżeli zaś niepodobna bez uszkodzenia otworzyć koperty, to list się nie odsyła, choć pieniądze za fatygę pozostają w rękach szanownego dyrektora. Na trudne i zawikłane zapytania także nie udziela odpowiedzi, bo gdzie tam nieboszczykom wdawać się w metafizykę lub historję! Złapano go wprawdzie na oszustwie, ale liczba prozelitów jego wcale się nie zmniejszyła, bo gdzież łatwowiernych zabraknie? Metody pukania udoskonalił pewien szynkarz nowo-górski, który do takięj przyszedł zżyłości z duchami, że wyuczył je tańczyć lanciera i polkę tremblante! Przedaż ostryg i napojów spirytusowych nie bardzo mu się jakoś wiodła, poszedł tedy do głowy po rozum i urządził u siebie skrzypce samograjki i kapelusze samoskoczki. Duchy grały jak mogły, a od ich płasów podskakiwały kapelusze na stole rozłożone. Świat zdumiał się i już.. już najniewierniejsi mieli się nawrócić gdy—jakiś mechanik odkrył ukryte sprężyny i rzecz całą rozgłosił. Mechanikowi uwierzyli ludzie, owce poszły za szynkarzem.—Lecz któżby uwierzył? Duchy zaczęły przez ręce pewnego fotografisty przysyłać swoim krewnym fotografie, naturalnie za sowitem wynagrodzeniem. Były one wprawdzie podobne do swoich pierwowzorów tem tylko, że miały nos, oczy, usta, czoło, ręce, nogi i ciało fizjognomją ludzką; ale czegoż nie dokaże imaginacja? Fotografowanie duchów tak postąpiło, że wkrótce ciekawi oglądać mogli portrety bohaterów starożytnych, patryciuszków, proroków etc. Tylko z podpisami jakoś, się nie udawało: Król Dawid napisał po hebrajsku od lewej strony ku prawej, a Machomet dał podpis, w którym profesor wschodnich języków znalazł że tylko gumma powlekająca papier ów podpis noszący, była rzeczywiście arabską. To wszystko nie zdołało jeszcze zupełnie przekonać łatwowiernych, a i dziś jeszcze wychodzą nawet pisma poświęcone duchownistwu.

„ O potęgo! o człowieku! ”...

Mylimy się jednak.— Jeżeli wielu było łatwowiernych, to wyznać należy że nie mało się też znalazło umysłów badawczych, które dopóty kwestji tej nie opuściły, dopóki jej najdokładniej nie zbadały. Dziś już trzeba być bardzo *wrażliwym*, że nie powiemy dziecinny nawet, aby wierzyć, że w nogach stołowych przebywa jakaś ząklęta dusza, która milcząc przez tyle

wieków, zagnęła zaczęła z ludźmi najzażyłsze konwersacje prowadzić. Gdyby jeszcze za siedlisko tych panów z tamtego świata, obrano jakiś sprzęt szlachetniejszy, nie stół, o zgrozo! Widocznie duchy są bardzo nie wybredne.

— Ale żart na stronę, a rozpoznamy tę kwestję jak można najpoważniej. Czy rzeczywiście stoły same się obracają? Ludzie wiarogodni zapewniają, że w pewnych warunkach, gdy kilka osób przez długi czas trzyma palcami stół lub ekierkę, te zaczynają się poruszać nieznacznie wprawdzie, ale się poruszają. Jest że to wpływ duchów? Bynajmniej. Uczeń oddawna już się przekonał, że zjawisko to jest skutkiem drgań palców naszych lub magnetyzmu zwierzęcego; co zaś jest ten magnetyzm, nie tu miejsce o tem się rozszerzać, ale to pewna, że nie jest żadną nadprzyrodzoną siłą, a li tylko zjawiskiem fizycznym.

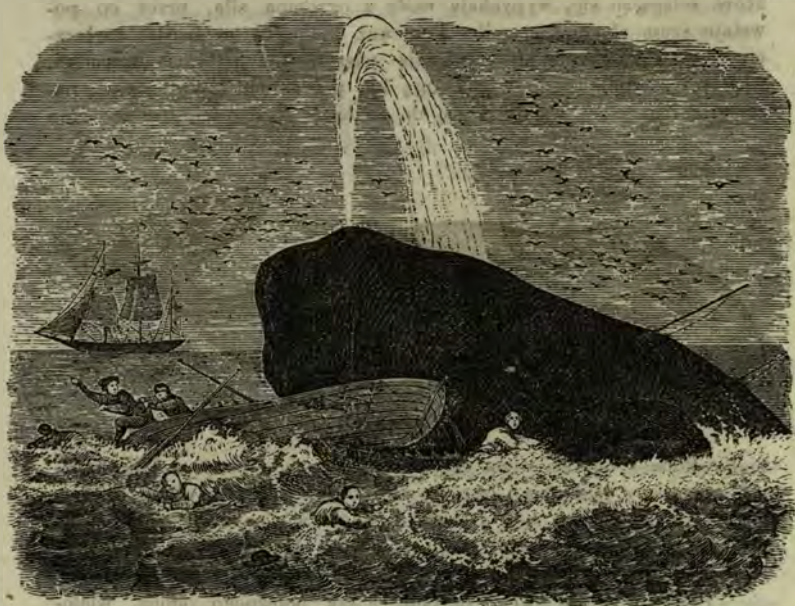
Co zaś do owych przepowiedni, za ledwie widzimy tu potrzebę je zbijać. Nie żadne duchy zajmują się wrózeniem i odgadywaniem, ale po prostu bujna nasza wyobraźnia, szarlatanizm osób ciągnących ztąd zyski, wręście zabobonność i brak głębszego zastanowienia. Niektórzy odpowiadają: że czasem się sprawdzi przepowiednia owych niby duchów (a właściwie szarlatanów, którzy wmawiają ludziom że są pośrednikami pomiędzy duchami i ludźmi); ale niech nad tem pomyślą, jak tu często wiele znaczył może ślepy traf, znajomość przeszłości naszej, o której się owi niby pośrednicy zkażkolwiek dowiedzieli, słowem jedno nic, na które często uwagi nie zwracamy. Zresztą jeżeli wyliczymy przypadki, w których owe duchy odgadły naszą przeszłość lub przyszłość, to dla czegoż nie przytaczamy tych, gdzie się one zupełnemi bezmózgowcami pokazały? Ale i na to łatwo odpowiedzieć, bo tych jest mnóstwo, a tamtych bardzo mało, to też łatwiej o nich pamiętamy, zwłaszcza jeżeliśmy z góry postanowili wierzyć w duchy, stoły pukające i tym podobne niedorzeczności. A na taką wiarę, zaiste trudne lekarstwo, tém trudniejsze, że ludzie tego rodzaju wcale żadnych moralnych leków przyjmować nie chcą. Niechże więc sobie służą nogom stołowym.

*Mściław Kamiński.*

## WIELORYB.

Wieloryb jest największym z pomiędzy wszystkich istot żyjących, to też głównie niesłychanym ogromem swoim zadziwia. Ma zwykle sześćdziesiąt do siedmdziesiąt stóp długości, a waży dwa do trzech tysięcy centnarów; opowiadają zaś, że dawniej, kiedy jeszcze nie tyle co dzisiaj tych potworów wylawiano i pozwalano im wzrastać

swobodnie w przestworzach oceanu, pojawiały się i takie wieloryby, które miały po dwieście stóp długości. Czy jest kto, -coby nie zadrzał na widok otwartej paszczy wieloryba, mającej szesnaście stóp długości, a dwanaście stóp wysokości, w której zatem i słoń mógłby się wygodnie pomieścić? Gdyby wieloryb miał i gardło odpowiednich rozmiarów i stósowne zęby, pochłaniałby najstraszniejsze potwory morskie i dla nasycenia się, zrzędałby w głębi wód ogromne spustoszenia, ale mądra Opatrzność, aby temu zapobiedz, dała mu gar-



„Widok paszczy otwartej wieloryba, druzgoczącego łódź.”

dło tak wązkie i ciasne, że nie zdoła przelknąć ryby grubszej, jak pięść i musi poprzestawać na pomniejszych, na miękczakach, skorupiakach i zwierzkorzewach morskich, które też pochłania w ogromnej ilości. Zamiast zębów, wieloryb ma w szczęce górnej rogówkę, składającą się z szeregu liści rogowych, szerokich przy osadzie na ośm do dwunastu cali, klinowatych, dziewięć do piętnastu stóp długich, które zachodzą na siebie dachówkowato i których po obu stronach szczęki jest po trzysta. Te zębate liście, z brzegami zewnętrznymi najeżonemi długim włosiem, tkwią w szczęce prawie pionowo, ważą

około dziesięć centnarów i z nich to otrzymujemy znany powszechnie fiszbin. Dolna szczęka nie jest niczem uzbrojona, natomiast fiszbin znajduje się i na całym podniebieniu. Ogromny język wieloryba jest aż do końca niesłychanie tłuszczeniem obrosnięty. Warga dolna, patrząc na nią z przodu, ma kształt litery U.

Wieloryby mając tak wielką paszczę, biorą w nią zwykle wraz z pożywieniem znaczną ilość wody, którą potem wypuszczają z siebie nozdrzami, znajdującymi się w najwyższym punkcie ciała. Najprzód zbiera się woda w osobnym worku, otoczonym mięśniami, które ściągając się, wypychają wodę z ogromną siłą, przez co powstaje szum słyszany o milę. Ponieważ wieloryby są bardzo żarłoczne i prawie nieustannie otwierają paszczę dla nabrania żywności, więc też i wodę ciągle wypryskują lub przynajmniej wypuszczają parę wilgotną, która wznosząc się do znacznej wysokości, tworzy słup



Wielorybiątko.

biały. Potwór ten ma ogon tak potężny, że nim okręt z kilku ludźmi wyrwca z łatwością. Jest on pięć do sześciu stóp długi, a ośmnaście do dwudziestu stóp szeroki i służy wielorybowi nie tylko za broń, ale oraz jako narzędzie do pływania. Wieloryb też pływa tak szybko, że w jednej godzinie przebywa milę.

Pomimo jednak swego ogromu i tak potężnego ogona, wieloryb dość jest bojaźliwym, co zapewne stąd pochodzi, że będąc tak wielkim a nie mając zębów, nie może być w walce zwinny i bronić się skutecznie. Czasami przecież wpada w wściekłość i broni się z zaciętością, przyczem tak silnie uderza w wodę ogonem, że powstaje huk jakby z działa.

Najzaciętszym wieloryba nieprzyjacielem jest drugi olbrzym morski, tracz. Często kroć zacięte boje staczają one z sobą; oto jak walkę taką opisuje pewien podróżny:

Była zupełna cisza na morzu, najłżejszy wietrzyk nie wionął, żagle nasze obwisły na masztach, gdy nagle usłyszeliśmy wielki szum który dochodził nas z odległości prawie całej mili. Morze tworzyło



w dwóch przeciwnych miejscach białe pieniające się fale, zupełnie podobne do bałwanów morskich, łamiących się o dwie naprzeciw siebie stojące skały. Ani nam na myśl nie przyszło, że to dwaj olbrzymi, morza mieszkańcy zabierają się do walki, lecz gdy wieloryb podniósł nad powierzchnią wody szeroki swój, do żagla podobny ogon, nie było już żadnej wątpliwości, że przed oczyma naszymi, rozpoczyna się wielkie widowisko. Dla przypatrzenia się tym straszonym zapasom; zająłem miejsce w koszu masztowym. Tracz, wodząc potężną swoją, zębatą szpadę to w tę, to w ową stronę ponad powierzchnią morza, mknął w prostym kierunku, wieloryb zaś, zataczając szerokie półkola i tryskając naokoło siebie z nozdrzy strumieniami wody, zbliżał się zwolna. Gdy stanęli jeden naprzeciwko drugiego, niemal na trzydzieści do czterdziestu kroków, wieloryb podniósł w górę ogon i uderzył nim przeciwnika tak silnie, że tracz natychmiast w głąb się zanurzył, ale prawie w tej samej chwili błysnął szpadą tuż po drugiej stronie. Utarczka ta trwała najmniej kwadrans. W tem uspokoiło się morze i ja straciwszy z oczu walczących, sądziłem że bój już się zakończył: aż oto nagle, w kierunku pionowym, jakby ogromny słup na płaszczyźnie, dźwignął się z morza cały ogrom wieloryba i porwał z sobą straszego przeciwnika, który w jego brzuchu utopił swoją szpadę. Nakoniec obie te masy z strasznym hukiem zapadły w morze, a nad niemi wzniosły się fale które aż o nasz okręt uderzyły. Morze zaczerwieniło się; szeroka krwawa smuga, której długości okiem niepodobna było dosięgnąć, powstała na powierzchni, a obadwaj przeciwnicy, daleko od tego miejsca, na którym spotkali się przypadkiem, dokonali życia.

Wieloryby żyją w morzach podbiegunowych, szczególnież na wybrzeżach Grenlandji, Szpitzbergu i Ameryki północnej, aż do cieśniny Berynga. Należą do zwierząt ssących i młode wydają na świat żywe. W pobliżu Nowej Hollandji, gdzie rzadziej na nie polują, swobodnie prowadzą życie i częstokroć igrają nawet z sobą, więc stawają w jednym rzędzie i wszystkie naraz, jakby na komendę wypuszczają wysokie słupy pary, lub gonią się na wyścigi. Podczas burzy płyną bardzo szybko, bijąc co siły ogonem w wodę. Od zimna panującego w morzach lodowatych, chroni je skóra niezmiernie gruba, tudzież tłuszcz kilka stóp gruby, nie przepuszczający ciepła wewnętrznego.

Półow wielorybów odbywa się w następujący sposób: Dwóch ludzi wsiada do jednej z sześciu lub siedmiu szalup, należących do okrętu na półow wysłanego i przybliżywszy się do wieloryba, wbijają w jego grzbiet olbrzymie harpuni, przywiązane do sznurów kilkaset stóp długości mających. Ugodzony potwór chroni się pod wodę i ciągnie za sobą linę, do której przymocowane są oszczepy, tak

szybko, że czasem zapala się ós krążka, na którym lina jest obwinięta. Dla odetchnięcia wypływa niebawem na powierzchnię wody, a wówczas łowcy ponawiają ciosy i to powtarza się tak długo, aż wieloryb zmęczony bólem i osłabiony upływem krwi, zupełnie postrada sily. Wówczas człowiek, stosunkowo tak mały wzrostem, a tak potężny siłą rozumu, dobija go, wykrawa dziury w ogonie i przewleka przez nie linę, za pomocą której majtkowie wśród okrzyków radości wciągają na pokład okrętu zabitego wieloryba. Teraz zaczyna się wesołe, bo obfite żniwo. Kilku ludzi podpływa na czólnie do otwartej paszczy, wykrawują najprzód fiszbin, a potem i język z którego można mieć trzy beczki tranu; inni nakoniec wyrzynają kawalami tłuszcz i pakują do przygotowanych beczek.

Z wieloryba średniej wielkości można mieć pięć do sześciuset centnarów tranu. Z skóryjego robią podeszwy, z wnętrzości koszule, z żył cięciwy do łuków itd. Słowem, połów jednego wieloryba, przynosi dwa do pięciu tysięcy talarów czystego zysku.

*Stanisław Nowiński.*

## WĘDRÓWKI ZWIERZĄT,

przez

**Gustawa Belke.**

Począwszy od najdoskonalszego z jestestw stworzonych — człowieka, we wszystkich prawie gromadach zwierzęcego królestwa, widzimy przykłady dalekich wędrówek. Historia ludów i historia naturalna, zapisały na swych kartach zebrane w tym przedmiocie fakta i starały się zbadać ich przyczyny. Przeludnienie i brak środków do życia, podboje i nacisk obcych, różnice w mniemaniach religijnych i politycznych, kolonizacje i chciwość złota, były w odległej starożytności, a po części są i za dni naszych głównymi przyczynami wędrówki narodów. Mieszkańcy górzystych okolic nie dostarczających potrzebnego wyżywienia, ciągnęli na żyzne równiny; ludy chciwe podbojów i łupów, napadały na spokojne a zamożne plemiona, które z kolei chroniąc się od napaści, w dalsze przenosiły się strony. Lecz kiedy ludzi zmuszają do wędrówek obrachowane rozumem przyczyny, to zwierzęta pobudza do nich wewnętrzna siła, wypływająca z ich organizmu, siła gwałtowniejsza i bardziej niepohamowana, niż przemijający wpływ okoliczności zewnętrznych. Ludzie, raz opuściwszy kolébkę swoją, pozostali na zawsze w nowej ojczyźnie, — zwierzęta przedsięwiorą wędrówki na czas oznaczony, w pewnych, stale powtarzających się epokach, a zaspokoiwszy wrodzo-

ny popęd i potrzeby swoje, wracają do dawnych siedzib. To też owe wędrówki perjodyczne pewnych gatunków zwierząt, do których wiedzie je popęd niewstrzymany, ani odległością miejsca, ani natrafianiem przez szkodami i niebezpieczeństwami, należą do najciekawszych zjawisk ich życia i zasługują na bliższe poznanie.

Z pomiędzy zwierząt ssących, pod względem wędrówek odbywanych wielkimi stadami, stoją w pierwszym rzędzie tak zwane *Lemingi*, zwierzątka do rodziny myszy należące \*). Właściwą ich ojczyzną jest pasmo gór Skandynawskich, oddzielających Szwecję od Norwegji. Wędrówki ich dość są rzadkie, wydarzają się bowiem co ośm lub dziesięć lat, zwykle w jesieni: w kierunku od Wschodu na Zachód, kiedy dążą ku brzegom morza północnego, a od Zachodu na Wschód, kiedy ciągną do zatoki Botnickiej. Czasem jednak, za świadectwem naturalisty Martęsa (Martins), odbywają pochody z północo-zachodu na południo-wschód. Punktem wyjścia są zawsze Alpy Skandynawskie. Niezliczone mnóstwo Lemingów ciągnąc po równinach, zostawia śladem za sobą rowki w linjach prostych od 2—3 cali głębokie i na kilka łokci równo odległe. Zgrają ta wszystko po drodze pożera, równie trawy jak i korzonki roślin; nic nie jest w stanie zwrócić jej z obranej drogi, jeżeli spotka ludzi, przesuwa się pod ich nogami, jeżeli natrafi na stóg siana, przegryza w nim otwór i przelazi na wskroś, jeżeli jej stanie na przeszkodzie skala, obchodzi ją w półkole, a ominąwszy, znów się szykuje w szeregi pod linią prostą; gdy się wydarzy na drodze jezioro, choćby najszersze, przepływa je także w prostej linii, a jeżeli w tej swojej wodnej przeprawie spotka statek, to takie na niego mnóstwo indywiduów wyłazi, że omal go nie zatopi, a przebiegłszy przezeń, znów naprzeciwległą stronę się rzuca i przedłuża tę uporczywą wędrówkę, której najgwałtowniejszy nawet prąd wody, nie jest w stanie powstrzymać; do mieszkań jednak ludzkich Lemingi nigdy nie zachodzą. Podróż odbywają zwykle w nocy lub bardzo rano, we dnie zaś odpoczywają. Naoczni świadkowie pochodów takich utrzymują, że samice noszą słabszą dźwiatwę swoją w pyszczkach lub na grzbietach. Za nim przybędą Lemingi nad brzegi morza Północnego lub zatoki Finlandzkiej, liczba ich bardzo się zmniejsza; jedne marzną, nie są bowiem zbyt na zimno wytrwałe, inne stają się łupem drapieżnych nieprzyjaciół. Psy Lapończyków duszą je, a odgryzłszy głowę porzucają. Reny, a niekiedy owce i kozy jedzą Lemingów, (co jest zjawiskiem szczególnym, wiadomo bowiem, że bydło nie jada mięsa), a od tak niewłaściwego pokarmu ulegają ciężkim chorobom. Za to zwierzęta drapieżne, jak niedźwiedzie, lisy, kuny, gronostaje i t. p.,

---

\*) *M. Lemmus* główkę ma spiczastą, ogon krótki, odzież czarną i kasztanowato upstrzoną; długość ciała cztery cale.

mnóstwo ich wytopiają, a tucząc się niemi, piękniejszych nabierają futer. Z pomiędzy ptastwa, kruki, wrony, sowy, mewy, cheiwie ich chwytają, lecz wyjadłszy tylko wątrobę i serce, porzucają resztę. Zdarzały się wypadki, że uniesione przez ptastwo zwierzątka te, wyrwawszy się ze szpon, spadały na ziemię; to dało powód do bajki między ludem, Lemingi z obłoków jak grad się sypią. Zdaje się, że do tych gromadnych wędrówek pobudza je zbieg przyczyn rozmaitych, jako to: przecucie zbyt ostrą zimą w górach, niedostatek żywności, a najbardziej nadzwyczajne rozmnażenie się tych zwierzątek.

*Mysz gospodarna* \*) odbywa także wędrówki perjodyczne. Mieszka w Syberji i Kameczatce, a gatunkowe nazwisko winna szczególniemu przemysłowi nagromadzania na zimę do nór swoich zapasów żywności, składającej się z korzonków rozmaitych roślin. Myszy te wybiierają się w podróż zwykle na wiosnę w kierunku zachodnim i dopiero w Październiku do siedzib swoich wracają; długa ich nieobecność ma przepowiadać słoty i burze. Wędrują w takim mnóstwie, że każde stado parę godzin przechodzić musi przez daną miejscowość. Idą zawsze w linii prostej, jak Lemingi i równie jak tamte, w obranej drodze nie ustępują przed żadnemi przeszkodami; przepływają rzeki, jeziora, a nawet zatoki morskie. W tych przeprawach mnóstwo ich tonie, inne stają się łupem ryb drapieżnych, te zaś które na brzeg się dostaną, bywają tak zmęczone, że czas pewien wypoczywać muszą, leżąc jakby nieżywe. Ciągące za niemi zwierzęta drapieżne, jako to: lisy, wilki i t. p., obfitą w nich wtenczas szczególniej znajdują żywności; lecz z kolei i same też giną pod razami Kameczadalów, ubiegających się za ich futrami.

Wszystkim są znajome i najczęściej uderzające wędrówki ptaków. Z pomiędzy trzystu kilkudziesięciu gatunków krajowych, piąta zaledwo część, to jest pięćdziesiąt kilka gatunków są osiadłemi u nas mieszkańcami. Do takich należą: jastrząb pospolity, kilku gatunków sów, kruk, wrona, kawka, sroka, sójka, sikora, szczygieł, trznadec, kilka gatunków dzięciołów, kowalik i t. p. Około dwóch set gatunków odbywa wędrówki regularne, reszta zaś pokazuje się rzadko w rozmaitych porach roku i po większej części przypadkowie. Stałe wędrówki ptastwa wydarzają się dwa razy do roku: na wiosnę z południa na północ i trwają od końca Lutego do połowy Maja; i w jesieni, z północy na południe, począwszy od końca Lipca do połowy Listopada, stosownie do gatunków. Z pomiędzy ptaków odbywających wędrówki regularne, jedne przylatują do nas na wiosnę, tu się gnieźdzą i znów odlatują na zimę. Tak ukazują się najprzód skowronki, potem gęsi,

\*) *Arvicola aecomus* L. Główka mierna, pyszczek przedłużony, na końcu długimi śniademi włosami obrośnięty. Oczy bardzo małe. Odcień bruno-żółtawy. Długość ciała trzy cale, ogona przeszło dziesięć cali.

żórawie, gołębie, bociany, kosy, drozdy, szpaki, pliszki, czajki, zybie, kanie czarne, jaskółki, kraski, kukulki, wilgi, przepiórki, kozodoje, słowiki, żołyń i t. d. Odlatują naprzód żołyń, potem kanie, kukulki, kraski, dużki, słowiki, wilgi, turkawki, bociany, przepiórki, jaskółki, czajki, kozodoje, pliszki, zięby, żurawie, szpaki, gęsi, skowronki. Inne ptaki wędrownie przylatują do nas tylko w późnej jesieni, a przepędzwszy zimę, na wiosnę do krajów więcej północnych odlatują. Do takich należą: dzierzba, mysikrólik, jemiolucha, gil, czeczotka, śnigula, skowronek górny, nurogęś. Nakoniec są ptaki przelotne, które u nas tylko na wiosnę i w jesieni ukazują się, jako to: kwiczoły, orzechówki, siewki, niektóre kuliki, słomki, ficlauzy. Podróże swoje odbywa ptastwo najczęściej rannym i wieczornym zmrokiem, niekiedy w nocy, osobliwie przy świetle księżyca; gęsi jednak, żurawie i bociany lecą i we dnie. Przed odlotem, ptastwo wędrownie zbiera się w stada, niby dla obrad; wówczas to individua słabe i niezdatne do długiej podróży, odbierają wyrok śmierci. Przykłady takiego sądu widywano między bocianami i żurawiami, a bez wątplenia i inne gatunki ptaków tym sposobem postępują, aby się pozbyć towarzyszków niedołężnych, którzyby im na dalekiej wędrowce, przeszkodą być mogli. — Głównym bodźcem pobudzającym ptaki do przedsięwzięcia wędrowek, jest potrzeba żywności i odpowiedniego klimatu; nie wszystkie jednak ptastwo równie daleko odlatuje. Przepiórki, pomimo ciężkiego lotu, przebywają morze Śródziemne i aż w głąb Afryki lecą; jaskółki nie mniejszą też przebywają przestrzeń, wędrują bowiem do Nubji i Senegalu. Słomki, drozdy i bociany przepędzają zimę w południowej Europie. Taki zaś niepokonany popęd do wędrowek, za nadejściem właściwej pory, każdy gatunek ptastwa objawia, że pomimo obfitego pokarmu i odpowiedniej temperatury, ptaki w klatkach trzymane, a nawet w nich zrodzone i do niewoli już przywykłe, wielką niespokojność, gwałownymi ruchami i chęcią wydobycia się na wolność póty okazują, póki nie przemienie czas od natury do przedsięwzięcia wędrowki przeznaczony; przykłady tego najjawniej na przepiórkach w domach chowanych widzieć się dają. Na wielkie podziwienie zasługuje instynkt niektórych ptaków, z jakim szukać umieją żywność dla siebie, w najodleglejszych miejscach. Tak pewien gatunek poświerki wędruje corocznie z Kuby do Karoliny, w porze kiedy tam ryż dojrzewa, a pożywiwszy się nim podczas żniw, znów wraca do swej ojczyzny. Inny ptaszek nie widywany dawniej w Wirginji, pojawia się tam corocznie od czasu, jak w tym kraju żyto i ryż uprawiać zaczęto. Niektóre ptastwo z upływem wieków, zmieniło granice geograficzne stałego swojego pobytu. Sroka niegdyś tylko na północy mieszkająca, co raz dalej ku południowi się posuwa. Kwiczol od kilkunastu lat dopiero mnoży się w Liwlandji, Estlandji i północnych Niemczech.

Dostrzeżono, że w Australji niektóre ptastwo zmienia miejsce mieszkania i w dalsze przenosi się strony, tam wielkimi massami się ukazawszy, pięć lub sześć lat przebywa, a potem nagle znika. W niektórych znów krajach pewne ptaki wcale się nie pojawiają; tak według Cetti'ego, bocian nie zalatuje do Sardynji. Nakoniec, nadzwyczajne wypadki bywają niekiedy powodem, że niektóre indiwidua w dalekie od swęj ojczyzny zabłąkują się strony. Pelikan został ubity w Szwecji w 1851 r. Flamingi czyli Czerwoniaki 1798 r. po bitwie pod Abukir ukazały się pod Ingolsztadem w Bawarji, a bocian Maguari zwany, mieszkawiec południowej Ameryki, kilka już razy zalatywał do Francji, dokąd go zapewne uniosły burze. Wszystkie zaś te wycieczki nadzwyczajnie ułatwia ptakom chyży i wytrały lot, w czém niezmierną nad zwierzętami ssącemi mają przewagę. Postrzeżenia przekonały, że gołąb' domowy ulatuje 40 stóp w sekundę, gołąb' tak zwany pocztowy 65 stóp, sokół 68 stóp. Orzeł znika z oczu mniej jak we trzy minuty, licząc szerokość skrzydeł na 4 stopy, a kął widzenia na 1 minutę, odległość wyniesie 13,750 stóp, a prędkość 76 stóp na sekundę. Przepiórki są jedne z najcięższych i najmniej rączych ptaków wędrownych; w czasie ich przelotu przez morze Śródziemne do Afryki, mnóstwo ich ginie, inne zmęczone, wielkimi stadami siadają na okrętach i gdyby nie wiatr je unosił, z kierunkiem którego zawsze starają się lecić, przeprawa ta byłaby dla nich niepodobną.

Z klasy gadów, wielkie żółwie morskie odznaczają się gromadnemi wędrowkami. Z wysp Kanaryjskich, przylądków Białego i Zielonego, odbywają podróże do wysp Antylskich. Dwa lub trzy miesiące ciągnie się ta wędrowka: samcy towarzyszą samicom, które przybywszy do zamierzonego miejsca, niosą jaja nad brzegami morza i niezwłocznie wracają do swęj ojczyzny. Z jaj tak opuszczonych, wylęgają się pod wpływem ciepła słonecznego młode żółwie i natychmiast z gniazd swoich rzucają się w morze; jednakże dla braku odpowiedniej żywności, nie pozostają przy brzegach, na których się urodziły i ów instykt, który je pobudzał, po wykluciu się z jaj, do szukania zaraz wody, wiedzie je równie w strony, w których mieszkają ich rodzice. Dziwnemi i niepotrzebnemi na pozór wydają się te żółwie wędrowki dla składania jaj w miejscach, w których przyszłe ich potomstwo mieszkać nie może; gdyby jednak nie ta przezorność, zupełnieby zaginęły, człowiek bowiem dla mięsa dającego smaczny i zdrowy pokarm, w wielkím mnóstwie je wytępia; te więc, którym uda się uniknąć śmierci, płyną składać na odległych, spokojnych wybrzeżach, zarody nowego pokolenia, mającego zastąpić ich miejsce.

Z pomiędzy ryb, corocznie przypływają do brzegów Ameryki, Europy i Azji niezliczone stada śledzi. Skoro zmusi je potrzeba szukania żywności lub pozbycia się ikry, opuszczają głębie morskie, na

wiosnę, latem, lub też w jesieni, zbliżając się do ujścia rzek i brzegów sprzyjających ich tarłu. Na dni kilku przed przybyciem stada, pojawia się niewielka liczba samców, składających niby straż przednią; później dopiero nadszycają nieprzeliczone rzesze, które pomimo nadzwyczajnego mnóstwa indywiduów, zachowują w swoim pochodzie możliwy porządek. Największe, najsilniejsze i najśmielsze, mieszczą się w pierwszych szeregach stada, takie zapełniają nieprzejrzaną przestrzeń morza. Pomimo że niezmierne mnóstwo śledzi idzie na pastwę ryb drapieżnych i ptastwa, że ogromna ich liczba ginie w zatokach, dusząc się pod naciskiem własnej masy, to przecież miliony ich jeszcze dostają się do sieci rybackich. Nie ma najmniejszej nawet zatoki w Norwegji, którejby jeden połów niedostarczył do 20 milionów śledzi, a rzadki rok bywa, aby w całym kraju mniej jak 400 milionów złowiono. Naturalista Bloch obliczył, że mieszkańcy Gotenburga w Szwecji, doroku przeszło 700 milionów tych ryb poławiali. Czémże są jednak te miliony indywiduów, obok nioprzeliczonego mnóstwa śledzi przywożonych na okrętach Holsztynu, Meklenburgu, Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych, a szczególnie Hollandji, które nieoczekując połowu u brzegów swoich, całemi flotami płyną na ich spotkanie. Śledzie, jak każdemu wiadomo, stanowią dziś ważną gałąź handlu; przed końcem jednak czternastego wieku, nie miały jeszcze tak obszernego użycia, nie znano bowiem sposobu ich przechowywania; dopiero około 1416 roku, rybak flamandzki nazwiskiem Wilhelm Deszkelson z Bierfliet, pierwszy zaczął je solić i przez to handlowi wielu krajów ogromną wyświadczył przysługę. Prócz śledzi, odbywają wędrówki wielkimi massami, makrelle, tuńczyki, łososie, minogi, węgorze. Wszystkich tych ryb podróże spowodowane są potrzebą tarła czyli składania ikry; ciągną więc najczęściej na wiosnę, z pełnego morza, ku brzegom zacisznym i w żywność obfitującym, wpływają nawet w rzeki dość z daleka od ich ujścia, oczekując zawsze czystej i zdrowej wody.

Szarańcza, tak na nieszczęście u nas już znajoma i tyle nieraz szkód zrządzająca, należy do liczby owadów wędrownych. Zwykle przybywa z krajów wschodnich, będących właściwą jej ojczyzną, lecz u nas także ze złożonych jaj, w ogromnym wylega się mnóstwie. Nie docieczono jeszcze powodów, dla których owad ten w pewnym czasie zbiera się w nieprzeliczone masy i dąży w kierunku przez siebie obranym, bo chociaż bez wątpienia, wiatry dopomagają lotowi tej wszystko niszczącej zgrai w dalekich jej wędrówkach, to przecież i wola owadu, kierowana instynktem, musi mieć tutaj swój udział. Nakoniec, owady bardzo drobne i wattle:— Mszyce, odbywają także niekiedy gromadne wędrówki. Za świadectwem p. Morren'a naturalisty belgijskiego, pewien ich gatunek, w 1834 roku ukazał się w Gan-

dawie w tak niezmierném mnóstwie, że chmury jego zaćmiły światło dzienne; cała droga od tego miasta do Antwerpji czerniła niezliczonymi rojami tych drobnych jestestw. P. Morren wnosi, że niektóre gatunki mszyc przed tém nieznanym, przywędrowały z krajów zamorskich do Belgji, Francji i Anglji i rozmnożyły się w Europie.

Sądzimy, że ten krótki pogląd na wędrówki zwierząt, zwróci uwagę na dziwne drogi i środki, któremi Przyroda, obok starań o zachowanie gatunku, miarkuje zbytne rozmnażanie się jestestw szkodliwych. Pobudza ona zwierzęta do wędrówek, aby im dostarczyć żywności i umieścić je w warunkach najprzyjaźniejszych ich rozmnażaniu; lecz z drugiej strony też same wędrówki wpływają na zmniejszenie zbytnej liczby indywiduów i utrzymują potrzebną równowagę w pożytkach lub szkodach, jakie one przynoszą. I tak, jeżeli np. szarańcza w niezmierném mnóstwie wędrująca, żarłocznością swoją wielkie zrządza klęski, to znów nawzajem wędrówki śledzi ku brzegom krajów nadmorskich, większe i częściej powtarzające się przynoszą korzyści.

## PSZCZOŁY.

Jakież pocziwe, jakie dobre te pszczołki nasze kochane, dające człowiekowi gotowy i tak smaczny pokarm, prawie bez żadnego z jego strony zachodu. Jakże kochać powinniśmy je za to, jak dbać o nie, aby im wdzięczność naszą okazać, za smaczną omastę i napitek, który nam dostarczają, ciężko na niego pracując. Zdumiewające zręcznością i dowcipem, celujące wytrwałością w pracy, a przytem tak wierne, tak posłuszne prawom, które im nakreśliła Przyroda, mogłyby służyć za wzór nawet społeczeństwu ludzkiemu najlepiej urządzonemu. Są pożyteczne zarówno największemu panu, jak najuboższemu wieśniakowi i słuszna, że nawet najuboższy wieśniak stara się znaleźć dla nich kącik w swojej skromnej zagrodzie, słuszna, że tak są szanowane, iż nikt nie powie o nich: że zdychają, lecz wymierają i słuszna aby każdy poznał je bliżej.

Hodowanie pszczoł, jest uprawiane od bardzo dawnych czasów. Wielce to ważna gałąź gospodarstwa i w niektórych okolicach znaczne zyski przynosi, obliczono bowiem, że z pasicki dobrze urządzonej, o sto pięćdziesięciu pniach, można mieć przy dobrém gospodarowaniu 6,000 rubli srebrem rocznego dochodu.

Ule rozmaicie urządzone bywają. Są albo w kształcie dzwonów, z słomy lub wikła plecione, lub czworograniaste z deszczek, albo nareszcie przezroczyste ze szkła. Nie będziemy tu rozbierać jakie najlepiej odpowiadają celowi, ani też jak powinny być urządzone i jak koło pszczoł chodzić należy, albowiem idzie nam tylko o przypatrzenie się wewnętrznemu życiu tych



osobliwych zwierząt i skreślenie szczegółów cechujących ich nadzwyczajny dowcip.

Cheąc przypatrzeć się dokładnie zajęciom pszczół, używa się do tego ula szklanego, ale nie jest to wcale rzeczą łatwą, poznać dobrze ich sposób życia i ich osobliwszą roztropność przy rozmaitych zatrudnieniach, nie mało do tego czasu i cierpliwości potrzeba. Pszczoły bowiem ciągle pomagając sobie wzajemnie, zbierają się na jednym miejscu, zawsze w tak wielkiej liczbie i tak szybko migają się przed oczyma patrzącego, że w istocie bardzo jest trudno rozróżnić co właściwie każda z nich robi.

Pszczoły w jednej gromadzie razem żyjące, to jakby państwo udzielne. Są między nimi pracowici robotnicy, którzy przez cały dzień nie spoczną, jeno krzątają się a zwijają, choć ich nikt nie pilnuje, nie dogląda, nie rozporządza co czynić mają; są panowie darmozjady, którzy nigdy nic nie robią, a na czele gromady jest królowa, która znosi jajka i to rozmaite rodzaje tychże, każdy rodzaj w osobnych komórkach, sama wybiera sobie małżonka, w razie potrzeby stacza pojedynki z współzawodniczkami do tronu, pobudza część kolonji do rojenia i wyznacza czas tegoż, a przy pomocy kilku pszczołek na zwiady wysłanych, prowadzi wiernych poddanych do nowej siedziby, gdzie znowu nad całym, w ulu zamieszkałym plemieniem panuje, i rządzi niém po macierzyńsku. Robotnice mają żądła proste, a na nogach łopatki i szczoteczki do zbierania miodu i wosku. Wykluwają się z jaj w postaci robaczek, poczem owijają się jedwabistą przędzą własnej roboty, i stają się poczwarkami a nareszcie już jako doskonałe pszczoły wychodzą z kolebki. Do odbycia tych trzech przemian, potrzebują dni dwadzieścia, ale dopiero w 24 godzin po odbyciu ostatniej przemiany, mogą latać i pełnić swoje funkcje. Rozróżniamy ich dwa gatunki, większe, które urodziły się w nowych komórkach, i mniejsze, którym za kolebkę służyły stare komórki, napełnione powłokami poczwarek, które się w nich dawniej wylęgły. Większe dostarczają wosk na budowę komórek i zakładają niby fundament plastra, mniejsze zbierają miód, pyłek kwiatowy i lep, odbywają strażę przy wnieściu do ula i zajmują się wszystkimi innymi domowymi pracami. Sameczyki, trutnie z których każdy waży dwa razy tyle co jedna robotnica, nie mają ani żądeł ani łopatek, szczęki małe, ryjek krótki, skrzydła dłuższe od tułowia, nie zbierają miodu i nie pracują. Dla ogółu są głównie przez to pożyteczne że powiększają w ulu ciepło potrzebne do rozwoju potomstwa. W każdej jesieni pszczoły wypędzają z ula znaczną ilość samców i tylko część zostawiają, aby królowa miała w czem wybierać gdy przyjdzie czas parzenia. Królowe wreszcie poznajemy po tem, że mają żądła zakrzywione, skrzydła bardzo krótkie, ciało smukłe, nie mają zaś ani łopatek, ani szczoteczek. Pszczoły są w ogólności barwy czarno-brunatnej, z wyjątkiem kilku miejsc na tułowiu okrytych włosiem płowym lub czerwono-żółtym. W ulu jest piętnaście do dwudziestu tysięcy samiczek, sześć do ośmiuset samców i jedna królowa.

Każdą kroplę miodu za pomocą ryjka z kwiatów wyssaną, połykają i dobrze obciążone wracają do domu, gdzie przez piętnaście godzin leżą nieruchome. Miód wyrzucają z siebie wprost do komórek, wosk zaś wydają przez błony brzuszne i ten drugie pszczoły odbierają zaraz od nich tylnymi nogami, przednimi biorą go do pyszczka, mieszają w zuchwach z śliną kleistą i zaraz biorą się do budowy komórek. Po jakimś czasie powstanie, dość wielki plaster pionowo spadający. Chociaż pszczoły lubią symetrię, zazwyczaj stósują się przy budowie do okoliczności. Dobrze żywione mogą zbudować w ciągu 24 godzin 4000 komórek, przez co powstaje plaster stożkowy długi a pół stopy szeroki. Równolegle od pierwszego plastra robią drugi aby zaś mogły wygodnie przechodzić z jednego miejsca na drugie, łączą plastry ścieżkami, dwa razy szerszemi od ich ciała. Komórki są sześciocienne i zamykają się po końcach trzema ścianami. Są zaś dwojakie: w jednych robotnice składają zapasy miodu na zimę, z których także korzystają i w lecie, podczas niepogody, w drugich królowa znosi jajka. W ogólności powodzenie kolonji zawisło głównie od obfitości pożywienia. Pnie mocno zaludnione przynoszą stósunkowo większy dochód jak te, w których osada jest mniej liczna. Plastry przymocowane są lepem, który pszczoły zbierają z pączków.

Królowa i trutnie wylatują z ula tylko podczas największych upałów. Królowa tylko trzy razy, mianowicie dla rozpoznania miejsca, gdy się ma parzyć i podczas rojenia. Gdy chodzi o rozpoznanie miejsca, wylatują także i pszczoły robocze i kręcą się około ula. Królowa wybiera małżonka z pomiędzy znacznej liczby trutniów i pieszczołami, na które on długo obojętnym się okazuje, nakłania małżonka aby z nią wyleciał w pole. Parzenie, które truteń musi życiem przypłacić, odbywa się na wolnem powietrzu, tylko raz i uzdolnia królowę znosić jaja przez 20 do 24 miesięcy, to jest do końca życia swego. Gdy królowa oddali się z trutniem na półgodziny, robotnice są przez ten czas zupełnie o nią spokojne, w innym zaś razie trwoga ich bywa bez granic gdy królowej pomiędzy sobą nie widzą. Jeżeli dla niepogody królowa nie może parzyć się w pierwszych piętnastu dniach po zupełnem dojrzeniu, nie znosi już jaj na samiczki, lecz tylko na samców. Miłość i posłuszeństwo poddanych dopiero wtedy zyskuje, gdy okaże się zdolną pomnażać osadę. W 46 godzin po parzeniu zaczyna znosić jaja, i znosi je po jednym w każdej komórce do lężenia. Otoczona orszakiem dziesięciu lub dwunastu robotnic, które poniekąd stanowią jej dwór, przechodzi z jednego takiego pokoiku do drugiego, wsadza najprzód głowę jakby dla przekonania się czy mu czego nie brakuje, potem wsuwa się daleko w głąb komórki. Znosi jaja przez całe lato, około 200 na dzień, jednak z przerwami. Robotnice stanowiące jej orszak, dostarczają jej najlepszy miód, czyszczą ją i chłodzą skrzydłami. Królowa znosi najprzód jajka na samiczki, dopiero w ostatnich tygodniach przed rojeniem na samców.

Robotnice muszą nie tylko zbierać miód, budować komórki odbywać, straż, odpierać nieprzyjacielskie napady, ale także wychowywać i pielęgno-

wać potomstwo królowej. Ileż to przytem ceregielów, jakby z prawdziwemi paniętami! Robaczki które się już w cztery lub pięć dni wylęgają, dostają na pokarm codziennie świeżo przyrządzoną papkę miodową i to co dzień nieco więcej w miarę jak dorastają. Papka dla robaczek, z których kiedyś mają być królowe, jest gęstsza i słodsza jak dla plemienia zwykłych pszczół. Młoda królowa odbywa wszystkie trzy przeobrażenia w 16 dniach, po upływie których robotnice trzymają ją jeszcze w zamknięciu przez 30 godzin do trzech dni. Więziona żali się smutnemi tony ale nie siedzi tam o głodzie; gdy bowiem czuje głód, potrzebuje tylko wystawić ryjek przez mały otwór w ścianie, a piastunki wnet przyniosą jej najlepszej papki. Zresztą więzienie to na dobre wychodzi infantkom. Najprzód bowiem idzie oto, aby je stara królowa nie pozabijała przez zazdrość, powtóre aby się w walce o tron same między sobą nie pozabijały, a nareszcie potrzeba czasu aby im skrzydła obeschły, gdyż inaczej nie mogłyby latać. Skoro nareszcie wydobędą się z swoich więzień, służebne czyszczą starannie ich pokoiki.

Wyższe uzdolnienie zawdzięcza królowa rozmaitym sprzyjającym okolicznościom, a osobliwie królewskiemu mieszkaniu i królewskiemu jadłu. Komórka infantki jest co do objętości prawie sto razy większa jak pszczoły roboczej, a dwadzieścia razy większa jak trutnia. Pożywienie zwykłych pszczół rozwija w nich organa do pracy, jadło królewskie instynkt i płodność. Robaczki pszczół roboczych mieszkające w około komórki królewskiej, dostają cokolwiek z tej szlachetniejszej strawy, i stają się przez to większe i ciemniejsze jak zwykłe robocze, które je też przez zazdrość prześladują i wyępiają. W pewnych koniecznych wypadkach robotnice przenoszą jaja lub robaczki z komórek roboczych do królewskich, dają im pożywienie królewskie i tym to sposobem wychowują je na na swoje władczynię, a tak pomieszkanie i jadło rozstrzyga czy z jaja samiczego ma powstać królowa czy prosta robotnica.

Pszczoły okazują zawsze szczególniejszą miłość dla królowej. Wszystko co robią, dla niej tylko zdają się robić, ona jest przedmiotem wszystkich ich starań. Cześć dla monarchini trwa nawet przez pewien czas po śmierci jej królewskiej mości. Nową królowę bowiem przyjmują dopiero w 24 godzin po śmierci starej; jeżeli się zaś wcześniej ukaże, obchodzą się z nią tak niegrzecznie, tak nawet ostro, jakby stara królowa jeszcze żyła, a nowa chciała ją przemocą zrzucić z tronu. Przy ogólnej żałobie powstaje w całym ulu największy nieład. Wszystkie prace ustają, robotnice nie budują komórek nie znoszą wosku i miodu, nie wyrzucają nieczystości, ani zmarłych lub osłabionych towarzyszy. Widok nowej władczyni powraca w ulu porządek i wesołość, wierni poddani witają z radością młodą królowę, zbliżają się ku niej, ona ich dotyka, poezem już pocieszeni, wracają ochoczo na swoje stanowisko i rozpoczynają pracę na nowo.

Pszczoły nie mogą cierpieć w ulu żadnego obcego stworzenia nie należącego do ich społeczeństwa, aby się więc zabezpieczyć od robaczek, któ-

re mogłyby się tam dostać, zalepiają najstaranniej wszystkie szpary w ulu, co też chroni je także od zimna. Używają do tego żywicy zbierananej na brzozach, wierzbach, topolach i innych drzewach, która z czasem twardnieje, i jest zatem do tego celu daleko stosowniejszą jak wosk. Z tej żywicy mają pszczoły jeszcze inny użytek. Oto zdarza się czasem, że ślimak przyczołga się do ula. Z nieprzyjacielem tak wielkich rozmiarów, trudno im dać sobie radę. Małego robaczka z łatwością zabiją i wyrzucają, lecz cóż począć z ogromnym ślimakiem? Najprzód zabijają go, a następnie przykrywają szczelnie do ściany, lub jeżeli się to nie da uczynić, powlekają go nią całego i to zabezpiecza je także od nieprzyjemnej woni, co ze zwłok gnijących mogłaby się rozchodzić po całym ulu.

Gdy się osada w ulu zbyt znacznie rozmnoży i zaczyna być ciasno, pewna liczba pszczoł opuszcza ul stary i gdzieindziej nową zakłada kolonję. Nim to nastąpi, widać w ulu ruch niezwykły i słychać donośne brzęczenie, pszczoły są niespokojne, igrają z sobą, nie wylatują na zbieranie zapasów, ciepło w ulu podwyższa się nagle z  $+ 27$  do trzydziestu kilku stopni. Gdy stara królowa z częścią osady odleci, pszczoły wypuszczają z komórki najstarszą infantkę, a innych pilnują. Usiłuje ona pozabijać wszystkie swoje siostry królewskie, lecz straż niepozwala. Nakoniec postanawia odlecieć z drugim rojem. Gdy to nastąpi, robotnice wypuszczają wszystkie pozostałe infantki i te toczą z sobą walkę śmiertelną, aż wreszcie tylko jedna zostanie. Podczas słoty nie odbywa się rojenie i wówczas stara królowa zabija wszystkie infantki, z wyjątkiem robaczków i poczwarek, z których potem wychowuje się plemie królewskie. Śmierć zadaje tym sposobem, że zatapia żądło w ciele ofiary w komórce zamkniętej. Gdy się spotkają dwie wyzwolone królowe, walczą dopóki jedna nie zdoła wleść drugiej na grzbiet, i ukłuć ją z góry. Jeżeli zajmą takie stanowisko, że obiedwie jednocześnie mogłyby zadać sobie cios śmiertelny, odskakują od siebie i zaprzestają walki, czując instynktem, że tym sposobem osierociłyby całą kolonję. Inne pszczoły nie mieszają się do walki, ale nie pozwalają pretendentkom uciekać. Jeżeli podczas rojenia się pszczoł, powstanie nagle nieprzewidziana burza, królowa z całym rojem wraca do ula, jeżeli zaś jakaś nadzwyczajna okoliczność odłączy ją od całej gromady, zawsze ma przy sobie orszak sług wiernych. Gdy nadejdzie czas wybrania się w drogę, królowa odmiennym głosem upomina poddanych, aby się gotowali do podróży. Pszczoły odlatujące biorą z sobą żywność na dwa lub trzy dni. W nowej siedzibie natychmiast rozpoczynają się nowe prace.

Pszczoły nie napastują nikogo, wyjąwszy gdy im kto robi przykrość. Wiadomo, że ukłucie pszczoły jest bardzo bolesne. Trzeba coprędzej wyjąć żądło i ranę posmarować jakimkolwiek olejem lub sokiem z cebuli, albo przyłożyć ziemię wilgotną a ból ustanie wkrótce.

*Stanisław Nowiński.*

## J O D Ł A.

Jodła należy do drzew pierwszej wielkości, dorasta bowiem do 60 łokci wysokości i do znacznej dochodzi grubości. Jest to drzewo bardzo pospolite w kraju naszym, tam szczególnie, gdzie zaczyna być górzystym.



J o d ł a.

Wąwozy Ojcowa, Pieskowej-Skały i Góry Karpackie, wspaniale są ozdobione niemi niby zielonemi baldachimami, bez początku i końca, zwieszającemi coraz szerzej ku ziemi, swe żywe festony.

Igły jej są po jedyncze, spłaszczone, tępe, z końca wcięte; na stroni spodniej dwa białe paski wzdłuż idące; ma osadzone z boków gałązki w dwa rzędy, nakształt ząbków grzebienia. Rośnie w strefie południowej, na gruncie żyznym, głębokim, miernie wilgotnym, najczęściej w pomieszaniu z innymi rodzajami drzew. Wyrasta ona prosto, z wierzchołkiem jak strzała; gałęzie wkrąg piętami osadzone, rozłożyste, tworzą koronę okrągłą,

w wierzchołku zaostrowaną. Korę ma gładką i siwą; igły gęste, mocno zacinające, wyziewają wilgoć lipką, słodką, która zwabia pszczoły i osy. Po trzech latach, igły żółkną i opadają. Kwitnie w Maju, dojrzewa we Wrześniu lub Październiku; po dojrzewaniu szyszka roztwiera się, orzeszki spore ze skrzydełkiem kruchem spadają wraz z łuszczką szyszki. Chcąc otrzymać nasienie, należy szyszki zebrane pod jesień, przechowywać na poddaszu przewiewnym; na wiosnę z łuszczyk oczyścić i zaraz wysiać, gdyż długie chowane, utracają własność kiełkowania. Po kilku tygodniach wysiane nasienie, wschodzi z kilku igłami, w początkach wzrost ich powolny potrzebuje koniecznie cienia i zasłony od wpływów zmian powietrza. Po ośmiu latach, jodła nabierając szybkiego wzrostu, wymaga zupełnego przystępu światła i powietrza. Jodła rosnąca pojedynczo, wydaje nasiona w trzydziestym roku życia, w lasach później; zupełnego zaś wzrostu i dojrzałości dochodzi dopiero w sto lat; żyć jednak może dłużej i nabiera ciągle grubości.

Jodła w użytkach nie wyrównywa sośnie; drzewo ma białe, giętkie. Łupkie, dosyć trwałe, jest przydatne do budowy suchej i do różnych wyrobów; w deskach i balach łatwo pęka i paczy się; na opał i na węgle dobre, lecz niewyrównyujące sośnie. Z tworzących się guzów pod korą, na wiosnę wydobywa się terpentyna, a z szyszek młodych, przez wygotowanie ich, otrzymuje się olejek terpentynowy.

Jodła kształtem swym i gęstwina zacięniejszą swęj kory, nie jest tak wesółą jak wyniosła sosna, lecz niemniej a może i więcej ma wspaniałości, przedstawiając sobą wspaniały, cichy smutek. Ztąd też jedliną strojono w starożytności pogrzebowe wozy, a w powieściach i pieśniach ludowych u nas: wypadki śmierci, zabójstwa kochanek, przez zbrojów kochanków pogrzebanie zwłok ukochanych są opiewane bardzo często „śróđ jedliczek ciemnych, śróđ gęstych lasów jodłowych.”

*Józef Grajner.*

## DOMOWA SUSZARNIA.

Sprzedawane suszone owoce na targach, zwykle są nienajlepszych przymiotów, pochodzi to ztąd, że handlarze używają najczęściej do suszenia zgnitych, robaczywych lub niedojrzałych, to jest przez wiatr otrząśnionych owoców. Nie ma przeto innej rady uniknienia tej niedogodności, jak tylko zastosowanie suszenia owoców na własną potrzebę w swęj kuchni. A nie jest to trudną rzeczą, zwłaszcza jeżeli zastosuje się jedną z najtańszych i najskuteczniejszych suszarni, poniżej na rysunku wyobrażoną, która wszęđdzie da się użyć, gdzie jest tak zwana kuchnia angielska, to jest z żelaznym trzonem urządzona:

Suszarnia to jest to skrzynia bez dna, której wymiary są takie:

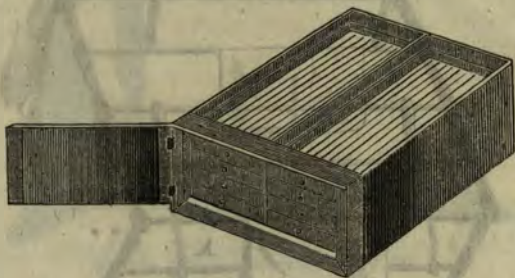
Wysokość stóp 1 cali 2

Szerokość „ 2 „ 3

Długość „ 2 „ 5

Przez prostopadłą ściankę jest ona na dwie części przedzielona. a w każdej z tych części znajduje się cztery szuflady, które są na cienkich listewkach umieszczone i mają dno zrobione z prętów cienkich o trzecią część cała odległych od siebie. Z wierzchu zaś jest tu suszarnia wiekiem drewnianem pokryta, które jest również drewnianymi gwoździami przytwierdzone stałe do jej boków. Na rysunku niezamieściliśmy tego wieka, aby dać poznać wewnętrzne urządzenie samej suszarni.

W wieku tem znajdują się po trzy otwory dla każdej przegrody, które mają blisko cal średnicy dla upuszczania wywięzującej się pary podczas suszenia owoców, które się według upodobania mogą korkami zatkać. Jedna połowa tej suszarni utrzymuje się gorącej zwykle, a druga nieco chłodniej, w pierwszej też pospolicie otwory są zatkałe, a w drugiej zostają ciągle otwarte, nadto suszarnia ta, jest w drzwiczki zaopatrzona, jak to widać z rysunku, które zamknięte zakrywają dostatecznie szuflady od przystępu do nich zewnętrznego powietrza.

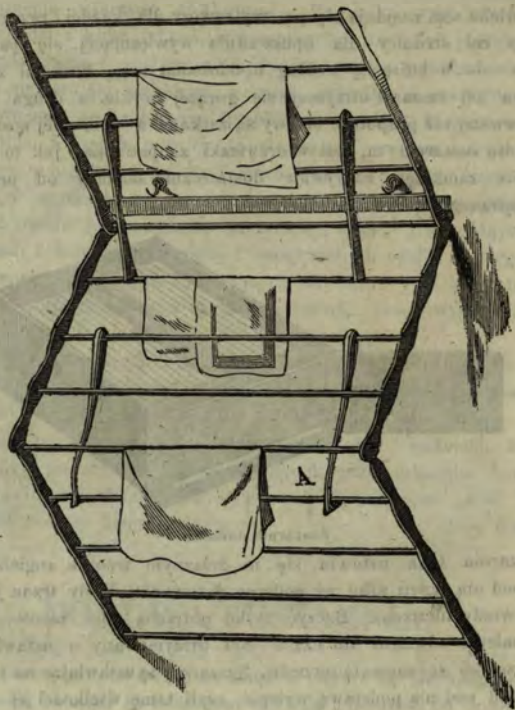


Suszarnia domowa.

Suszarnia taka ustawia się na żelaznym trzonie angielskiej kuchni i zapala pod nią ogień albo też podczas gotowania, kiedy trzon jest gorący, to i palić wtedy nie trzeba. Baczyc tylko potrzeba aby nieostygł zupełnie lecz przez palenie od czasu do czasu był utrzymywany w ustawicznej gorącości, potrzebnej do suszenia owoców. Suszarnię tę ustawiając na trzonie, potrzeba wprzód pod nią podstawę wylepić, czyli tamę wielkości jej spodu, wysoką na dwa cale a szeroką na trzy, a to aby boki drewniane suszarni nie były uszkodzone przez gorąco trzonu.

Do ulepiania takowej tamy używa się 6 części gliny, 3 części tłuczonej mialko cegły i jedną część przesianego od węgla popiołu, które to istoty razem zmieszane i z wodą na gęste ciasto zaczynione dają masę, z której ulepiona tama na żelaznym trzonie wytrwa dalako dłużej, jak zrobiona z samej tylko gliny. Miejsce zaś próżne będące w środku tej tamy między jej obwodem, wysypuje się cienko piaskiem. Takowa tama robi się wtedy, kiedy ma się na niej postawić suszarnia, a oddala się ją zaraz wtedy, skoro użytek suszarni jest już więcej niepotrzebny.

Powyżej wzmiankowane rozdzielenie ścianką suszarni na dwie połowy, jest nie tylko w ekonomicznym względzie korzystne, ale nadto jeszcze i dlatego, że przy takowym jej urządzeniu, jedynie tylko jest możliwym bardzo piękny i delikatny suszony owoc otrzymać. Gorętsza bowiem połowa tej suszarni, postawiona w tem miejscu gdzie ogień się pali silniejszy, a zatem gdzie jest ciepło podwyższone, służy mianowicie dla owoców soczystych, gdyż te przeto we własnej ugotują się wprzód parze. Miejsce to posiada tempe-



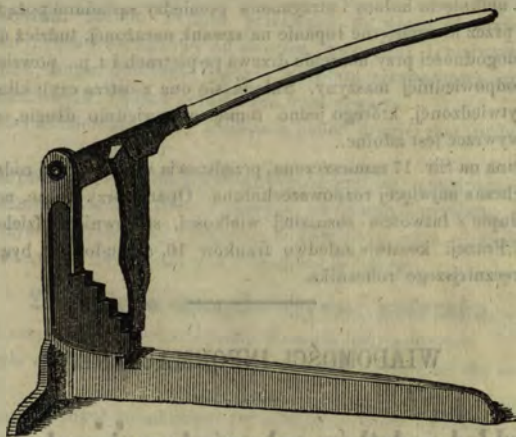
Ulepszone wieszadło do bielizny.— (do Str. 171).

raturę wilgotną od 50<sup>o</sup> do 70<sup>o</sup> ciepła Reamiura i te to ugotowane w parze własnej owoce, gdy przeto dostatecznie zmiękły, po kilku godzinach pobytu przenoszą się do chłodniejszej połowy, w której tylko od 35<sup>o</sup> do 50<sup>o</sup> jest ciepła. Ciągły przepływ powietrza przez podłużny otwór zrobiony w nalepionej tamie pod suszarnią, przechodzi przez tę chłodniejszą połowę i zabierając wilgoć wychodzi trzema otworami w wieku tę połowę pokrywajacem. Przez co owoce pozbywając się ciągle wywiązującej się wilgoci, doskonale wysychają. I tym to sposobem, co jest rzeczą widoczną, suszenie prędko uskutecznia się.



Wiśnie w 6 do 8-u godzin, małe gruszki lub jabłka w 10-ć, a wielkiew 18-e godzin są zupełnie ususzonemi przy takim urządzeniu suszarni.

Tak prostej budowy, tania i łatwo przenośna suszarnia, powinna się bardzo upowszechnić, może ona bowiem posłużyć nie tylko do suszenia owoców ale nadto do suszenia bobu i grochu zielonego, na co 12-e godzin jest dostatecznem, a nadto do suszenia różnych warzyw pokrajanych, zwłaszcza też cykoryi, do suszenia czarnych jagód, tyle przydatnych do zatrzymywania biegunek, lub malin z których potem odwar zupełnie jak herbata przyrzą-



Maszyna do łupania drzewa.—(do Str. 173).

dzony, bardzo przyjemny napój stanowi, nawet do wzbudzenia potów po zaziębieniach wybornie służący.

*Mieczyski Adam.*

## Ulepszone wieszadło do bielizny.

Przed stawione powyżej na rysunku wieszadło (Str. 170), okazało się bardzo użytecznym i wygodnym. Składa się jak to widzimy z trzech ram równych rozmiarów, spojonych z sobą przy wierzchołkach. Za pomocą haczyków, w przeznaczonym miejscu do suszenia bielizny, zawieszają się je na ścianie jakto wskazuje rycina i w razie użycia za pośrednictwem ruchomych prętów A, rozstawia się ramy wedle upodobania, gdy zaś narzędzie to nie jest potrzebnem, zwiiera się za usunięciem rozpór i zawieszają równo na ścianie tak że całkiem prawie miejsca nie zabiera.

## Maszyna do łupania drzewa.

W miastach wielkich są domy więcej obejmujące mieszkańców, jak nie jedn wieś całkowita. Wystawcie sobie wszystkie gospodarstwa tego domu zatrudnione łupaniem i rąbaniem drzewa, za pomocą toporka albo siekiery, dla rozświecenia ognia rano, w południe lub na wieczór, a pojmiecie jaki to nie tylko huk, trzask ale nadto ile sama budowa domu na tem cierpieć może.

Dla uniknięcia hałasu i utrzymania pomiędzy sąsiadami pożądaney zgody, częstokroć przez nieumiejętne łupanie na szwank narażonej, tudzież dla usunięcia innych niedogodności przy noszeniu drzewa po piętrach i t. p., powzięto myśl wynalezienia odpowiedniej maszyny. Składa się ona z ostrza czyli klingi silnie do lewara przytwardzonej, którego jedno ramię odpowiednio długie, znaczną siłę przycisku wyrzedeć jest zdolne.

Rycina na Str. 17 zamieszczona, przedstawia maszynę tego rodzaju, w Więdniu dotychczas najwięcej rozpowszechnioną. Oparta przy murze, mało zajmuje miejsca, a łupie z łatwością rozmaitej wielkości, stosownie podzielone drzewo.

We Francji kosztuje zaledwo franków 10, a zbudowaną być może przez każdego zręczniejszego robotnika.

---

## WIADOMOŚCI INFORMACYJNE.

### 1. Rozkład podatków opłacać się mających do Kass Powiatowych.

**Styczeń.** Ofiara z dóbr duchownych, ziemiańskich i donatarjuszówt rata pierwsza. Subsidium Charitativum, na raz. Kanon, kompetencja, procena z dóbr przeszłych na własność prywatną, rata pierwsza. Kanon z młynów i wiatraków, rata pierwsza. Konsumcja od rzezi po wsiach, na raz. Opłata-gorzelnicza, rata pierwsza. Od wyrobu cukru z buraków, rata pierwsza. Dziennik. Praw i Gubernjalny. Opłata od uczniów, rata pierwsza.

**Luty.** Kontynges liverunkowy od gromad, rata pierwsza.

**Marzec.** Kanon z dóbr przeszłych na własność prywatną, rata druga. Kontyngens liverunkowy z dworów i probostw, zwyczajny i podwyższony, rata pierwsza. Podymne łącznie z opłatą szarwarkową, rata pierwsza. Podatek osobisty od oficjalistów i służących dworskich, na raz. Składka transportowa.

Od 15 Marca do 15 Kwietnia pobór pierwszej raty podatku gruntowego.

**Kwiecień.** Opłata gorzelniana, rata druga.

**Maj.** Opłata od patentów propinacyjnych, rata pierwsza.

**Czerwiec.** Ofiara z dóbr duchownych, ziemiańskich i donatarjuszówt rata druga. Ofiara podwyższona, na raz. Kanon z dóbr przeszłych na własność prywatną. Kanon z młynów i wiatraków, rata druga. Dzierżawy czasowe i wie-

czyste z dóbr rządowych, po-jezuickich i suprymowanych, rata pierwsza. Kwarta i przewyżka intraty z dóbr rozdarowanych, rata pierwsza. Opłata od wyrobu cukru z buraków, rata druga. Szynkowe od Starozakonnych, na raz. Prowizje od kapitałów po-jezuickich i po duchowieństwie suprymowaném, po-pruskich i po-instytutowych. Od legatów,—prowizje i amortyzacje od kapitałów ze Skarbu wypożyczonych, rata pierwsza.

**Lipiec.** Opłata gorzelniana, rata trzecia. Opłata od patentów propinacyjnych, rata druga. Składka ogniowa, na raz.

**Sierpień.** Opłata od uczniów.

**Wrzesień.** Kanon z dóbr przeszłych na własność prywatną, rata czwarta. Kontyngens liwerunkowy od dworów, zwyczajny i podwyższony, i od probostw, rata druga. Podymne łącznie z opłatą szarwarkową, rata druga.

**Październik.** Opłata gorzelniana, rata czwarta.

Od 15 Października do 15 Listopada pobór drugiej raty podatku gruntowego.

**Listopad.** Kontyngens liwerunkowy od gromad, rata druga.

**Grudzień.** Kanon z dóbr przeszłych na własność prywatną, rata piąta. Dzierżawy, czynsze, dziesięciny i procenta od kapitałów, jak w miesiącu Czerwcu. Czynsze włościąńskie. Zwrot pożyczek z funduszu żelaznego.

## 2. Jakiego stempla używać potrzeba.

Za stempel do świadectw i prośb płaci się jak następuje:

*Metryki chrztu z ksiąg parafialnych* wydawane, na papierze stempowym za kop. 15.

*Paszporty i różne świadectwa przez Wójtów Gmin* wydawane, na stemplu za kop. 15.

*Prośby do Wójtów Gmin* na stemplu za kop. 15.

*Prośby do Konsystorza, do Naczelnika Powiatu i do Gubernatora* na stemplu za kop. 30.

*Prośby do Komisjów Rządowych* na stemplu za kop. 75.

*Prośby do Rady Stanu, Rady Administracyjnej i Namiestnika Królestwa Polskiego,* na stemplu za rs. 1.

**Uwolnione są od opłat stempowych:**

1) Pisma i czynności dotyczące wyjednywania wsparć i wynagrodzeń udzielanych z powodu klęsk włościąńcom, wtenczas, jeżeli te wsparcia i wynagrodzenia udzielone zostaną.

2) Prośby i pisma osób ubogich, jeżeli o ich ubóstwie zaświadczy Władza najbliższa.

3) Metryki, świadectwa i inne dowody, do spisu wojskowego składane.

4) Książeczki legitymacyjne.

5) Świadectwa na bydło i konie, wyprowadzane na targi i jarmarki.

6) Środkowe arkusze do prośb i wszelkich innych dowodów, z wierzchu stemplem obłożonych.

## ZNACZNIEJSZE JARMARKI.

### W KRÓLESTWIE POLSKIM.

*W gubernji Warszawskiej.* Warszawa, jarmark na wełnę od dnia 15 Czerwca trwający dni 4, nazwany Sto-Jańskim.—**Łowicz**, jarmarków 6: w poniedziałek po Niedzieli Starozapustnej, we wtorek po niedzieli Kwietniej, na św. Jan Chrzciciel, trzy dni trwać mający, w poniedziałek po Wniebowzięciu N. M. Panny, na św. Mateusz ośm dni trwać mający, w poniedziałek po św. Andrzeju. Największe: na św. Jan i na św. Mateusz, na których sprzedają bydło, konie, owce, narzędzia rolnicze, powozy, bryczki, wozy, kożuchy i t. d.—**Kalisz**, jarmarków 6: w poniedziałek po Oczyszczeniu N. M. Panny, w poniedziałek przed św. Markiem, dnia 28, 29 i 30 Maja trzy-dniowy na wełnę, w poniedziałek przed św. Idzimą, po św. Jadwidze i po św. Marcynie.—**Widawa**, jarmarków 6: w poniedziałek po Niedzieli Zapustnej, w poniedziałek po 3-iej Niedzieli Postu, sześć dni trwać mający, szczególniej na konie, bydło, owce i trzodę chlewną; we wtorek po Zielonych Świątkach, w poniedziałki: po św. Marcynie, po 3-iej Niedzieli Adwentu.

*W gubernji Radomskiej.* Radom, jarmarków dwa: na św. Jan Chrzciciel trwający dni 5, i od dnia 9 Września także dni 5.—**Skaryszew**, jarmarków 6: w poniedziałki: po Niedzieli Wstępnej, trzy dni trwający, szczególniej na konie, po Niedzieli Przewodniej, po św. Jakóbie Apostole, po św. Bartłomieju, przed św. Szymonem i Judą, przed św. Tomaszem Apostołem.—**Jędrzejów**, jarmarków 6: we czwartki: po Trzech Królach, po św. Kazimierzu, we środę po św. Wojciechu, w piątek po Bożem Ciele, trwa dni ośm; na św. Franciszek Serafiński, trwa dni ośm, we czwartek po św. Katarzynie.—**Żarki**, jarmarków 6: we wtorki: po Trzech Królach, po Niedzieli Suchej, na św. Stanisław od 1 do 8 Maja, po św. Piotrze i Pawle, przed św. Idzimą, po Wszystkich Świętych.

*W gubernji Lubelskiej.* **Łęczna**, jarmarków 6: w poniedziałek po Trzech Królach, we wtorek po św. Józefie, w piątek po Bożem Ciele ośm dni trwający, szczególniej na towary z Cesarstwa, konie i bydło rogate, w poniedziałek po św. Magdalenie, na św. Idzi dziesięć dni trwający, w poniedziałek przed św. Mikołajem.—**Włodawa**, jarmarków 4: we wtorki podług starego kalendarza: po Zielonych Świątkach, po św. Janie Chrzcicielu, po Wniebowzięciu N. M. Panny, na Opiekę Matki Boskiej, siedm dni trwający, na bydło.

*W gubernji Płockiej.* **Płońsk**, 6: we wtorki: po Niedzieli Kwietniej, po Zielon. Świątk., po św. Piotrze i Pawle, po św. Bartłomieju, po Wszyst. Św., po Niep. Pocz. N. M. P.; wszystkie po większej części na bydło i konie.—**Płock**, jarmar. 2: we wtorki: przed św. Janem Chrzcicielem i po św. Michale.—**Wyszogród**, jarmarków 6: we wtorki: po św. Józefie, po Wniebowstąpieniu Pańskim, po Bożem Ciele, po św. Jakóbie, po św. Michale, po św. Łucji.—**Ciechanów**, jarmar. 6: we środy: po św. Weronice, po Niedzieli Srodopostnej, po św. Stanisławie, po św. Magdalenie, po Narodzeniu N. M. Panny, po św. Marcynie.—**Miawa**, jarmarków 6: we wtorki: po św. Macieju, przed św. Filipem i Jakóbem, po św. Trójcy, po św. Piotrze i Pawle, po św. Michale, przed św. Mikołajem.—**Przasnysz**, jarmarków 6: we środy: po oczyszczeniu N. M. Panny, po Niedzieli Kwietniej, po Wniebowstąpieniu Pańskim, po św. Jakóbie, po Narodzeniu N. M. Panny, po św. Katarzynie.—**Pułtusk**, jarmarków 6: we wtorki: po trzech Królach, po św. Józefie, po Zielonych Świątkach, po Naro-

dzeniu N. M. Panny, po św. Jadwidze, po św. Elzbiecie. — **Myszyniec**, jarmarków 6: we środy: po Trzech Królach, Zwiastowaniu N. M. Panny, po św. Trójcy, po Wniebowzięciu N. M. Panny, po św. Michale, po św. Marcinie na konie i bydło, oraz miód i wosk. — **Ostrołęka**, jarmarków 6: we środy: po św. Walentym, po św. Józefie, po Nawiedzeniu N. M. Panny, po Podwyższeniu św. Krzyża, po Wszystkich Świętych, po Niepokalaném Poczęciu N. M. Panny.

*W gubernji Augustowskiej.* **Ciechanowiec**, jarmarków 6: w poniedziałki: po Oczyszczeniu N. M. Panny, na św. Wojciech, po Bożém Ciele, przed św. Wawrzyńcem, po św. Mateuszu, po św. Andrzeju; na jarmarki te najwięcej doprowadzają bydła.

## W GUBERNIACH ZACHODNICH CESARSTWA RUSKIEGO.

**Białystok**, jarmark na św. Jan Chrzciiciel. — **Brześć-Litewski**, jarmark na św. Agnieszkę. — **Grodno**, jarmark na Podwyższenie św. Krzyża. — **Janiszki**, (na Żmudzi) jarmarków 3: na Najświętszą Pannę Gromniczną, na Srodopoście i na Boże Ciało. — **Krasław**, (w Witebskiem) jarmarków 2: od Niedzieli Mięsoпустnej do Wielkiego Postu i na św. Ducha, t. j. w pierwszą niedzielę po św. Piotrze. — **Lubświce**, jarmark. 2: na Trzy Króle. i w dzień św. Piotra i Pawła. — **Nieśwież**, jarmark na 1 Lipca, trwający przez trzy tygodnie. — **Smorgoń**, jarmark na Srodopoście. — **Świsłocz**, jarmarków 2: na dzień 1 Maja trwający dni 5. i na św. Bartłomiej. — **Uciana**, jarmarków 4: na Najświętszą Pannę Gromniczną, na Wniebowstąpienie Pańskie, na Boże Ciało i na Aniołów Stróżów, trwający dwa tygodnie. — **Wilno**, jarmark od 23 Kwietnia do 15 Maja, podług starego Kalendarza, na bydło, zboże i porządki gospodarskie.

**Berdyczew**, jarmarków 5, z tych najgłówniejsze: na św. Onufry (13 Czerwca) i na Wniebowzięcie podług starego Kalendarza. szczególnie sprzedają bydła i stepowych koni. — **Bałta** w Podolskiej gub. jarmarków 2: od 25 Maja do 1 Czerwca i na św. Piotra i Pawła. — **Dubno**, jarmarków 2: 1-szy na św. Piotra i Pawła, trwa trzy tygodnie, drugi na Trzy Króle ruskie na którym sławne Dubieńskie odbywają się kontrakty, przez ciąg czterech tygodni. — **Dunajowce** w Podolskiej gub. jarmarków 2: na Nowy rok i na św. Jan Chrzciiciel. każdy trwa po tygodniu i na nich wszelkiego rodzaju towarów, bydła i koni nabyć można. — **Grudek**, w Podolskiej gub. jarmarków 5: od 13 do 19 Czerwca, od 26 Lipca do 2 Sierpnia, od 16 do 22 Sierpnia, od 4 do 10 Października i od 6 do 12 Grudnia każdy jarmark trwa tydzień. — **Jarmolińce** w Podolskiej gub. jarmarków 3: na Przewodnią Niedzielę, dnia 27 Czerwca i na w. Mikołaj, gdzie sprzedają się różne towary, konie i bydło. — **Kijów**, kontrakty na Trzy Króle i jarmark od 15 Czerwca do 1 Lipca. — **Kulczyzny**, w gub. Wołyńskiej, jarmarków 5: na Przewodnie Niedzielę i na Wniebowstąpienie przez cały tydzień, a na św. Piotra i Pawła, na Pantaleona i na 40 Męczenników po trzy dni. — **Poczajów**, w gub. Wołyńskiej, jarmarków 2: na Zielone Świątki obrządku ruskiego i na Uspienie N. Maryi Panny, obadwa trwają przez 4-ry tygodnie. — **Wiszniowce**, w Wołyńskiej gub. jarmarków 6: na N. M. Pannę Gromniczną, na św. Jerzego: na św. Jana Chrzciiciela, na św. Eljasza, na św. Dymitra, dnia 25 Października.

## PRZYSŁOWIA GOSPODARSKIE.

### Styczeń.

Na Nowy Rok,  
Przybyło dnia na zajęczy skok.

Gdy Nowy Rok mglisty,  
Jeść ci będą glisty.

Królowie pod szopę,  
Dnia na kurzą stopę.

### Luty.

Spyta Luty—Masz-li buty?

Gospodarz woli widzieć wilka w oborze,  
Niż słońce na gronnicę.

Sól Świętej Agaty,  
Broni od ognia chaty.

### Marzec.

Suchy Marzec, ciepły Kwiecień,  
Mokry Maj, będzie żyto jako gaj.

Na Świętego Kazimierza,  
Wyjdzie skowronek z pod perza.

### Kwiecień.

Przyjdzie Kwiecień,  
Ostatki z gumna wymicciem.

Na Kwiecień,  
Łada z czego wianek spleciem.

Pogodny dzień Wielkanocny,  
Grochowi wielce pomocny.

### Maj.

Na Święty Krzyż,  
Owce strzyż.

W dni krzyżowe męka Boża,  
Wstrzymaj się od siewu zboża.

### Czerwiec.

Siej na Norberta,  
A będzie jęczmieniu sterta,

Od Świętego Medarda,  
Czterdzieści dni szarga.

### Lipiec.

Gdy w Nawiedzenie deszcz pada  
Czterdzieści dni ulewa nie łada.

Gdy deszcz w Święty Jakób będzie  
Lub przed nim, giną żołędzie.

### Sierpień.

Na Święty Dominik.  
Kopy z pola myk—myk.

Na Świętego Wawrzeńca  
Idą orzechy do wieńca.

### Wrzesień

Przed Boga-Rodzicą,  
Żyto przed pszenicą,  
Po Boga-Rodzicy—  
Chwyć się do pszenicy.

Pogoda na Nikodema,  
Cztery niedziel deszczu nie ma.

### Październik.

Po Świętym Franciszku.  
Paszą bydło na żytnisku.  
O Świętej Brygidzie,—  
Babie lato przyjdzie.

### Listopad.

Wszyscy Święci niezgodą  
Wiatr z śniegiem nawiodą,  
Święta Katarzyna śmiechem,  
Święty Andrzej grzechem.

### Grudzień

Kiedy na Świętą Barbarę błoto.  
Będzie zima jak złoto.

Na Mikołaja porzuć wóz  
A zaprzęż sanie.

Święto Łuci,—noc króci.

Koło Świętej Ewy,  
Noś długie cholewy.

## SPIS ALFABETYCZNY

*znacześniejszych miast Królestwa Polskiego, wskazujący w której Gubernji miasto położone, i jaka jest odległość od miasta Warszawy (w wiorstach).*

NAZWISKO MIASTA:	GUBERNJA:	Odległość od miasta Warszawy.	NAZWISKO MIASTA:	GUBERNJA:	Odległość od miasta Warszawy.
Augustowo	Augustowska	239	Pilica	Radomska	wiorst 262
Biała	Lubelska	146	Pińczów	Radomska	219
Biłgoraj	Lubelska	266	Piotrków	Warszawska	138
Błonie	Warszawska	27	Płock	Płocka	112
Brzeziny	Warszawska	43	Proszowice	Radomska	273
Chęciny	Radomska	70	Przasnysz	Płocka	94
Chełm	Lubelska	183	Pułtusk	Płocka	54
Chmielnik	Radomska	215	Pyzdry	Warszawska	238
Czersk	Warszawska	216	Radom	Radomska	97
Częstochowa	Warszawska	200	Radziejowo	Warszawska	216
Garwolin	Lubelska	59	Radzymin	Warszawska	20
Gombin	Warszawska	111	Radzyń	Lubelska	134
Gostynin	Warszawska	158	Rawa	Warszawska	80
Hrubieszów	Lubelska	268	Sandomierz	Radomska	198
Janów	Lubelska	206	Sejny	Augustowska	298
Jędrzejów	Radomska	194	Siedlce	Lubelska	83
Kalisz	Warszawska	227	Sieradz	Warszawska	189
Kalwarja	Augustowska	307	Skierniewice	Warszawska	55
Kamieńsko	Warszawska	168	Sokolów	Lubelska	111
Kazimierz	Lubelska	160	Stanisławów	Warszawska	44
Kielce	Radomska	168	Stopnica	Radomska	225
Konin	Warszawska	162	Stryków	Warszawska	107
Końskie	Radomska	178	Suwałki	Augustowska	268
Koziennice	Radomska	86	Szaki	Augustowska	385
Krasnystaw	Lubelska	201	Szczebrzeszyn	Lubelska	255
Kutno	Warszawska	117	Szczuczyn	Augustowska	186
Lipno	Płocka	166	Szkalbmierz	Radomska	269
Lubartów	Lubelska	176	Szydłów	Radomska	217
Lublin	Lubelska	151	Szydłowice	Radomska	124
Łęczyca	Warszawska	140	Tarnogród	Lubelska	385
Łódź	Warszawska	130	Terespol	Lubelska	188
Łomża	Augustowska	142	Tomaszów	Lubelska	200
Łowicz	Warszawska	76	Tykocin	Augustowska	169
Łuków	Lubelska	110	Warta	Warszawska	203
Marjampol	Augustowska	324	Wieluń	Warszawska	232
Miechów	Radomska	242	Włocławek	Warszawska	176
Mińsk	Warszawska	36	Włodawa	Lubelska	207
Mława	Płocka	129	Zakroczym	Płocka	29
Nieszawa	Warszawska	199	Zamość	Lubelska	232
Olkusz	Radomska	281	Zawichost	Radomska	200
Opatów	Radomska	168	Zgierz	Warszawska	138
Opoczno	Radomska	178	Żarki	Radomska	240
Ostrołęka	Płocka	109	Żelechów	Lubelska.	147

## GAZETA ROLNICZA.

— Pismo to wychodzi w Warszawie tygodniowo w arkuszu podwójnym większego formatu, i kosztuje Rs. jeden kwartalnie. Gazeta Rolnicza poświęcona jest wyłącznie rolnictwu Polskiemu; każdy Numer zawiera ilustrację rysunkową z dziedziny mechaniki rolniczej lub przemysłu gospodarskiego. Nadto stałym prenumeratorom, Redakcja *bezpłatnie daje dodatki*: w książkach, mappach gospodarskich i leśnych, oraz nasionach drzew i roślin, które są rzadkością.

## OPIEKUN DOMOWY.

— Pismo tygodniowe poświęcone rodzinom Polskim, z ilustracjami w każdym Numerze, wychodzi od początku 1865 r. Cena jego miesięczna wynosi k. 20 (złp. 1 gr. 10). Prenumerowane być może na wszystkich stacjach pocztowych po k. 75 (złp. 5) kwartalnie. Obejmuje: 1) Nauki i obrazy religijno-moralne. 2) Opisy jeograficzne i podróże. 3) Nauki społeczne. 4) Wiadomości z nauk przyrodzonych, w zastosowaniu do prac technicznych. 5) Rolnictwo, rzemiosła, przemysł i handel. 6) Powieści, poezje, komedje, podania, obyczaje i charaktery ludowe. 7) Życiorysy osób wślawionych na polu nauk i przemysłu. 8) Rozmaitości. 9) Ogłoszenia w osobnych dodatkach.

## PRZYJACIEL DZIECI.

— Pismo dla dzieci, z ilustracjami, wychodzić będzie tygodniowo w roku 1867. Cena w Warszawie rs. 1 k. 5 (złp. 7) kwartalnie, na prowincji na stacjach pocztowych rs. 1 k. 25 (złp. 8 gr. 10) na kwartał.

Prenumeratorowie z Cesarstwa, oprócz cen wyżej wymienionych, na kopertę *rocznie* do każdego pisma, przysyłając prenumeratę wprost do Redakcji, opłacają rsr. 2. W tak opłaconej kopercie, można otrzymywać bez żadnego innego dodatku, wszystkie pisma tygodniowe w Warszawie wychodzące.

Prenumerować można wyżej wymienione pisma również we wszystkich księgarniach w kraju i zagranicą.

## KALENDARZ POLSKI

ILLUSTROWANY

na rok 1867,

wyjdzie w połowie Grudnia 1866 r. nakładem Jana Jaworskiego, właściciela drukarni, przy Ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

Cena egzemplarza Rsr. 1 (Złp. 6 gr. 20).





<http://rcin.org.pl>



X.P.I. 693



K.P.T. 693

1867